PRZEGLĄD
MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt III. Miesiąc Grudzień 1874.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1874.

STUDYA

DO

NAJNOWSZEJ HISTORYI NIEMIEC.

(1861—1863)

W dotychczasowem opowiadaniu mojem zajmowałem się przedewszystkiem ową rywalizacyą Prus i Austryi w Niemczech, w skutek której cały Związek niemiecki widzieliśmy podzielony na dwa wielkie obozy, na tak zwaną małoniemiecką i wielkoniemiecką partyę. Dziś chciałbym się zastanowić nieco nad tym związkowym korpusem niemieckim z 36 głowami, który powszechnie „das dritte Deutschland“ nazywano, by przypatrzyć się bliżej jego życiu politycznemu i zachowaniu się w kwestyi niemieckiej. Wielkoniemieckie i małoniemieckie dążności nie wyczerpywały w sobie całego życia politycznego Niemiec, bo prócz tych dwóch wielkich biegunów politycznych: Prus i Austryi, miały i te mniejsze wielogłowne Niemcy znowu swoje własne dwa bieguny w ciaśniejszym zakresie: południowy Bawaryę i północny Hanower. Prócz tego i w innych krajach niemieckich było wiele różnych domowych rywalizacyj i prywatnych ambicyj i ambicyek. W krytycznych chwilach, gdy grożące niebezpieczeństwo wszechwładztwa pruskiego bardziej

było widoczne, trzecie Niemcy z Bawaryą i Hanowerem ciążyły zawsze ku Austryi, ale w mniej groźnych czasach każde najmniejsze państewko goniło za swemi ideałami. Bawarya naprzykład uważała Monachium, zrobiwszy z niego siedzibę sztuk i umiejętności, za trzecią duchową stolicę Niemiec, i marzyła także o politycznej hegemonii przynajmniej nad południowemi, jeśli już nie nad całemi trzeciemi Niemcami.

W *Bawaryi* w spokojniejszych czasach bano się więcej przewagi Austryi niż Prus, które uważano za zbyt odrębne i odległe od południowych Niemiec, żeby mogły być dla nich niebezpiecznemi; dlatego też Maksymilian II, poprzednik dzisiejszego króla, ściągając do Monachium uczonych i artystów z całych Niemiec, otoczył się nieostrożnie przybyszami znanej nam gotajskiéj barwy.

Na uniwersytecie monachijskim zapanował bezwzględnie von Sybel, uważany za najznakomitszego historyka niemieckiego, a który tamże początkowo był założył swoje „Zeitschrift für historische Wissenschaft“, znane ze swych małoniemieckich i liberalnych tendencyj. Był tam także powołany i Bluntschli, jeden z najznakomitszych pisarzy prawnopolitycznych także tej samej barwy, a nawet estetyk Moritz Carierr i profesor chemii Liebig nie byli bez politycznego wpływu. I dwóch najznakomitszych mistrzów sztuki niemieckiej tamże osiadłych, Kaulbacha i Wagnera, można uważać także jako missyonarzy gotajskich tendencyj, Kaulbach robiący wycieczki do Berlina, aby malować apoteozę wielkiego Fryca i reformacyi, i Wagner ze swojemi pangermanistycznemi ideałami i ze swoją muzyką, w której także siła przed prawem przeważnie panuje, niemało się przyczyniali do przygotowania umysłów dla przyszłego panowania pruskiego. Są to wszystko wprawdzie świetne imiona, które dodawały blasku stolicy bawarskiej, ale nie spostrzeżono się nawet, ile ten blask szkodził koronie, i jak minował i podkopywał jej znaczenie, bo ci panowie przesycali powoli całą atmosferę małoniemieckiemi tendencyami, tak, że chcąc nie chcąc, każdy niemi oddychać musiał. Łudzono się więc w Bawaryi fikcyjną hegemonią duchową i polityczną, a w rzeczy samej *on travaillait pour le roi de Prusse*, jak mówi francuzkie przysłowie. Do tego rząd pruski umiał jeszcze zręcznie rozdmuchiwać tę bawarską próżność i utrzymywać Ba-

warye w nieufności ku Austryi, schlebiając jej dążnościom partykularystycznym.

Zdrowsze nieco i z interesem całych Niemiec zgodniejsze były hanowerskie tendencye na północy. *Hanower* jako bliższy Prusom i najbardziej ich geograficznemu zaokrągleniu się w drodze stojący, widział jaśniej całe ztamtąd grożące niebezpieczeństwo, usiłował więc morską potęgą przyjść do przewagi nad północnemi krajami Niemiec, i tem samem przeciwstawić się Prusom. Była to zbawienna dla Niemiec rywalizacya, to też Prusy wiedziały, że najbliższego i największego wroga dla swej polityki aneksyjnej mają w Hanowerze, dla którego znowu energiczne warowanie się przeciw Prusom było kwestyą życia albo śmierci.

Saksonia już przez samo geograficzne położenie między Prusami a Austryą, Bawaryą a Hanowerem, pośredniczące zajmowała stanowisko. W kwestyi niemieckiej strzeżono się tam gotajskich tendencyj i przychylano się więcej ku Austryi, była tam jednak także i dążność prowadzenia odrębnej polityki europejskiej „trzecich Niemiec,“ szczególniej od czasu wstąpienia do gabinetu bar. Beusta.

Inne mniejsze państwa niemieckiego związku grupowały się politycznie wkoło najbliższych większych i grawitowały to do Prus, to do Austryi, to do Bawaryi, wedle zmieniających się konstelacyj politycznych.

W ogóle o całych tych „trzecich Niemczech“ można powiedzieć, że czasy Reńskiego związku zostawiły w nich niezatarte ślady swego fatalnego wpływu, rozbudziwszy wygórowane ambicye zupełnej niezawisłości choćby i najmniejszych terytoryów. I późniejsze oswobodzenie z podobnego wpływu nie wywarło w tych krajach i kraikach zdrowych stosunków i dążności politycznych. Konserwatyzm przeszedł wszędzie w zastały biurokratyzm, a opozycya w mdły, parlamentarny liberalizm, który we wszystkich tych krajach prawie wyłącznie zapanował. Trzecie Niemcy nie były wprawdzie zcentralizowane w jedno wielkie państwo, ale miały za to mnóstwo małych centralizmów, bo każde i najmniejsze państewko modelowało się podług Francyi i każde budowało swój Paryż na małą skalę.

Najgorszy zaś w swoich skutkach był ów lileralny parlamentaryzm, który, jak tego i w Austryi świeży mieliśmy przykład, na nic tak nie żałuje pieniędzy, jak na wzmocnienie sił zbrojnych; to też na całej linii średnich i większych państw niemieckich zaniedbywano armię, wolniała karność wojskowa i starano się tylko przedewszystkiem o podniesienie dobrobytu i o materyalne interesa kraju. Wszystko to wybornie przygotowywało panowanie pruskie, bo przez to zaniedbanie środków obronnych, militarny punkt ciężkości Niemiec sam przez się przenosił się do Berlina, a zmateryalizowanie się obywateli robiło ich zupełnie zawisłymi od pruskiego Zollvereinu.

Główną przyczyną jednak słabości i rozdarcia Niemiec był od 300 lat przeszło egzystujący tamże protestantyzm i racyonalizm, i ciągła walka tychże z katolicyzmem, która od czasu Reńskiego związku nieustannie się wzmagała. Szczególniej w południowych Niemczech, w Badeńskiem i w Wirtembergii, walka państwa z kościołem była zwłaszcza od r. 1848 główną osią, około której się obracało ich wewnętrzne życie polityczne. — Wszystkie te zasady, które słyszymy teraz od dwóch lat wygłaszane w pruskim sejmie i w niemieckim parlamencie w Berlinie, naprzykład: „że idea nowożytnego państwa nie daje się w Niemczech pogodzić z ideą powszechnego rzymsko-katolickiego kościoła,“ „że niemieccy katolicy nie należą właściwie do niemieckiego narodu i można ich uważać za obcych poddanych, bo słuchają więcej papieża niż swego monarchy,“ „że przez wszelkie paktowanie z Rzymem krępuje się wolność państwa i ubliża się jego majestatowi“ etc. etc.— wszystko to już przed kilkunastu laty było nicowane w najmniejszych parlamentach południowych państw niemieckich, często nawet przez tych samych mowców, którzy teraz szermierzą w Berlinie.

Ruch antykościelny łączył się w Niemczech zawsze jak najściślej z liberalnym biórokratyzmem i z gotaizmem, który panował prawie we wszystkich sejmach i uniwersytetach, i paraliżował wszystkie lepsze i zdrowsze usiłowania pojedynczych książąt i rządów, przygotowując tym sposobem wraz z Prusami dzisiejszy los Niemiec.

Wojna włoska, zdradzieckie zachowanie się w niej Prus względem Austryi i Związku niemieckiego, wreszcie zawiązanie się National-Vereinu, obudziło w całych średnich Niemczech żywszy ruch wielkoniemieckich partyj.

Wypadki te popchnęły znowu wszystkich ku Austryi, i nawet wyznawcy idei troistych Niemiec zaczęli w niej szukać silniejszego punktu dla siebie. Zaraz więc po włoskiej wojnie zdrowsza część narodu poczęła się budzić do żywszego działania, poczęto nieustannie myśleć o takiej reformie Związku niemieckiego, którąby o tyle koncentrowała Niemcy, żeby umożebniła silniejszą i jednolitszą akcyę na zewnątrz, a zarazem zawarowała je przed zbytnią przewagą pruską. — National-Verein wprawdzie z niewielkiem szczęściem rozpoczynał swoje kroki, bo po pierwszym kongresie w Eizenach długo nie mógł znaleźć dla siebie przytułku, miasto Frankfurt nie pozwoliło wydziałowi jego osiedlić się tamże, i we wszystkich prawie krajach niemieckich tę samą napotykał nieufność, póki go wreszcie książę Koburg-Gota w metropolii najściślej z nim spokrewnionego gotaizmu nie ugościł. Nawet w najświetniejszych dla siebie czasach ten klub, co swoje ogłoszenia zaczynał od słów: „Ich das deutsche Volk,“ nie liczył więcej nad 20,000 członków. Pomimo tego zaniepokoił on bardzo umysły, poczęła się więc w Niemczech silna kontragitacya i to z inicyatywy samychże rządów niemieckich.

Ministrowie: saski baron Beust, bawarski von Pfordten i hesko-darmsztacki Dalwig utworzyli niejako triumwirat, w celu ułożenia i przeprowadzenia ręka w rękę z Austryą przyszłych reform związku niemieckiego. Jeszcze w r. 1859 zjechali się ci trzej ministrowie wraz z czwartym badeńskim w Monachium, i postanowiono sprosić reprezentantów z całych trzecich Niemiec do Würzburga na konferencyę (na 21 listop. 1859 r.).

Wszystkie urzędowe dzienniki zapowiedziały ten zjazd jako wiele obiecujący; spodziewano się, że przecież raz rządy niemieckie wezmą się solidarnie i energicznie do reformy związku i zdemaskują tę tak zgubną dla niego, tradycyjną politykę pruską. Zjazd würzburgski przyszedł w istocie do skutku, i ułożono wiele projektów w celu ściślejszego zjednoczenia związku, jak: zaprowadzenie powszechnego niemieckiego

sądownictwa, jednego kodeksu karnego, cywilnego i handlowego dla całych Niemiec, ustanowienie najwyższego sądu związkowego, który miał być rodzajem areopagu etc. etc.

Austrya przyklaskiwała projektom würzburgskim, ale Prusy już w samym zjeździe widziały bunt zbrodniczy, krok rewolucyjny związkowych rządów, i usiłowały ten samoistniejszy nieco ruch trzecich Niemiec skompromitować w oczach opinii publicznej, podnosząc w prasie urzędowej obawę powtórnego związku Reńskiego pod protekcyą francuzkiego Imperatora. Opierano się w tych denuncyacyach na nieostrożnie rzuconem słowie hanowerskiego ministra Borriesa, który raz w Izbie sejmowej powiedział: „Prusy swemi uroszczeniami zmuszą nas jeszcze do szukania pomocy u obcych.“ Daleko bardziej uzasadnione były także w tym czasie głośne w całych Niemczech posądzenie Prus o alians z Napoleonem, i to w kwestyi nadreńskich prowincyj. Całe zachowanie się Prus we włosko-austryackiej wojnie już dawało słuszny powód do tych podejrzeń, zwłaszcza że dzienniki francuzkie urzędowe i półurzędowe pełne były w owych czasach pochwał dla mądrej polityki pruskiej, i dawały się nawet z tem słyszeć, że właściwe centrum Niemiec jest w Berlinie. Po wojnie rozeszły się znowu pogłoski o francuzko-rosyjskim aliansie z Prusami, które miały zapewnić Rosyi neutralność Niemiec w kwestyi wschodniej, a Francyi lewy brzeg Renu, byle tylko te dwa mocarstwa pozwoliły Prusom na koszt reszty krajów niemieckich się rozszerzać.

Najlepiej maluje ówczesną sytuacyę Niemiec historya zjazdu księcia Rejenta pruskiego i większej części książąt niemieckich z cesarzem Napoleonem w Baden-Baden (15—17go czerwca 1860 roku). Wkrótce po wojnie włoskiej objawił był Napoleon życzenie osobistego spotkania z księcem Rejentem pruskim, motywując to żywą chęcią zapewnienia Niemiec o pokojowem względem nich usposobieniu wobec przeciwnych pogłosek ciągle rozszerzanych. Na to odpowiedziało ministeryum pruskie, że właśnie w Niemczech obiegające pogłoski o porozumieniu się Prus z Francyą w agresyjnej polityce tejże nad Renem, zjazd ten księcia Rejenta z Napoleonem robią niepodobnym, nadto kompromitującym; obiecano jednakże projekt cesarza wziąść jeszcze pod ściślejszą rozwagę. Wkrótce potem

po spełznięciu na niczem projektów würzburgskich, zaproponował także król Bawarski księciu Rejentowi pruskiemu zjazd do Badenu, w celu osobistego porozumienia się w wiszącej kwestyi niemieckiej, zapraszając zarazem na ten zjazd i wszystkich książąt niemieckich. Król bawarski miał myśl wystąpić jako głowa trzecich Niemiec, by w projektach reformy związku między Prusami i Austryą pośredniczyć, a że równocześnie i Napoleon swoje życzenie widzenia się z księciem Rejentem ponownie objawił, skorzystano zaraz z tej sposobności w Berlinie, przyjęto propozycyę króla Bawarskiego i zawiadomiono Napoleona o tym projektowanym zjeździe badeńskim, zapraszając go tamże. Napoleon obiecał swój przyjazd, wyrażając w odpowiedzi radość z tego szczęśliwego zbiegu okoliczności, iż będzie miał sposobność wszystkich niemieckich książąt razem o swojem jak najlepszem i jak najbardziej pokojowem usposobieniu dla Niemiec zapewnić.

W Berlinie zaś chciano właśnie tym sposobem uniknąć wszelkich nowych podejrzeń, jakieby takie *entrevue* księcia Rejenta z Napoleonem na Prusy ściągnąć musiały, proponując je w obecności wszystkich książąt niemieckich. W takiem otoczeniu miał przytem książę Rejent nabrać blasku w oczach Napoleona, ukazując mu się jakby między Wasalami i utwierdzając go tem samem w przekonaniu o wielkiem w Niemczech Prus znaczeniu. Nie zapominano także i o tem, że taki zjazd nie wyklucza wcale i możności tajemnego porozumienia się księcia Rejenta z Napoleonem. Owszem od tego się nawet zaczęło, bo gdy się książęta zjechali w Badenie i Napoleon zaraz po przybyciu (wieczór 15go czerwca) chciał najprzód złożyć wizytę księciu Rejentowi, został przez tegoż uprzedzony w willi Stefanienbad, gdzie po przywitaniu udali się do zupełnie osobnego apartamentu i bez świadków przeszło godzinę konferowali. Zauważano zewnątrz, że Napoleon przedtem sam swoją ręką story pozapuszczał. O czem ci panowie tam mówili, to dopiero następne wypadki europejskie mogły odsłonić. Podejrzywano jednak Prusy o najgorsze rzeczy. Książę Rejent po odjeździe Napoleona udzielił obecnym książętom niemieckim ze swojej z nim rozmowy naturalnie tyle tylko, ile mu się podobało, kilka małoznaczących ogólników o pokojowem usposobieniu Cesarza, a przy pożegnalnym obiedzie przemawiał

do nich z góry jakby pan do swych wazali, przyrzekając im opiekę pruską nad ich terytoryami, wyrażając także nadzieję wielce pożądanego mu porozumienia się z Austryą, i obiecując o każdem z nią zbliżeniu się zaraz wszystkie gabinety niemieckie zawiadomić. Uzurpował sobie więc prawo rokowania z Austryą, przewodniczką związku niemieckiego, imieniem całych Niemiec jakby z jakiem obcem mocarstwem. Była to już niejako pierwsza prusko-cesarska mowa tronowa w Badenie 17go czerwca 1860 roku.

Oczywiście że po tem wszystkiem nie ustały pogłoski o prusko-francuzkim aliansie, owszem wzmogły się jeszcze, zwłaszcza że „Moniteur“ paryzki po zjeździe Badeńskim napisał, iż znalazł się nareszcie niemiecki Piemont, brakuje tylko jeszcze niemieckiego Cavoura; Napoleon znał już i tego, a nawet i opinia publiczna wskazywała już wtedy negocyatora aliansu francuzko-rosyjsko-pruskiego.

Pan Bismark między rokiem 1859 a swójem wstąpieniem do gabinetu pruskiego w r. 1862 dwa razy jeździł z Berlina do Paryża i do Petersburga, będąc i tu i tam jakiś czas ambasadorem pruskim. Od boku Napoleona został on powołany do Berlina na pierwszego ministra, a i później był częstym gościem w Paryżu i w Biaritz. Bismark wprawdzie zastrzega się nawet w listach prywatnych z tego czasu przeciwko podobnym insynuacyom, jakoby on miał pośredniczyć w aliansie francuzko-rosyjskim z Prusami. W poufnym liście do Schleinitza, datowanym parą miesięcy po zjeździe Badeńskim, pisze on (22go sierpnia 1860 r.): „Dochodzą mnie wieści, że prasa „Magdenburger Zeitung“, „Ostpreussische Zeitung“, „National-Verein“ etc. etc. systematycznie przeciw mnie konspirują, oczerniając mnie, że wspieram francuzko-rosyjskie napaści o odstąpienie nadreńskich prowincyj za przyrzeczoną neutralność w niemieckiej polityce naszej, mówią, że jestem drugim Borriesem etc.; daję 1000 friedrichsdorów temu, ktoby mi dowiódł, że mi robiono kiedy podobne propozycye. Przez cały czas mego pobytu w Niemczech nic innego nigdy nie radziłem, jak żeby w danym razie opierać się li tylko na naszej narodowej sile niemieckiej; a ta głupia gęś niemiecka prasa nie wie nawet o tem, że zaczepiając mnie, działa przeciwko lepszej stronie własnych dążności.“ Sam Bismark więc tu już przyznaje, że

dążności jego spotykają się z National-Vereinem. W podobny sposób skarży się także i w liście do siostry w sam dzień zjazdu badeńskiego pisanym: „Augsburger Algem. et consortes bojąc się, żebym nie został ministrem, szkalują mnie mojemi francusko-rosyjskiemi sympatyami, wielki to zaszczyt dla mnie, że nieprzyjaciele Prus tak się mnie boją. Powinni jednak w to raz uwierzyć, „dass wenn ich einem Teufel verschrieben bin so ist es gewiss der Teutonische und nicht der Gallische.“ Pomimo tych wszystkich zaprzeczeń i zaklinań się Bismarka dowiadujemy się jednak z różnych późniejszych zeznań, a nawet i od niego samego, że te wszystkie podejrzenia nie były nieuzasadnione. Wiemy z pewnością, iż robił on Napoleonowi przyrzeczenia terytoryalnych wynagrodzeń po lewym brzegu Renu i to jeszcze przed wstąpieniem do gabinetu pruskiego; tylko że robił je z tą stanowczą restrictio mentalis, że ich nigdy nie dotrzyma, i dla tego to mógł z czystem sumieniem powiedzieć: że nie francuzkiemu lecz teutońskiemu djabłu się zapisał, tylko o tem zapomniał, że czy francuski czy teutoński to zawsze jeden djabeł.

Jeszcze w roku 1859 przedstawił się Bismark pierwszy raz w Tuilleryach i wedle wiarogodnego opowiadania Jürgensa w dziele „Deutschland im französisch sardinischen Kriege“ pozyskał był sobie sympatyę a raczej zwrócił na siebie uwagę Napoleona przez swoją bezwględną nienawiść do Austryi i zalecił mu się temże na przyszłego ambasadora pruskiego w Paryżu.

O dalszych bezpośrednich stosunkach dyplomatycznych tych dwóch mężów stanu podaje w 10 lat później ciekawe szczegoły „Stuttgarter demokratische Correspondenz (5 Jänner 1869), a jestto organ zawsze dziwnie dobrze o podziemnych działaniach Bismarka poinformowany. „W końcu 1861 roku albo z początkiem 1862 (mówi ta gazeta) pojechał Bismark już ze swoją nominacyą na prezydenta ministrów w ręku jako ambasador do Paryża i miał dosyć gwarancyi za sobą, żeby Napoleonowi następny plan przedłożyć: „Austrya ma być wyparta z Niemiec, krol pruski ma panować w Niemczech. Napoleon pomaga do tego neutralnością, i otrzymuje za to, wedle tego czy Prusy całe czy nie całe Niemcy posiędą, cały

albo nie cały lewy brzeg Renu, w każdym razie jednak przynajmniej Saar z pokładami węgla. Prócz tego ma być Belgia podzielona; Walońska część przychodzi do Francyi, Flamandzka do Hollandyi, Prusy rozpoczynają akcyę przeciw Austryi.“ Napoleon przystał na ten plan.

Było to samo także (w Czerwcu w roku 1862) wszystko ogłoszone w „Neue frankfurter Zeitung.“ Pruskie dzienniki pominęły to milczeniem, a w krótce potem Bismark został ministrem.

Wreszcie w roku 1870 tuż przed wojną francuzką, sam Bismark w sławnym cyrkularzu do reprezentantów związku niemieckiego (29 lipca) pisze co następuje:

„Jeszcze przed rokiem 1862 a więc przed objęciem mojej teki ministeryalnej udawano się do mnie ze strony rządu francuzkiego, abym pozwolił przeprowadzić Francyi zaborcze projekta co do Belgii i nadreńskich prowincyi.... Nie może to być mojem zadaniem, teraz te wszystkie propozycye, które miały w obec mnie czysto prywatne charakter na jaw wyprowadzać, i zdaje mi się, że najlepiej zrobię, jeżeli te wszystkie ciekawe dokumenta, którebym do wyjaśnienia tej całej sprawy mógł przedłożyć, dla siebie zachowam. Ja co się mnie tyczy, wiedziałem co sądzić o takich propozycyach, uznałem jednak zą stosowne zostawić francuzkich dyplomatów jak najdłużej w tej przyjemnej iluzyi, że na takowe przystąję, strzegąc się nawet ustnych wyraźnych przyrzeczeń, bo niepotrzebuję nawet tego panom mówić, że taka łatwowierność dyplomatów francuzkich w możebność podobnych tranzakcyi z *niemieckim ministrem*, którego całe stanowisko ściśle związane jest z powszechnem uczuciem narodowem, tłomaczy się tylko grubą nieznajomością zasad życia obcych narodów, właściwą tylko francuzkim politykom.“

W tem całem zeznaniu Bismarka fałszywem jest tylko to, że jak mówi nie dawał nawet ustnych wyraźnych przyrzeczeń; gabinet francuzki miał najformalniejsze zapewnienia. Później będę miał jeszcze sposobność szerżej o tem mówić, teraz wystarczy tyle do scharakteryzowania roli Prus w obec trzecich Niemiec i Francyi, i tej smutnej roli jaką na zjeździe badeńskim odegrali książęta niemieccy. Zamiast jednakże po tem wszystkiem w obec wspólnego grożącego im niebezpie-

czeństwa solidarnie wystąpić z jednolitą polityką, widzimy właśnie od tego zjazdu badeńskiego między książętami niemieckimi coraz wyraźniejszy rozdział. Z jednej strony stanęli czterej królowie Rzeszy niemieckiej: Bawarski, Wirtemberski, Saski i Hanowerski, wielki książę Heski i książę Nasauski ze sztandarem polityki niezawisłych „trzecich Niemiec,“ z mniej lub więcej szczerą chęcią ścisłego związku z Austryą, zaś zięć króla pruskiego książę Badeński, wielki książę Sasko-Wejmarski, książę Koburg-Gotha z całym zastępem i innych jeszcze małych książąt, coraz otwarciej przyznają się do polityki pruskiej. Ale i te państwa co wywiesiły sztandar anti pruskiej polityki nie umiały skutecznie działać przeciw Prusom. Choć we Wirtembergii n. p. proskrybowano National-Verein i uważano za zbrodnię stanu małoniemieckie projekta, choć jak naprzykład w Monachium usunięto wreszcie wszechwładnie pracujących gotajczyków Sybla i Bluntschlego, to nie przestano za to ulegać liberalizmowi większości Izby sejmowej. W Bawaryi usunął król energicznego ministra Pfordtena główną podporę tronu i samoistności bawarskiej dla tego, że nie był w Izbie niższej popularny, a w Wirtembergii zniesiono także przez uległość Izbie, niedawno przedtem zawarty z Rzymem konkordat. Pomimo zatem jawnej opozycyi na zewnątrz przeciw wpływom i uroszczeniom pruskim, wewnętrznem gospodarstwem przygotowano im drogę, prowadząc w gruncie rzeczy tę samą politykę co i księstwo badeńskie, które otwarcie dla Prus pracowało. I do tego to właśnie zachowania się Państw średnich stosowały się cyniczne słowa Bismarka wypowiedziane w Izbie pruskiej do opozycyi, a cytowane przezemnie w poprzednim rozdziale: „Nie na liberalizm pruski patrzą Niemcy, ale na pruską potęgę. Bawarya i Badeńskie niech sobie protegują liberalizm, ale też za to komuż przyjdzie na myśl tym państwom rolę Prus w Niemczech przydzielić.“ Polityka Prus była wówczas w całem tego słowa znaczeniu taka jak ich barwy narodowe: czarną i białą od razu, białą u siebie, a czarną na zewnątrz. Wewnątrz w czasach pamiętnego konfliktu działano w imię bezwzględnych praw korony i wzmacniano się przez militaryzm i junkierski absolutyzm, w sąsiednich państwach związkowych protegowano, *propagowano* nawet, ten

sam osłabiający trony liberalizm, z którego potem Bismark w Izbie żartował.

Nie darmo nazywano w Niemczech małe księstwo *Badeńskie* „Musterstaat“ była to prorocza intuicya, bo w Badeńskim już przed 10 laty widzimy to wszystko co dzisiaj w całych Niemczech panuje: zwycięztwo zupełne pruskich tendencyi i walka zażarta zasady wszechmocnego państwa z katolickim kościołem. Badeńskie była to prawdziwa forpoczta dzisiejszej prusko niemieckiej cywilizacyi, a jest to bardzo charakterystyczne, że w tym kraju więcej niż gdziekolwiek indziej, oddawna nie książe ale uniwersytety nieograniczone miały panowanie. Heidelberg i Fryburg dyrygowały nie tylko publiczną opinią, ale i publiczną sprawą w tym zresztą pod ekonomicznym względem wzorowym i bardzo szczęśliwym kraiku. Od czasu jak pułki pruskie uśmierzyły tamże rewolucyę w 1874 roku ciężało jakieś fatum nad tym krajem zmieniające go coraz bardziej w pruską prowincyę i nadające tem samem Prusom i w południowych Niemczech coraz stalszą pozycyę.

W tym samym czasie czekała Prusy jeszcze jedna wielka zdobycz w Niemczech. W roku 1861 książę Ernest von Sachsen-Koburg-Gota, brat księcia Alberta męża królowej Angielskiej, znany nam już protektor Gotaizmu i National Vereinu, zawarł z Prusami konwencyę wojskową, mocą której swoje pułki wcielił poprostu do armii pruskiej. Stolica Gotaizmu jak widzimy pierwsza w Niemczech zupełnie się Prusom poddała. W taki to sposób owa klasyczna ziemia w samym jądrze Niemiec, bogata wspomnieniami pierwszego wielkiego zwycięztwa Germanów nad Rzymem, zwycięztwa Arminiusza w Turyngskich lasach, oddała się bez walki Prusom w roku 1861. Smutny zatem miały koniec poprzednie wygórowane ambicye księcia Ernesta II, który jakiś czas marzył nawet o niemieckiej, koronie cesarskiej lub przynajmniej o wielkim królestwie Westfalskiem. Książę Sachsen-Meiningen zaprotestował na mocy traktatów familijnych przeciwko tej Kobursko-Gotajskiej konwencyi, ale książę Ernest odpowiedział na to, że nie uważa swego księstwa za majorat ani za prywatną własność i że dobrze zrozumiany interes jego następców spowodował go do tego kroku. Gdzież miało żyć i utrzymywać się poczucie dawnej niezawisłości szczepów germańskich jeźli ono w natural-

nych reprezentantach tychże, w książętach tak znikczemniało! Wprawdzie było to koniecznem dla wzmocnienia i ustalenia związku, aby księżęta niemieccy abdykowali ze swego nienaturalnego stanowiska miniaturowych potęg europejskich, ale od takiego zejścia o jeden stopień niżej z piedestalu swego majestatu, aż do tego co zrobił ks. Koburg-Gotta jest jeszcze bardzo daleko, Ksiażęta niemieccy nie umieli utrafić szczęśliwego środka w polityce swojej, jedni chcieli utrzymać się na wyśrubowanych stanowiskach, a inni znowu schodzili dobrowolnie na pruskich jenerałów. Nie przyszło między nimi do tego zdrowego przekonania, że tylko bezwzględne oparcie się na Austryi, wspaniałomyślne ograniczenie swej władzy na rzecz przywódzcy związku cesarza Austryackiego, mogło było zarazem i cały związek niemiecki uprościć i wzmocnić i książętom zagwarantować odpowiednią niezawisłość, zwłaszcza że Austrya w tym samym właśnie czasie weszła była na autonomiczno-konstytucyjną drogę patentem Lutowym i Październikowym. Przekonanie to przebijało się w prawdzie i w literaturze ówczesnej i w prasie i na różnych zebraniach ludowych, a nawet i w notach dyplomatycznych. Wszystkie dodatnie żywioły niemieckie w gruncie rzeczy w tejże żyły wierze, nie było jednak we wielko-niemieckiej partyi dosyć energii i siły, dość zmysłu praktycznej inicyatywy, czego właśnie nie brakowało w obozie przeciwnym. Po pierwszem wystąpieniu mniejszych gabinetów niemieckich z projektami Würzburskimi, które jak wiemy spełzły na niczem z powodu opozycyi pruskiej, dawniejszy triumvirat reformatorski, średnich państw niemieckich został rozbity dymisyą bawarskiego ministra Pfordtena, i teraz Saksonia sama stanęła na czele inicyatywy: Baron Beust przedłożył nowy projekt reformy Związku w Bundestagu (15 Października 1861 roku). Wyszedł on w swym programie z tej dobrej zasady, że we wszystkich zmianach konstytucyi związkowej, jeżeli mają one być prawdziwą reformą, a nie rewolucyą, trzeba brać za punkt wyjścia istniejący organizm związkowy. Trafił on także w samo jądro złego wskazując na brak zupełny pośredniczącego czynnika między Bundestagiem złożonym ze samych zastępców książąt a samymże narodem niemieckim. Był to jeden z głównych błędów konstytucyi związkowej, że reprezentacye pojedynczych krajów czuły się zupełnie

izolowanemi od władzy centralnej Niemiec, i były ograniczone litylko na udział we własnych małych krajowych sejmach. W żadnej więc instytucyi nie mogły przyjść te wszystkie obok siebie leżące terytorya niemieckie do poczucia swojej do siebie przynależności i do zaspokojenia powszechnych narodowych dążności, by się ujrzeć raz przecie jedną wielką całością polityczną. Ponieważ jednak wszelkie tworzenie powszechnego parlamentu niemieckiego na mocy kół wyborczych nieuwzględniających historycznych terytoryów, przez wybory wprost na zasadzie powszechnego głosowania tak, jak go chciał mieć National-Verein und die Fortschrittsmänner, pan Beust słusznie uważał za krok rewolucyjny, za wznowienie zasad roku 1848 i 1849 obrał on więc w swoim projekcie pośrednią drogę i proponował, aby złożyć ogólny parlament z delegacyi wybieranej z łona sejmów pojedynczych krajów związkowych, w podobny sposób iak się tworzył austryacki Reichsrat w Wiedniu, przed świeżo ogłoszoną reformą wyborczą. O ile dobrze pomyślanym i dla istniejącego ustroju Niemiec najodpowiedniejszym mógł być ten rodzaj ogólnego parlamentu, o tyle niepraktyczne i bałamutne były dalsze ustępy projektu p. Beusta, szczególniej tyczące się władzy egzekutywnej i dowództwa związkowemi siłami zbrojnemi. Pan Beust proponuje naprzykład, żeby Bundestag był wędrujący, żeby pół roku zasiadał w Regensburgu a pół w Hamburgu i to raz pod austryacką a raz pod pruską prezydencyą, zaś na czas zawieszenia Bundestagu, aby uniknąć prusko-austryackiego dualizmu proponuje wybór jednego z książąt niemieckich na trzeciego członka najwyższej władzy egzekutywnej, któryby miał być zarazem naczelnym dowódzcą związkowej armii. Bijącą w oczy jest niepraktyczność tych projektów, a że one były dosyć wiernym wyrazem dążności i opinii politycznych całych „trzecich Niemiec“ o ile nie były jeszcze przyjęły na się pruskiej barwy, jest więc i ten projekt także rażącym przykładem ich niedojrzałości politycznej. Dążności przeciwnego obozu małoniemieckiej partyi jakkolwiek niczem nieusprawiedliwione i wszelki istniejący stan rzeczy gwałcące, miały przecie tę fatalną wyższość nad tymi wielko-niemieckiemi projektami, że miały prosty, jasny i dla wszystkich łatwo zrozumiały program. Wiedziano czego chciano i nie chwytano się półśrodków wikłających tę już i tak bardzo zawikłaną sprawę.

Takiemu programowi jedności niemieckiej z wykluczeniem Austryi na liberalnych podstawach „mit der preusischen Spitze“ jak go stawiała mało-niemiecka partya można było skutecznie przeciwstawić tylko równie energicznie i stanowczo wypowiedziany program jedności niemieckiej pod cesarskim domem Habsburgów, na federacyjnych podstawach z drugorzędnem Prus stanowiskiem. Prawda, że Prusyby na to w żaden sposób dobrowolnie nie przystały i nie dałyby się z *majoryzować* choćby się tylko same jedne po drugiej stronie znalazły; w takim razie jednak nie było innej rady jak wystapić z całą siłą choćby i z bronią w ręku naprzeciw zbuntowanego związkowca, bo jeźli miało i tak prędzej czy później przyjść do wojny domowej (i nawet nie było wcale tak trudno tę konieczność przewidzieć) to lepiej ją było wszcząć w r. 1861 w imię najświętszych praw związkowych, niźli czekać na prowokacyę w trójnasób nową organizacyą wojskową wzmocnionych Prus w roku 1866.

Austrya chociaż w gruncie przychylna inicyatywie średnich Niemiec, a więc i projektowi barona Beusta, nie mogła się jednak bezwarunkowo na nim podpisać. W nocie więc swojej 5 Listopada 1861 r. ministeryum austryackie oświadczyło wyraźnie „że właśnie w jednomyślnem i szczerem uznaniu austryackiego domu cesarskiego jako przewodniczącego związkowi widzi najżywszy interes książąt niemieckich i jedyną pozostałą formę niemieckiej jedności. Za główną zaś chorobę związku uważa Austrya dualizm prusko-austryacki, w skutek którego pisze owa depesza gabinetu wiedeńsklego dzieją się takie anomalie, „że gdy jedna część niemiekiego narodu walczy z nieprzyjacielem, druga odgrywa tymczasem rolę egoistycznego spektatora. (Jest to wyraźna aluzya do zachowania się Prus w r. 1859). Jak długo trwa taki stan rzeczy nie zdadzą się na nic wszelkie powierzchowne reformy związkowe,“ kończy nota Austryacka.

Odpowiedź pruska pojawiła się dopiero 20 Grudnia 1861 roku. Hrabia Bernstorf, który w przechodowej erze między Schleinitzem a gabinetem Bismarka przyjął tekę ministeryalną, wystosował depeszę na ręce ambasady pruskiej do Drzena, w której dowodzi, iż rozwiązanie kwestyi niemieckiej głównie utrudniają te państwa związkowe, które nie całem terytoryum

swojem do związku należą i swój punkt ciężkości mają poza związkiem, to jest Dania, Belgia, Prusy i Austrya. — „Taki aglomerat“ mówi depesza Bernsdorfa „nie da się ująć pod jedno wszystkich obowiązujące prawo Państwowe. — Według Wiener Schlussakte z 1820 roku Rzesza niemiecka jest związkiem międzynarodowym (Völkerrechtlicher Verein). Zachowanie tego charakteru międzynarodowego w całem jego szerokiem znaczeniu, zdaje nam się być koniecznem dla związku.“ Była to właśnie jedna z głównych przyczyn słabości związku, ten jego międzynarodowy charakter, wskutek czego pojedyncze państwa nie należały do siebie i były sobie nawzajem obce, choć je jedna łączyła narodowość. Właśnie ta sprzeczność w tym politycznym tworze, iż był związkiem międzynarodowym, choć w nim nie było narodów tylko jeden naród, — musiała oburzać całe niemieckie uczucie narodowe. — Prusy jednak mające zawsze na celu, żeby związek póki one w nim wyłącznie nie zapanują był jak najsłabszy i jak najbardziej rozdarty, podtrzymywały tę anomalię jego międzynarodowego charakteru. Gdyby chciały były Prusy z całą konsekwencyą przeprowadzić tę zasadę, byłyby tym sposobem i siebie od reszty Niemiec odcięły stając do nich także tylko w międzynarodowym stosunku. Ale w odpowiedzi gabinetu pruskiego, mamy jeszcze część drugą, zmieniającą postać rzeczy, bo tu już Prusy o sobie wcale nie zapominają. Depesza hr. Bernstorf w dalszym ciągu rozwija dokładniej myśl swoją: „Dopiero w obrębie tego szerszego związku międzynarodowego z krajami związkowemi do Danii, Belgii, Prus i Austryi należącemi, któryby był związkiem czysto defenzywym i międzynarodowym dałby się utworzyć drugi związek, a właściwie państwo związkowe (Engerer Bundesstaat im Staatenbunde) z krajów czysto niemieckich, ale po za Austryą, Danią, Belgią, (tylko broń Boże nie po za Prusami) leżących.“

„Otóż dopiero w tym ściślejszym związku“ mówi depesza Bernstorfa, „dałaby się przeprowadzić większa państwowa jednolitość, którą nie podobna na cały związek rozciągać. Miarę zaś mniejszego lub większego uprawnienia pojedynczych członków w tym ściślejszym związku należy oprzeć na rzeczywistej większej lub mniejszej ich potędze (Bei der Bildung der Verfassungsorgane und der Begründung organischer Einrich-

tungen des Bundes sollen *die realen Machtverhältnisse* zu Grunde gelegt werden). „Ponieważ jednak, jak sobie to każdy czytelnik depeszy Bernstorfa mógł z myśli dośpiewać, w tym ciaśniejszym związku po za Austryą, Prusy „die realen Machverhältnisse“ miałby za sobą, więcby też im sama z siebie przypadła i władza centralna w tem nowem państwie związkowem.

Był to więc znowu małoniemiecki program z 1849 r, na nowy sposób odgrzany.. — Depesza Bernstorfa wywołała wielką senzacyę w średnich państwach niemieckich, — Bawarya, Hanower, Wirtembergia, Hesya i Nasau porozumiały się z Austryą i wystosowały identyczną notę do Berlina, gdzie oświadczają, że bezpieczeństwo, jedność, moralny spokój i nadzieja lepszego rozwoju Niemiec są niezmiernie zagrożone projektem Berstorfa, i że jest on wręcz przeciwny związkowym traktatom. Saksonia wyłączyła się od tej noty, Beust osobną odpowiedź wystosował do Berlina (11 stycznia 1862 r.) gdzie przyznaje wprawdzie, że wszelkie porozumienia z Prusami na podstawie odpowiedzi Bernstorfa wydaje mu się niepodobnem, wyraża przecie zarazem i nadzieję, że znajdą się może w przyszłości punkta pojednawcze. — Jemu zaś tymczasem wystarcza tyle do osobistego zadowolenia, że raz przecie poruszył stanowczo kwestyę niemiecką, i otworzył prawdopodobnie szereg dalszych w tej mierze dyplomatycznych negocyacyj. Wistocie najważniejszem następstwem projektu Beusta było to, że Prusy wystąpiły nareszcie wyraźnie i jawnie ze swemi względem Niemiec intencyami; ale była to zarazem wielka klęska wielkoniemieckiej partyi, bo wielka niepraktyczność niektórych ustępów projektu była aż nadto wystarczającą, żeby Prusy miały pretekst cały ten projekt odrzucić, i zachwiać zaufanie do każdej wielkoniemieckiej inicyatywy, a tem samem rzucić Niemcy w dawną bezczynność i apatyę. Po depeszy Bernstorfa zdobyto się wprawdzie na groźne słowa wiedeńskiej noty identycznej, ale nie poparto jej żadnym czynem. — Zato Prusy nie próżnowały wcale. — W parę miesięcy po odebraniu tej noty zawarły na swoją rękę imieniem całego związku cłowego obejmującego Niemcy po za austryackie, traktakt handlowy z Francyą, odcinający Austryę na zawsze od Niemiec; poczem rozesłano do wszystkich rządów związku cłowego, memoryał, zawiada-

miający je o tym traktacie i wzywający do zatwierdzenia tegoż. Była to sprawa niezmiernie ważna. Austrya natychmiast zaprotestowała przeciw temu i starała się wpłynąć na opinię państw średnich zwłaszcza południowych, żeby je powstrzymać od tego, w skutkach swoich i dla nich i dla Austryi fatalnego kroku. Hrabia Rechberg ówczesny minister austryacki z prawdziwem oburzeniem oświadczył gabinetowi pruskiemu w nocie z 7 maja: że zawarcie takiego traktatu między związkiem cłowym i Francyą równa się zupełnemu i zasadniczemu odcięciu Austryi od reszty Niemiec,.i gwałci te układy, jakie Austrya poprzednio w roku 1853 ze związkiem cłowym zawarła. W końcu oświadcza austryacka nota, że uważa ten traktat za fakt polityczny niezmiernej doniosłości, wzniecający największe obawy co do przyszłego Austryi w Nicmczech stanowiska.

W południowych państwach niemieckich, w Bawaryi i Wirtembergii znalazła początkowo depesza austryacka silne poparcie, i zdawało się, że Prusy napotkają tamże stanowczy opór w tej sprawie. Ale pierwsza Saksonia z panem Beustem oświadczyła się za prusko-francuskim traktatem, powodując się w tem zdaniem interesowanych kupców i przemysłowców. Także i Badeńskie przedłożyło go zaraz sejmowi do uchwalenia, a gabinet pruski tem ośmielony, zaprzeczył Austryi w nocie z 28 maja wszelkiego prawa sprzeciwiania się podobnym traktatom: „bo Prusy i związek cłowy muszą mieć zupełną wolność postępowania li tylko we własnym interesie.“ Wszelkie późniejsze propozycye Austryi, że gotowa uznać traktat francusko-pruski, byleby i na jej terytoryum rozciągnięty został, odrzuciły Prusy bezwzględnie; a tajny radca Delbrück, dzisiejszy minister cesarstwa niemieckiego, puścił w kurs broszurę, w której mówi: że zawrzeć związek cłowy z Austryą znaczyłoby to samo, co położyć w jedno łóżko zdrowego z chorym na tyfus. Austrya jeszcze nie przestawała nalegać w nowej depeszy, (z 26 lipca) tymczasem jednak traktat prusko-francuski został jako przedłożenie rządowe przez sejm pruski zatwierdzony; Austryi zaś wysłano odpowiedź, że Prusy w zasadzie nie są przeciwne układom, co do tego traktatu, teraz jednak nie jest jeszcze czas po temu, dałoby to powód do wielkiego zamieszania. „Dopiero aż traktat przez cały związek

cłowy zostanie przyjęty, będzie można i z Austryą w tej handlowo politycznej kwestyi się porozumieć.

Ponieważ Bawarya, Wirtembergia i Hanower trwały w swojej opozycyi, zagroziły im Prusy, wykluczeniem z niemieckiego Zollvereinu, przez coby był rzeczywiście handel i przemysł tych krajów mocno ucierpiał. W połowie października odbyło się więc wielkie zebranie kupców i przemysłowców w Monachium, tak zwany „deutscher Handelstag,“ gdzie obradowano nad tą ważną kwestyą i w końcu 117 głosami przeciw 80ciu za przyjęciem traktatu prusko-francuskiego się oświadczono. — Wprawdzie przeciwne traktatowi rządy opierały się jeszcze czas jakiś presyi kupców i przemysłowców, ale uległy z czasem poddawszy, względy polityczne, czysto materyalnym interesom pewnej klasy ludności.

Była to decydująca kryzys historyi „trzecich Niemiec,“ plan Bernstorfa ścieśnionego związku niemieckiego poza Austryą tym sposobem we większej połowie już był w życie wprowadzony. Prusy już wtedy panowanie w Niemczech miały prawie zapewnione, zarzuciwszy na nie złotą sieć materyalnych interesów, w którą się niemieckie ludy najłatwiej złapać dają.

Najlepszą krytyką całego zachowania się średnich Niemiec w kwestyi niemieckiej w tych czasach dają artykuły z czasopisma „Historisch-politische Blätter.“ Chociaż to jest właśnie organ „trzecich Niemiec“ przeceniający często znaczenie polityczne średnich i małych państw niemieckich, nie szczędzi on im jednak także nieraz bardzo gorzkiej prawdy i rad najzdrowszych. Już w 1860 roku czytamy w artykule z 7go lutego: „Lecz czemże bronią się ci książęta i te ludy skazane już na materyał kompenzacyjny? jak gdyby wszystkie ramiona omdlały, tak znikła u nas cała energia, i zamarła zdolność myśli politycznej. Uchwalono reformy związku na zjeździe Würzburskim, Prusy paraliżują je po kolei, i faktycznie rozbiły już związek, a z naszej strony próżno czekać na jakąkolwiek decyzyę. Jesteśmy podobni do skazańca ucztującego poraz ostatni, czyż kierunek naszego działania politycznego nie jest samą koniecznością wyraźnie wytknięty? Jeżeli Prusy nie chcą się szczerze do związku zastosować, to Niemcy i bez Prus pomódz sobie powinny: spróbujmy tylko raz przecie pójść tą prostą drogą.“ — Ale jak widzieliśmy z całego późniejszego postę-

powania „trzecich Niemiec“ próżne to były słowa. — Po dwóch latach Prusy występują ze swoim traktatem handlowym francusko-niemieckim i znajdują znowu w całych Niemczech tę samą nieporadność, a w końcu uległość.

Do gruntu wtajemniczają nas w ówczesny stan umysłów i usposobień w tych częściach Niemiec, o których właśnie mówimy, te artykuły w „Historisch politische Blätter,“ które właśnie kwestya traktatu handlowego Francyi z Prusami wywołała. Ułatwiają one niezmiernie sąd o tem ważnem przejściu i pozwalają zarazem bliżej wglądnąć w sploty gordyjskie wiszącej kwestyi niemieckiej. Pozwolę sobie przytoczyć z nich niektóre ustępy dla dopełnienia tego pobieżnego szkicu owych czasów, kiedy Niemcy stały jeszcze na rozdrożu swojej wielko lub małoniemieckiej przyszłości. Zaznajomi nas to zarazem z ówczesnym wyznaniem wiary, katolickiej części wielkoniemieckiej partyi. „Jeżeli dotychczas były jeszcze jakie wątpliwości o naszem położeniu, piszą „Historisch politische Blätter“ 1862, to teraz widzimy nareszcie całkiem jasno gdzie stoimy. Już nie będziemy potrzebowali nudzić naszych czytelników wiadomościami o wielkich notach i małych namiętnostkach i o tym bezdennym chaosie reform związkowych. Niemiecka kwestya ma już nareszcie swój kształt namacalny, nazywa się *prusko-francuskim traktatem handlowym* i jest kwestyą średnich państw niemieckich. W Berlinie wprawdzie zadają sobie pracę koniecznie dowieść, że handlowy traktat z Francyą jest czysto komercyalnej natury, bez żadnej ubocznej myśli politycznej; a przecież ten traktat nie jest niczem innem, jak handlowo polityczną asekuracyą małoniemieckiej polityki. — Jeźli go mamy odrzucić, to niechże to się nie stanie ze względów ekonomicznych, ale niech to będzie wspólnym *politycznym* czynem. Teraz, albo nigdy pokaże się czy u nas są jeszcze jakie wyższe względy nad liberalną rutynę i materyalne interesa. Jedyną gwarancyą całości Niemiec i autonomii pojedynczych krajów, byłoby odrzucenie tych traktatów, nawet choćby nam to pod ekonomicznym względem wyszło na szkodę..... Z początku zdawało się, ze opozycya przemysłowców zaważy coś na szali, nawet „Allgemeine Augsburger“ przyjęła traktat z oburzeniem, ale te chmury zaczynają się rozchodzić i zdaje się, że artykuły pojednawcze w niej wezmą górę. — I nie

byłoby nawet w tem nic dziwnego, bo choć traktat ten wielu naraża na ruinę, to znowu innym obiecuje zyski, podczas więc gdy jedni rozpaczają, śmieją się drudzy, a ci ostatni są silniejsi. — Traktat ma silnych sprzymierzeńców: liberalną teoryę kosmopolitycznego handlu i żydowskich spekulantów. Przemysł zabił dziś rękodzielnictwo, a handel nie zapewnia przyszłości przemysłowi, wszystko idzie na tem polu podług prawa pięści, „hodie mihi cras tibi.“ Czyż to byłoby za wiele żądać od Prus i wielkich Niemiec, żeby się pod ekonomicznym względem na siebie ograniczały, objąwszy jeszcze i Austryę związkiem cłowem, i tak stanęły jako samoistna potęga ekonomiczna siedmdziesięciu milionów. — Ależ to byłoby niemożliwe! krzyczą z drugiej strony, a dlaczego? bo związek cłowy zbliżyłby Austryę do reszty krajów niemieckich, a na to nie można pozwolić, bo to jest wielkoniemiecka idea. Ten traktat jest właśnie na to obliczony, ażeby Austryi stosunki z Niemcami oziębić, żeby ona straciła wszelki interes bronienia Renu i zajmowania się kwestyą niemiecką. Nigdy jeszcze wielkoniemiecka idea nie była tak niebezpiecznie zagrożoną, Prusy wpadły na mistrzowski pomysł, przeniosły kwestyę niemiecką na ekonomiczne pole. Pan Beust uznał już za stosowne oświadczyć, że traktat prusko-francuzki nie ma żadnego tła politycznego — Hanower wytrzymał wprawdzie pierwszy atak, ale jego położenie geograficzne tak jak i przemysłowe stosunki Saksonii, nienadają się wcale do długiej handlowo politycznej opozycyi przeciw Prusom. Można się więc obawiać najgorszych rzeczy; powszechnej dezercyi państw średnich, jeżeli się ci przynajmniej nie porwą prędko do czynu, których już same naturalne handlowo-przemysłowe względy pchają do opozycyi. *Muszą one*, jeżeli nie chcą same na siebie wyroku śmierci podpisać, wznieść się po nad liberalną rutynę i po nad materyalne interesa niektórych warstw społecznych *i powinny* z całą siłą: „Nie“ powiedzieć, choćby to miało pociągnąć za sobą nawet rozbicie związku cłowego!.. Ten prusko-francuzki atak byłby nawet dobrodziejstwem, gdyby raz przecie przywiódł Niemcy do poznania, że nie można tak żyć z dnia na dzień, i że nie daje się zażegnać grożące niebezpieczeństwo dyplomatyczną pisaniną. — Jeźli ten nowy północno-zachodni atentat na Niemcy, będzie tylko cłowym odparty, a nie jakim

politycznym czynem, będzie to nowym dowodem, że brakuje nam pierwszych warunków do zachowania własnej egzystencyi, a wtedy pożegnajmy się z wielkoniemiecką ideą! Stanowcza decyzya jest już oddawna konieczną, a teraz mamy na to już ostatni termin, i czemuż jeszcze się wahamy?... Najzgubniejsze są dla nas te marzenia o troistych Niemczech, które średnim państwom niemieckim przydzielają ważną rolę utrzymywania równowagi między dwoma niemieckiemi mocarstwami. Wydaje się to pięknie na papierze, w rzeczywistości jest to niepodobieństwem.... My teraz tylko z Austryą mamy wspólnych przyjaciół i nieprzyjaciół, natura rzeczy każe nam się oprzeć na austryackim cesarstwie, i to jest ostatnia ucieczka dla wszystkich co się opierają na legitymizmie i prawomocności traktatu. Cuda zdziałaćby mogła ta myśl wcześniej podjęta — na nic się nie zda, gdy przyjdzie zapóźno.“

Tę samą myśl dalej i szerzej rozwija baron von Linden w swojej broszurze: „Kaiser und Reich, politische Eröterungen z roku 1862,“ a więc w tym samym czasie wydanej. — Autor był poprzednio zagorzałym wyznawcą idei Niemiec troistych, pod presyą ostatnich wypadków, jednak przeszedł do wielkoniemieckiego obozu. Broszura ta zrobiła w swoim czasie wielkie wrażenie, do czego się i to niemało przyczyniło, że pochodziła ze sfer bliskich bawarskiego dworu. Przytoczę także z tej broszury niektóre ustępy i podam treść i myśl jej w skróceniu, bo przenosi ona także żywo w te czasy, kiedy Niemcy miały jeszcze dwie drogi przed sobą, i mogły samoistnie swoją przyszłością rozrządzić. Dziś kiedy już jedna droga obrana, ciekawem jest przypomnieć sobie te dążności, usiłowania i nadzieje, jakiemi wtedy żyli prawdziwie wolnomyślni patryoci niemieccy, pragnący najwyższego rozwoju życia dla swej ojczyzny, ale bez gwałtownego zrywania z przeszłością. Porównawszy to z późniejszemi losami Niemiec w roku 1866 i 1871, uczymy się najlepiej nazywać te przejścia właściwem imieniem. Dajmy więc głos broszurze barona Linden, idąc za przebiegiem jego myśli: „Jak długo nie zaczniemy mówić głośno o wielkoniemieckiem cesarstwie, nie będziemy nigdy wiedzieć czego właściwie chcemy, słusznie się będą z nas śmiać w przeciwnym obozie, jako z marzycieli o jakiemś nieokreślonem 70 milionowem państwie; dlaczego nie powiedzieć raz

wyraźnie, że ani małoniemieckie cesarstwo, ani troiste Niemcy nie mogą w zupełności zaspokoić wszystkich aspiracyi i potrzeb niemieckich w naszym wieku, i nie są tak odpowiednie naszej całej przeszłości, jak wielkoniemieckie cesarstwo. Ono jedno mogłoby stworzyć dla całości ciało parlamentarne i zapewnić autonomię pojedynczym krajom. Małoniemiecki parlament byłby tylko rozszerzonym pruskim. (Dziś po 10 latach sprawdziło się to co do joty) tylko wielkie cesarstwo, mogłoby naród oswobodzić od niezmiernych ciężarów militarnych, od tego ciągłego pokoju zbrojnego, który pcha naród do rozpaczy i do rewolucyi. Ani troiste, ani małe Niemcy nie mogą złemu zapobiedz, owszem zwiększą je jeszcze, bo do dawnych nieprzyjaciół tworzą sobie nowych i to we własnym łonie. — Zresztą my nie chcemy ani pośrednio ani bezpośrednio przyczyniać się do podkopywania naszych tronów i dynastyi, owszem chcemy jeszcze i nadal zapewnić im dawne niemieckie prawo, a to jest możliwe tylko we wielkoniemieckiem cesarstwie, bo pytam się, kiedyż naprzykład Bawarya miała większe znaczenie? czy wtedy gdy była jednym z pierwszych „stanów“ (Reichsstand) niemieckiego cesarstwa? czy od czasu gdy jest wprawdzie nie zawisłą, ale na wpół zapomnianą w areopagu państw europejskich i zwolna nikczemnieje w swojej biernej politycznej roli? — Doprawdy nie rozumiem obawy książąt niemieckich przed ideą wielkoniemieckiego cesarstwa; zyskaliby więcej niżby stracili, boby ich pewnie mniej uciskał cesarz niemiecki i ogólny niemiecki parlament, niżli teraz adwokaci liberalnej większości Izb sejmowych. Polityka w imię wielkiej cesarskiej idei jest prostą i wzniosłą, a tylko odważne wystąpienie i silna inicyatywa we wielkim stylu imponuje i pociąga masy. Zwykłą odpowiedzią na wielkoniemiecką ideę jest zbycie ją tem, że jest niemożliwą! małoduszność nasza i powierzchowne traktowanie niemieckiej kwestyi robią ją niemożliwą; inaczejby było, gdybyśmy raz loicznie myśleć zaczęli i rzeczywiste fakta wzięli za punkt wyjścia. Na drodze pokojowego rozwoju i dyplomatycznych układów, są wszystkie trzy recepty jednakowo niemożliwe, czy to małoniemiecka, czy to wielkoniemiecka idea, lub Niemcy troiste; absolutnem niepodobieństwem są tylko te ostatnie; zaś na realnej drodze walki rzeczywistych potęg, do której prędzej czy później przyjść

musi, pozostaje tylko ta alternatywa: albo wielko-pruska albo wielkocesarska jedność niemiecka. Jeżeli nasi książęta nie mają być detronizowani, jeżeli nie chcemy być pruskimi poddanymi, to zidentyfikujemyż nasze interesa z interesem Austryi, a wnet wielkoniemiecka idea przyoblecze się w krew i ciało! Ale cóż kiedy energia jest tylko u przeciwników; nad nami ciążą ołowiem obojętność i apatya, jaka jeszcze przed dziesięciu laty zdawała się niepodobną. Cóż nam rokuje takie usposobienie w najniebezpieczniejszej chwili? Cały świat powinienby teraz zadziwić się energicznem wystąpieniem średnich państw niemieckich, bo już bardziej niż dzisiaj nie może być ich ambicya prowokowaną, do czynu; pomimo tego żadna inna myśl nie zdaje się niemi powodować, jak tylko chęć zyskania na czasie. Nie mogą sobie nic lepszego życzyć Prusy i partya gotajsko-demokratyczna.“

Dzisiaj widzimy ile zdrowego i jasnego poglądu na ówczesną chwilę, było w tej broszurze barona Linden, a nie stał on sam jeden na tem stanowisku, Niemcy miały dużo ludzi zdrowo patrzących i przewidujących; w tym samym czasie także znowu jeden artykuł w „Historisch politische Blätter“ z wielką siłą odzywa się od wielkoniemieckich patryotów. „Na miłość Boga precz z wszystkiemi pisanemi programami reformy związku, zamiast tego lepiej liczmy nasze pułki, rozdzielajmy pozycye strategiczne, zużyjmyż przecie raz na co nasz kredyt i nasze miliony, weźmy na nasz koszt 200,000 austryackiego żołnierza, to rozstrzygnie kwestyę! a przecież stać nas na to. Wistocie wobec coraz jawniej występujących zamiarów Napoleona względem lewego brzegu Renu i wobec polityki pruskiej, którą dopiero Bismark nareszcie miał tę otwartość nazwać po imieniu, czyż można było myśleć nawet o skuteczności innej polityki w Niemczech i w Austryi!? bo przecież krew i żelazo tylko żelazem i krwią odeprzeć można.“ „Nasi przodkowie, mówią dalej „Historisch politische Blätter“ nasz lud nie zawinił tyle w upadku Niemiec, ile zawiniło nieszczęsne wywyższanie się książąt przygotowujących żniwo dla Fryderyka W. i Napoleona. W ludzie naszym dotąd żyje cześć dla dawnego cesarstwa, historya i loika żąda całkowitej jedności niemieckiej, poza tem jest tylko możebny absolutyzm i partykularyzm, mamyż chcieć jedności z naszymi domami

książęcymi na czele? czy bez nich? My chcemy z nimi żyć i umierać! chcemy, żeby cała inicyatywa była w ich ręku a nie w ręku pierwszych lepszych przywodzców partyi, nasi książęta mają teraz do wyboru w tym naszym dzisiejszym świecie faktów dokonanych, albo sami muszą zdziałać „fait accompli,“ albo staną się ofiarą faktu dokonanego!

Wszystkie te wybuchy gorącego patryotyzmu robią wrażenie hamletowskich monologów po za któremi była tylko apatya i bezczynność, w przeciwieństwie do żywej akcyi pruskiej i narodowo liberalnej partyi. Jest to zwykły bieg rzeczy na świecie w politycznych walkach, że tam gdzie jest wiele pychy a mało sumienia, tam jest i wiele energii i pochopność do czynu; tam zaś gdzie większa sumienność w zasadach — to znów przemaga lenistwo i kończy się natem, że pyszni pokonają zawsze leniwych, pycha bowiem wyższą jest od lenistwa w hierarchii złego! Wobec wszystkich bezsilnych porywów do czynu wielkoniemieckiego obozu, Prusy konsekwentnie szły naprzód powiedziawszy sobie: Postarajmy się tylko o bezwzględne opanowanie sił zbrojnych i ekonomicznych inseresów Niemiec, starajmy się wytrącić Austryi z rąk dyplomatyczne pośrednictwo w związku, a wszystko inne będzie nam przydane.

Ze wstąpieniem Bismarka do gabinetu pruskiego (22 października 1862 r.) kończy się w Niemczech ta trzechletnia epoka (od 1859 roku) inicyatywy „trzecich Niemiec“ w projektach reform związkowych; teraz zchodzą one zupełnie z pierwszego planu, kwestya niemiecka przestaje już być kwestyą państw średnich, i przybiera coraz wyraźniejszy charakter ostatecznej gry Prus z Austryą o Niemcy. Historya inicyatywy średnich i mniejszych państw reformy związku niemieckiego kończy się ostatecznie 22 stycznia 1863 r. gdy ponownie wniesiony zmodyfikowany saski projekt „Delegacyi“ 9ma głosami przeciw siedmiu, upadł w Bundestagu. To co przy tej okazyi bar. Pfordten były minister bawarski a ówczesny ambasador w Frankfurcie powiedział, możnaby wypisać na nagrobku wszystkich niedoszłych usiłowań trzecich Niemiec: „Jeśli nie ma u nas poczucia spójni książąt i ludów niemieckich i tego ducha poświęcenia dla publicznego dobra, które nie pozwala

żadnej jednostce związkowej na koszt drugiej się wywyższać, to żadna konstytucya nie jest w stanie sił narodu zjednoczyć.“

Bismark odrazu uważał uregulowanie stosunków z Austryą za najbliższe zadanie pruskiej polityki w Niemczech, to też podczas gdy jeszcze debatowano nad projektem delegacyi w Bundestagu konferował on w Berlinie z ambasadorem austryackim hr. Karolym i ogłosił (24 stycznia 2863) cyrkularz w którym zdaje sprawę ze swoich z nim rozmów, i wypowiada jasno cały program przyszłej wobec Austryi polityki. Cyrkularz ten jest jednym z najciekawszych dokumentów do historyi tej nim właśnie inicyowanej prusko-austryackiej walki, dla tego też trzeba go znać koniecznie choć w głównych ustępach, jest on zresztą arcydziełem w swoim rodzaju całkiem odrębnego stylu dyplomatycznego Bismarka. „W rozmowach moich z p. Karolyem — pisze Bismark — starałem się o bliższe prozumienia się dworów pruskiego i austryackiego poddając ambasadorowi cesarskiemu pod rozwagę co następuje:“

„Podług mego przekonania nasze stosunki z Austryą muszą koniecznie zmienić się albo na lepsze, albo na gorsze. — Jest to szczerem życzeniem mego króla, żeby przyszło do pierwszej alternatywy; jeżelibyśmy jednak ze strony gabinetu cesarskiego żadnego nam przychylnego kroku nie widzieli, to musimy się i na drugą przygotować, przypomniałem hr. Karolyemu, że w latach poprzedzających rok 1848 było to jakby już ułożone między obydwoma mocarstwawi niemieckiemi, że Austrya mogła zawsze liczyć na pomoc pruską w europejskich kwestyach, a za to w Niemczech zostawiała nam wolne pole do działania, czego najepszym dowodem było zezwolenie na zawiązanie przez nas Zollvereinu. W tych stosunkach związek niemiecki cieszył się takim stopniem wewnętrznej jedności i zewnętrznej potęgi, do jakiego potem już nigdy nie doszedł. — Nie chcę tu roztrząsać czyją to jest winą, że po odnowieniu Bundestagu podobny stosunek już nie wrócił, bo mi nie chodzi o rekryminacye za przeszłość, ale o praktyczne urządzenie się w teraźniejszości. Dzisiaj właśnie w tych krajach z którymi Prusy dla ich geograficznego położenia chciałyby w jak najściślejszych stosunkach zostawać, widzimy podnoszącą się przeciwko nam opozycyę i to za wpływem cesarskiego gabinetu (chodzi tu o Hannower i jego opozycyę przeciwko traktatowi handlowemu

z Francyą). Zwróciłem więc na to uwagę p. Karolyego, że takiem postępowaniem Austrya może gdzieindziej zyskuje sobie sympatye, ale na pruską w tych warunkach rachować nie może. Na to ambasador cesarski pocieszał się przeświadczeniem, że gdyby przyszło do wojny dla Austryi niebezpiecznej, to pomimo tego przecież oba mocarstwa pójdą ręka w rękę. Mnie się zdaje, że podobne przeświadczenie polega na wielkiem złudzeniu, które dopiero stanowcza chwila we fatalny sposób dla obydwóch gabinetów rozwiać może. — Prosiłem bardzo pana Karolyego, aby koniecznie gabinet wiedeński z tego błędu wyprowadzić usiłował. Przypomniałem także przy tej sposobności, że i w ostatniej włoskiej wojnie przymierze Austryi z nami może by jej było większe przyniosło korzyści gdyby nie to, że przez ostatnich lat 8 oba mocarstwa co do kwestyi niemieckiej w ciągłej były walce, podkopującej wzajemnie zaufanie, a korzystnej tylko dla drugich. Jeżeli jednak nasze stosunki nie będą szczersze, i nie dadzą się na nowo ożywić, to w takim razie nicby nie było dziwnego, gdyby przyszło u nas i do otwartego przymierza z nieprzyjacielem Austryi, tak jak w przeciwnym razie zapewniony byłby silny i stały sojusz obu mocarsw przeciw wspólnym nieprzyjaciołom. Ja bynajmniej nie ukrywałem tego przed p. Karolym, że w dzisiejszych warunkach nigdybym się nie zdecydował mego monarchę nakłaniać do neutralności. Austrya ma teraz do wyboru: albo może prowadzić dalej anti-pruską politykę, oparłszy się na koalicyi średnich państw niemieckich, albo może z nami wejść w szczere przymierze. To ostatnie byłoby mojem życzeniem; — może to jednak dopiero wtedy nastąpić, aż Austrya zaniecha swoich nieprzyjaznych nam wpływów na niemieckich dworach. Hr. Karolyi odpowiedział, że dwór cesarski nie może abdykować ze swego tradycyjnego stosunku z dworami niemieckimi. Ja nie widzę żadnego uzasadnienia takowych tradycyi, zważywszy to n. p. że od stu lat, od czasów siedmio-letniej wojny Hannower i Hesya powodowały się wyłącznie pruskimi wpływami, i w epoce księcia Metternicha pomienione państwa dostawały nawet ze samego Wiednia odnośne do tego przyjazne nam instrukcye, aby przez to z Prusami ściślejsze stosunki zachować. Mniemana tradycya datuje się dopiero od systemu ks. Schwarzenberga, a ten system okazał się najmniej odpowiednim do ustalenia potęgi związ-

kowej. Nie kryłem się i z tem, że z moich szczegółowych rozmów z ks. Metternichem na Johanisbergu z 1861 r. wyniosłem to przekonanie, że Austrya musi uznać to za zadanie swojej roztropnej polityki, aby nam w związku niemieckim takie stanowisko zapewnić, w którymby warto było narażać nasze siły dla wspólnego dobra. Ale zamiast tego Austrya o to się tylko starała, żeby nam nasze stanowisko w związku o ile możności utrudnić i popchnąć nas tem samem do szukania sobie innych sprzymierzeńców. Cały sposób postępowania z nami gabinetu austryackiego zdaje się polegać na tem przeświadczeniu, że my więcej jak inne państwa na zaczępkę z zewnątrz będąc wystawieni, potrzebujemy obcej pomocy, i że dla tego pozwolimy tym państwom od których się tej pomocy spodziewać możemy z góry nas traktować. Jestto więc zadaniem każdego rządu pruskiego, któremu interes państwa szczerze leży na sercu zbijać te błędne przypuszczenia nawet i czynem, jeżeli słowa i życzenia nasze nie będą odpowiednio uwzględnione. Prosiłem hr. Karolygo, żeby ile możności jak najdokładniej hr. Rechberga z treścią tej naszej rozmowy poufną drogą zaznajomił i wypowiedziałem to przekonanie, że tylko przez jak największą wzajemną otwartość stosunki nasze mogą się naprawić.“ Hr. Rechberg odpowiedział na te zwierzenia Bismarka tonem oburzenia kończąc swoją depeszę w te słowa „Jeżeli w Berlinie stawiają nam tę alternatywę: albo ustąpić z Niemiec i punkt ciężkości monarchii do Pesztu przenieść (tej drugiej przyjacielskiej rady danej p. Karolemu p. Bismark nie uznał za stósowne ogłosić w swoim cyrkularzu) albo w pierwszej lepszej europejskiej wojnie będziemy Prusy mieć przeciw sobie, to niech niemiecka opinia publiczna wyda wyrok na to. Wypadki to same osądzą, jeżeliby kiedy do tego przyjść miało.“

Austrya więc jak widzimy przyjęła rzuconą rękawicę, i ufną w swoją dobrą sprawę pewna była, że całe Niemcy ma za sobą, nieprzypuszczano jeszcze wtedy w Wiedniu, że zbyt lekceważono sobie przeciwnika. — Pruski rząd miał wtedy właśnie wewnątrz i zewnątrz w Niemczech na pozór zachwianą pozycyę. Były to właśnie najgorętsze czasy tego konfliktu Bismarku i korony z Izbą niższą o reorganizacyę armii, o czem mówiłem już w poprzednim rozdziale. Rząd berliński zdawał

się stać na wulkanie, a i na zewnątrz w Niemczech szczególniej w tych krajach co świeżo przegłosowane były ze swoim projektem „delegacyi“ Bundestagu, i w tych gdzie przeciwko traktatowi z Francyą stawiano opozycyę, opinia publiczna była także przeciw Prusom usposobioną. Szorstkie wycieczki Bismarka w Izbie berlińskiej także oburzały wielu; a jakby na to, żeby już nic do tej całej zagrożonej sytuacyi Prus nie brakowało, w tym samym czasie, jak wiemy, wybuchły polskie rozruchy, które wstrzęsło owym tajemnym aliansem francuzko-rosyjsko-pruskim, dziełem Bismarka jeszcze z czasów przed jego wstąpieniem do gabinetu.

Z Rosyą zawarł Bismark zaraz z początkiem lutego jeszcze ściślejszą konwencyę, mocą której obiecał nawet i zbrojną pomoc przeciw Polsce gdyby tego była potrzeba, ale właśnie przez konwencyę zepsuł sobie chwilowo stosunek z gabinetem tuilleryjskim, który wtedy wraz z Anglią w kwestyi polskiej do Austryi się zbliżył, by rozpocząć ową tak fatalną dla nas wojnę dyplomatyczną z Rosyą, która nas tyle krwi i tyle nieszczęść kosztowała. Nie była ona także bez wielkiego wpływu na dalsze losy kwestyi niemieckiej jedności....

Rozruchy polskie jak wiemy, rozbiły tajny alians francusko-rosyjsko-pruski, usuwając na bok Francyę a ścieśniając węzły prusko-rosyjskiego przymierza- W tym składzie rzeczy było to najwyższem życzeniem Bismarka i Gorczakowa zbliżyć się do Austryi by zrobić z nią alians trzech państw rozbiorowych, a więc wznowić niejako święte przymierze. Była nawet może chwila, kiedy Bismark żałował swoich niedawnych zbyt szczerych rozmów z p. Karolym, bo przez to musiał już w obec Austryi odkrytą grę prowadzić. Gabinet austryacki stanowczo odrzucał wszelkie propozycye ze strony Prus i Rosyi.

I wtedy to po tem tak stanowczem usunięciu się od wszelkiej wspólności w polityce z Rosyą i z Prusami w kwestyi polskiej, wystąpił cesarz z czemś całkiem nowem i niespodziewanem zupełnie. Wtajemniczył on króla Wilhelma w swój zamiar zwołania wszystkich panujących książąt niemieckich do Frankfurtu na 16 sierpnia, aby wspólnemi siłami naradzić się nad sposobem przeprowadzenia dawno przez cały na-

ród upragnionej jedności niemieckiej, i prosił króla Wilhelma żeby zechciał podzielić z nim inicyatywę tego wielkiego dzieła, zarazem złożył cesarz królowi Wilhelmowi obszerny memoryał o celu i motywach tego zamierzonego kroku.

Przywoławszy sobie na pamięć dążności pruskie w Niemczech, można sobie wyobrazić z jakiem uczuciem przyjął król Wilhelm tę wiadomość od cesarza Franciszka Józefa. Na razie nie odpowiedział nic stanowczego zachowując sobie decyzyę do dnia następnego po roztrząsnieniu tej tak ważnej sprawy. Sam król osobiście może by się zresztą był i dał pociągnąć śmiałą inicyatywą cesarza i może by się był zdecydował przynajmniej do Frankfurtu pojechać. Ale w Gastein był także i Bismark; po naradzie z nim król Wilhelm na drugi dzień odpowiedział cesarzowi, że nie uważa tego za stosowne, aby rozpoczynać dzieło zjednoczenia Niemiec zjazdem książąt i że lepiej byłoby zacząć od konferencyi ministeryalnych. — Tego właśnie chciał już raz uniknąć cesarz austryacki, widząc na czem się kończyły wszystkie poprzednie ministeryalne narady i znając dokładnie usposobienie gabinetu pruskiego z niedawnych rozmów Bismarka z hr. Karolym. Bismark wyprosił sobie na dzień 3 sierpnia audyencyę u cesarza austryackiego, ale ta trwała tylko trzy minuty i z tego można wnosić jaki obrót wzięła ich rozmowa. Cesarz wkrótce odjechał z Gastein oddawszy tego samego dnia królowi Wilhelmowi przez przybocznego adjutanta oficyalne zaproszenie na zjazd do Frankfurtu. Na drugi dzień zaraz przyszła odpowiedź do Wiednia od pruskiego króla, w której tenże z wielkim żalem odmawia przyjazdu do Frankfurtu, bo bardzo forsowna kuracya w Gastein nie pozwala mu narażać się znowu na zbyt natężające frankfurckie narady. Cesarz 7go lipca jeszcze raz wystosował pismo do króla w nadziei, że choć król dla stanu zdrowia osobiście przybyć nie może, to przynajmniej zechce przysłać kogoś w zastępstwie. Następca tronu Frydrych Wilhelm podobno namawiał króla, aby się nie usuwał od zjazdu frankfurckiego, ale ani to, ani wpływ Anglii nic nie pomógł. Król został z Bismarkiem przy pierwszej decyzyi. Zdaje się, że Bismark zrobił z tej podróży króla kwestyę gabinetową. Listy jego do żony datowane z Gastein, choć bardzo krótkie, depeszowym stylem redagowane i skąpe w wiadomości polityczne,

potwierdzają jednak to przypuszczenie. O królu pisze raz w jednym z takich listów: „*Der König ist wohl, aber von Intriguen umlagert*“ a o sobie pisze pod datą 14go sierpnia, a więc w czasie kiedy się właśnie ostatecznie ważyło, czy król pruski pojedzie, czy nie, do Frankfurtu: „*Wer weiss ce qu'on devient in 8 Tagen.*“ Stanowisko jego było więc prawdopodobnie w tym czasie niepewne, ale w końcu przecie wszystko poszło wedle jego myśli. Różnie bardzo oceniano ten niespodziewany i tak senżacyjny plan cesarski zjazdu frankfurckiego. W oczach wielu był to zbyt śmiały i niestosowny pomysł, w oczach nieprzyjaciół była to dla nich otwarta groźba. Ja głosowałbym z tymi co widzieli w tem wystąpieniu Franciszka Józefa najpiękniejszą improwizacyę polityczną naszych czasów. Sama myśl załatwienia kwestyi niemieckiej nie przez noty dyplomatyczne i formułki konstytucyjne jak to dotychczas usiłowano, ale osobiście przez panujących książąt, stanąwszy na ich czele, miała w sobie coś wielkiego i świeżego. Był to jakby naraz jakiś powiew orzeźwiający po czasach długiej posuchy, a zważywszy pilnie ówczesną ogólną sytuacyę polityczną w Europie, odsłania nam się i głęboki rozum polityczny tego kroku. Nie cierpi on nic na tem choć się zupełnie nie udał, jeśli się tylko raz przecie w to uwierzy, że nietylko to jest mądre i wielkie co uwieńczył sukces. Niemcy zjednoczone wedle prawowitej idei wielkoniemieckiej, mogłyby były, gdyby ten naród raźniej był pochwycił impuls cesarza Franciszka Józefa stać się właśnie takiemi Niemcami, któreby może spełniły swą misyę zawartą w przytoczonych powyżej słowach Gentza: „Europa musi się podnieść przez Niemcy,“ a była właśnie ostatnia do tego sposobna chwila, owe hasło dane śmiałą inicyatywą cesarza Franciszka Józefa. Przypatrzmy się teraz jak Niemcy tę chwilę wyzyskały dla swojej przyszłości i jakie były w rzeczywistości losy i następstwa zjazdu frankfurtskiego.

Manifest cesarski zwołujący kongres książąt do Frankfurtu, przyjęto w „trzecich Niemczech“ prawie z powszechnym entuzyazmem, wszyscy książęta oprócz króla pruskiego obieceli swoją bytność. Uwielbiano powszechnie tę gotowość książąt do osobistego zajęcia się sprawą publiczną na głos cesarza i przewódzcy Związku. Oburzano się na zdradę króla pru-

skiego. Prusy nietylko, że same odmówiły udziału w naradach frankfurckich, ale i po wszystkich dworach niemieckich rozesłały noty odradzające im podróże do Frank.urtu, a gdy to nie skutkowało, oświadczył Bismark raz jeszcze (14 sierpnia) w depeszy do wszystkich dworów adresowanej. „Ja przynajmniej nie uznaję, żeby to było odpowiednie godności mego króla, aby jechał do Frankfurtu i dowiadywał się tam dopiero o projektach i sprawach tyczących się Związku, o których się poprzednio z nim nie naradzono.“ Pomimo tego wszystkiego Cesarz austryacki już d. 14 sierpnia przy odgłosie dzwonów i wśród okrzyków powszechnej radości wjeżdżał do Frankfurtu dawnego cesarskiego miasta; a już 17 siernia kongres książąt znalazł się w komplecie. Jeszcze raz przed rozpoczęciem obrad wystosowali wszyscy książęta wspólne pismo do króla pruskiego zapraszające go do Frankfurtu. Król saski sam osobiście zawiózł mu je do Baden-Baden, i próbówał jeszcze skłonić go do przyjazdu, ale i to było nadaremne, Król nie dał się namówić, a Bismark do dawnych depesz dodał jeszcze jednę, posławszy ją na ręce ambasadora pruskiego całemu świetnemu zebraniu w Frankfurcie, w której znowu oświadczył: że projekta austryackie nie mogą być popierane przez Prusy, bo nie uwzględniają w obec Niemiec uprawnionego tychże stanowiska, i nie są odpowiednie interesom niemieckiego narodu. Ścisły alians z Rosyą, oparty na wspolnym w tejże sprawie interesie pozwalał Bismarkowi na takie depesze.

Tymczasem w Frankfurcie kongres czyli tak zwany „Fürstentag“ rozpoczął swoje czynności. Cesarz przedłożył nowy program konstytucyi Związku, i zagaił obrady krótką przemową w której przedewszystkiem szybkie i jednomyślne działanie zalecał, trzy razy właśeie na to nacisk kładąc. (Man muss raschen und einmüthigen Entschluss fassen.... Leicht und rasch handeln.... Ohne Zögern und weitaussehende Debatten) Jeszcze w owym memoryale, który Cesarz królowi Wilhelmowi oddał w Gastein, był ten pamiętny ustęp: „Prusy faktycznie mogą opór stawić powszechnej konstytucyi Niemiec .... ale w Niemczech już rzeczy zaszły tak daleko, że absolutna stagnacya już jest niepodobną, i te rządy, które to wie-

dzą będą zmuszone w końcu przyłożyć rękę przynajmniej do częściowego dzieła zamierzonej reformy, to jest przynajmniej w swoich państw obrębie ją przeprowadzić i będą się starały nadać temu dziełu jak największą rozległość i najszerszą prawną podstawę.“ Jest tu wyraźnie wypowiedziana myśl utworzenia tymczasowo częściowego Związku „trzecich Niemiec“ z Austryą bez Prus, a nawet przeciw Prusom, póki by się wreszcie nie poddały ogólnej konstytucyi niemieckiej. Usposobienie książąt w początkach kongresu zdawało się obiecywać poparcie tej tu wyrzeczonej myśli. Tryumf wielkoniemieckiej idei zdawał się blizkim, najpoważniejszy organ wielkoniemieckiej partyi „Historisch politische Blätter“ pisały w czasie tych miodowych tygodni Kongresu:

„Dnie frankfurckiego zjazdu są prawdziwymi dniami wesela, radość ludu jest powszechna, bo lud widzi nareszcie swoich książąt osobiście zajętych pracą nad dobrem ojczyzny i ma nadzieję, że wnet i dawna świetność Cesarstwa powróci, gdy widzi samego Cesarza publicznie działającego i pracującego, bo jak mówi historyk Henryk Leo: „Im jedem deutschen Herzen hat der deutsche Kaiser noch einen heiligen Raum.“

Cóż spowodowało jednak, że ten kongres pomimo, że się pod tak dobremi auspicyami rozpoczął, zawiódł zupełnie te wielkie nadzieje jakie był rozbudził, i skończył się powszechnem rozczarowaniem. Wiele przyczyn złożyło się na to. Naprzód już i w samym przedsięwziętym dziele Cesarza, to jest w drugiej jego części, leżał zaród jego śmierci. O ile ożywczo zelektryzowała całe Niemcy sama myśl kongresu książąt tak prędko i szczęśliwie przez Cesarza w ówczas podjęta, o tyle chłodząco działał znowu ten projekt konstytucyi dla wszech Niemiec, jaki Cesarz książętom przedłożył. Miał ten program tę największą wadę, że był nadto wykończony, nadto gotowy do przyjęcia en bloc, co zamiast przyspieszyć działanie kongresu, opóźniło je, i sparaliżowało. Projekt nowej konstytucyi niemieckiej mający być przedłożony książętom całych Niemiec, reprezentantom tak różnorodnych i nie raz sobie sprzecznych interesów, powinien był być co najwięcej naszkicowany w najogólniejszych rysach, by dopiero zebranie samo oblekło go odpowiedniem mu ciałem, i natchnęło mu duszę. Tym sposobem mogło się było urodzić coś żywego i coś or-

ganicznego; a tak podany w całym swojem drobnostkowem wykończeniu, napotkał wiele trudności i obudził wszystkie małe i wielkie namiętności i rywalizacye wielogłownych „trzecich Niemiec.“ Była w tym projekcie także nieszczęśliwa myśl oddania wykonawczej władzy centralnej Dyrektoryatowi o pięciu głosach. Trzy pierwsze miały przypaść Austryi, Prusom i Bawaryi, o dwa następne trudna była zgoda, to też jedna z głównych poprawek jaką dodano do Austryackiego projektu kostytucyi było to, że uchwalono dla dyrektoryatu jeszcze głos szósty, przez co trzecie Niemcy czteroma głosami rozrządzać miały. Przy tych obradach zapomniano o tej głównej rzeczy, że po uchyleniu się Prus od wszelkiej wspólnej pracy w kwestyi niemieckiej kongres frankfurcki jeśli chciał istotnie co zdziałać, powinien był naprzód bez Prus się ukonstytuować jako prawomocny, chwyciwszy się owej myśli Cesarza Austryackiego, utworzenia tymczasowo z Austryą częściowego Związku, bo to była właśnie myśl ukryta na dnie tej całej zaimprowizowanej inicyatywy cesarza Józefa Franciszka, który rachował na to, że w razie opozycyi pruskiej całe „trzecie Niemcy,“ jak jeden mąż przy nim staną. Na tem zawiódł się najkompletniej. Książąta choć wszyscy stanęli na wezwanie, to wielu widać przyszło tylko z grzeczności, a jako rezultat swego zebrania się zostawiono po sobie: znowu nowy papier konstytucyjny tak zwaną „Reformakte“ którą (po tem wszystkiem co zaszło!) jeszcze królowi pruskiemu posłano do osądzenia, dołączywszy do niej list następującej treści „Ożywieni duchem jedności niemieckiej i ofiarności dla niej, zgodziliśmy się jednomyślnie na projekt reformy związku niemieckiego, i będzie to wielkiem szczęściem dla nas i dla naszych ludów, jeżeli w sercu Jego królewskiej Mości naszego potężnego i łaskawego sprzymierzeńca dojrzeje postanowienie, przez któreby Niemcy stanęły na prawnych podstawach u szczytu zbawiennej reformy swojej konstytucyi.“ To był ostateczny rezultat kongresu dla sprawy niemieckiej, po czem się rozjechano, nie uchwaliwszy nawet nic zgoła na tę więcej niż pewną ewentualność, że Prusy ten nowy akt reformy położą ad akta.

Ministeryum pruskie ogłosiło dla króla (15 września) sprawozdanie z czynności kongresu frankfurtskiego, w którem

Reformakte, poddaje niszczącej krytyce, stawiając zarazem warunki, na podstawie których oświadcza gotowość do konferencyi ministeryalnej z Austryą i innemi państwami Rzeszy. Ministeryum żąda oprócz zupełnego równouprawnienia Prus i Austryi co do przewodnictwa w Związku, także i utworzenia parlamentu nie z delegacyj sejmowych, ale z całych Niemiec, przez wybory wprost, na podstawie powszechnego głosowania, i obstaje przy jak największem rozszerzeniu jego władzy. Odsłania nam to znowu dwulicowość polityki pruskiej: kiedy w Berlinie toczy się zażarta walka z parlamentem, a mianowicie z jego postępowo liberalną większością, kiedy Bismark brawuje przeciw całemu parlamantaryzmowi i policzkuje go takiemi naprzykład słowami: „Jeśli uznamy za stósowne wydać wojnę to wydamy ją bez względu na to czy się to panom podobać będzie;“ równocześnie z tem wszystkiem ten sam Bismark żąda dla całych Niemiec parlamentu na najradykalniejszych podstawach i z największą władzą. Podczas gdy Prusy u siebie obchodziły się prawie bez parlamentu, rozwiązywały go samowolnie, rządziły tylko z pomocą konserwatywnych junków — wystąpiły w Niemczech całkiem otwarcie ze sztandarem 1849 roku i National-Vereinu.

Po takiej odpowiedzi pruskiej Austrya była zdecydowaną i bez Prus swój plan reformy Związku przeprowadzić. Hr. Rechberg wystósował poufną depeszę do tych 24 Rządów co się były podpisały na frankfurckiej „*Reformakte*“ — w której proponuje' żeby za pomocą not identycznych Prusom oświadczyć: że uchwały frankfurtskie uważają za obowiązujące; żeby więc Prusy ostatecznie się namyśliły, czy mają trwać w swym oporze w obec jednomyślnej uchwały 24 rządów związkowych. Zwołał on zarazem na dzień 13 października konferencyę do Norymbergi, która choć przyszła do skutku, jednakże nie zdecydowała się na żaden krok stanowczy przeciw Prusom. Dezercya rządów państw średnich od Austryi była powszechną: „Cesarz austryacki mógł się więc naocznie przekonać“ piszą z tego powodu Historisch politische Blätter: „że z nami Niemcami nic przedsięwziąć nie można, i że niema oparcia na strupieszałych fundamentach.“

Rok 1863 zakończył się więc zupełnym tryumfem polityki Bismarka; Czyż mógł on nawet marzyć o większych suk-

cesach dyplomatycznych na wszystkich pozycyach, i to do tego w tak krótkim czasie! W kwestyi niemieckiej po klęsce Austryi we Frankfurcie przyszło do skutku „entente Franco-Russo-Prussienne,“ w kwestyi polskiej nowe przymierze trzech mocarstw północnych. Ale nie na tem koniec jeszcze! wnet świat zobaczył igrzysko losów graniczące prawie z niepodobieństwem. Nagle umiera król duński (15 listopada 1863) spada więc z nieba sprawa Szlezwicko-Holsztyńska, a w parę miesięcy później widzimy pruskie *pükelhauby* i pułki austryackie walczące pod jednym sztandarem!

Z rokiem 1863 kończy się dla kwestyi jedności niemieckiej era usiłowań pokojowych reform, już więc nie tylko w gabinetach ale i w obozie rozstrzygają się dalsze jej losy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ignacy Skrochowski.

ROMANS POLSKI

w początkach XIX wieku.

Kiedyś, jak się nasz wiek skończy i jak historycy lub krytycy przyszłości będą chcieli przedstawić obraz jego umysłowego życia i jego literackiej twórczości, nie ujdzie zapewne ich uwagi wielkie rozmnożenie i spanoszenie się powieści, i pomiędzy inne charakterystyczne cechy i własciwości literatury europejskiej tego wieku, policzą także panowanie romansu. Żyjemy wśród prawdziwego potopu powieści: każda myśl, każda dążność, każda zasada, każda aspiracya z dziwną skwapliwością stara się oblec w tę formę przystępną, i pod nią przekraść się do ludzkich serc i umysłów, tak gładko i łatwo, żeby te serca i głowy nie wiedziały nawet jak i kiedy się to stało. Powszechna przed laty trzydziestu lub czterdziestu skłonność do idealizowania siebie samego, do poetyzowania swego życia, znajdowała w powieści najłatwiejsze zaspokojenie: upodobanie w romantycznej i poetycznej przeszłości, w którą świat europejski lubił się chronić przed prozą swej teraźniejszości, przesadzona apoteoza wieków przeszłych a zwłaszcza średnich, zrodziła powieść historyczną. Potem, niezgoda ze światem i chmura byronizmu na czole były modą, konieznem uzupełnieniem człowieka, patentem na wyższość i poetyczność, każda natura excentryczna lub excentryczność udająca, każde fałszywe położenie, skutek fałszywego kroku, usprawie-

dliwiało, tłumaczyło, poetyzowało, podnosiło się we własnych oczach romansem! nastała epoka Trenmorów i Lelii. Jeszcze później, uznał świat, że nie warto zadawać sobie tyle pracy i drapować się w poetyczne pozory; hypokryzya poezyi, hołd oddany dobremu przez złe, pięknemu przez brzydkie, znikła z powieści, a Lelia kiedy przestała starać się w swoim własnym szacunku ratować, rychło została Damą z kameliami a z tego stanowiska spadła tak nisko że niżej już nie spadnie, została panią Bonary, panią Clemenceau, nawet panną Giraud. Ale romans ma tę szczęśliwą giętką naturę że daje się użyć do wszystkiego, pod jego panowanie należy wszystko, obyczaj i nieobyczajność, religia i ateizm, polityka, sztuka, historya, ekonomia, na wszystko to się rozpościera, wszędzie szuka swego przedmiotu, wszędzie wchodzi i wszystko robi. Wielki to pan, romans, wszystko do niego należy, otwiera on sobie podwoje królewskich apartamentów w Wersalu, ztamtąd wchodzi w te czarne podziemne jamy w których się kryją tajemnice Paryża, a równocześnie zagląda do idylicznej chatki wieśniaka lub do spokojnego zacisznego *home* angielskiego, które porzuca dla złoconego boudoiru panny Małgorzaty Gautier a ztamtąd, jak żeby nie wiedział gdzie szukać połowu, w jakiej krynicy się odmłodzić, schodzi czasem do katakomb i próbuje zostać świętym za świętymi. Ale zarazem jest sługą o giętkim grzbiecie, każdemu wysłużnym i na wszystko gotowym. Gotów być fotografem zepsucia i sentymentalnym kochankiem ideału, robi propagandę katolicką i służy kościołowi angielskiemu tak gorliwie jak towarzystwo biblijne, umie być wielkim znawcą serca ludzkiego (Balzac) i wielkim znawcą i miłośnikiem sztuki (George Sand), a równocześnie gotów rozprawiać o osuszaniu francuskiej Pińszczyzny (des Landes), albo o przekopaniu Suezkiego kanału. W Anglii jest najczęściej stróżem domowego ogniska, niekiedy dowcipnym satyrykiem, czasem pedantycznym kaznodzieją w służbie officyalnego kościoła: we Francyi jest istnym kameleonem, rozpustnikiem, wytartym cynikiem, artystą, ekonomistą, arystokratą, socyalistą, w Niemczech transcendentalnym filozofem i niezbyt skrupulatnym zdobywcą który bierze bez pytania co znajdzie u innych, w Polsce jest nieraz stworzeniem bardzo niezgodnem, sprzymierzeńcem wszystkich społecznych niechęci i antagonizmów, ale jest wszędzie, w każdym kraju, u każdego narodu, w każdym stosunku życia,

splata się z każdym kierunkiem, służy każdej zasadzie, broni każdej sprawy i każdego przekonania: wszystkiem się karmi i ze wszyskiego żyje a nawzajem wszystkiemu i wszystkim umiał stać się potrzebnym do życia. Niezawodnie kiedyś opisywać będą nasz wiek i jego literaturę jako epokę panowania dziennika i romansu.

Zkąd to jego nadzwyczajne rozpostarcie i wniknienie we wszystkie kierunki we wszystkie pory życia? Człowiek lubi patrzeć na idealiżowany obraz swego życia lub swojej duszy, potrzebuje poetyzowania rzeczywistości? To prawda; aleź ta skłonność nie może być dopiero dzisiejszą, człowiek się nie zmienił, musiał ją mieć i dawniej. Człowiek nie lubi zostawać bez myśli, bo go to nudzi, a nie lubi myśleć z natężeniem i pracą więc chwyta skwapliwie książkę, która bawi jego wyobraźnią i zajmuje jego myśl nie męcząc jej? To także prawda, a ten gust do umysłowego *far niente* które jest tem milsze, że nie jest stanem bezmyślnego próżniactwa, ale drażni przyjemnie nerwy i udaje że zajmuje myśl, kiedy zaprząta tylko wyobraźnię, jest w naszym nerwowym wieku silniejszy może niż bywał dawniej. Ale i to nie powód dostateczny. Niezmiernie rozszerzone koło czytających, jest niezawodnie także powodem zwiększonej produkcyi na tem polu; podnoszą ją i pisma peryodyczne, zbiorowe lub codzienne, z których każde potrzebuje przynęty dla czytelników: ale i to jeszcze nie wyczerpuje wszystkich przyczyn tego fenomenu.

Gervinus mówi, że charakterystyczną cechą naszego wieku jest wielkie rozpostarcie, rozszerzenie się światła, wiedzy, nauki i literatury, i że to rozpostarcie odbyło się kosztem ich głębokości, mocy. Woda szeroko rozlana jest płytsza, aniżeli woda zebrana w jednem ścieśnionem miejscu, rozległość, rozciągłość idzie w stosunku odwrotnym zbitości. Tem tłumaczy wielki historyk, widoczny, powszechny w całej Europie upadek zdolności, ten brak wielkich imion, twórczych talentów w literaturze, w sztuce, w umiejętności, w poezyi. Nie o to w tej chwili chodzi, czy on ma słuszność kiedy twierdzi, że taka epoka była konieczną i że może być bardzo pożyteczną, ale o to, że faktu dostrzegł z dziwną bystrością. Rzeczywiście rozpostarcie oświaty nauki, literatury, jest niezaprzeczone, ale równie niezaprzeczonem jest spowszednienie, zdrobnienie literatury to, że rozciągając

się na wielką przestrzeń, literatura stała się płytszą, cieńszą, gatunkowo lżejszą. Gdziekolwiek spojrzeć na poezyę, na umiejętność, na sztukę, wszędzie bogowie znikli. Są jeszcze wielkie imiona, ale należą do innych pokoleń, i już dogasają, a między młodszymi nie widać takich, którzyby zapowiadali, że ich godnie zastąpią. A zdaje się nawet, jak żeby nie tylko talenta zmalały, ale jak żeby zdrobniało samo pojęcie rzeczy, jak żeby nie tylko nie było nas stać na nic wielkiego, ale jakżebyśmy się rzeczy wielkich bali. Mówimy o nich z uszanowaniem, ale czujemy się z niemi jakoś nie swoi i obcy, wygodniej i swobodniej nam z mniejszemi a przystępniejszemi, lżejszemi.

Otóż, to spowszednienie i ta gatunkowa lekkość literatury tłumaczy jak mniemamy nadzwyczajne rozszerzenie i panowanie romansu. Tak jak w umiejętności lekarskiej, człowiek który w nauce wykształcić się zupełnie nie może, nie bierze dyplomu doktorskiego, ale poprzestaje na skromniejszem stanowisku chirurga, tak w dziełach wyobraźni, kogo nie stać na to, żeby był poetą, ten pisze romanse. Ochota do pióra pali, w głowie roją się różne pomysły dowodzące, że w tej głowie jest coś na kształt wyobraźni, przychodzi do tego nieraz potrzeba wypowiedzenia jakiegoś uczucia, dopomagają zebrane spostrzeżenia, ale to wszystko nie dosyć. Czuje się instynktem, że brak temu wszystkiemu wielkości i piękności, że nie złoży się z tego nic, coby mogło być nieśmiertelnem: tymczasem ochota coraz większa, natrętne pomysły i postacie nie ustępują, coś z niemi zrobić trzeba, pisze się powieść. To łatwiej. Naprzód nie trzeba mozolić się nad formą, na prozę mniej lub więcej dobrą, stać prawie każdego; powtóre w tych formach zmniejszonych ujdzie i mniejszy pomysł, i wyda się nie źle, przeczyta się przyjemnie. Byłoby zuchwalstwem mówić, że nie ma romansów pięknych, z wielkim urokiem poetycznym, z wielką żywością i prawdą historycznego kolorytu, z wielką psyhologiczną znajomością człowieka; przeciw takiemu twierdzeniu powstałyby świadectwa nieprzeparte, George Sand, Walter Scott, Balzak, ale pomimo wszystkich pięknych romansów i pomimo talentu ich pisarzów można podobno twierdzić, że romans jest niedokształconą poezyą, a pisarze romansów ludźmi, którzyby poetami być chcieli, a nie mogą. Rzecz naturalna, że najwięcej takich musiało się zjawić w epoce podupadłej twórczości poetycznej, rzecz naturalna,

że publiczność smakująca w takiej literaturze, rzuca się skwapliwie na płody tego rodzaju: poszukiwanie podnosi produkcyę, obfitsza produkcya podnosi nawzajem przyzwyczajenie czytających do powieści i pomału staje się ona dla jednych potrzebą życia, dla drugich łatwym środkiem do literackiej sławy, do rozgłosu, niekiedy do wpływu, za granicą nawet do bogactwa. Ale ten wzrost powieści nie jest dobrą wróżbą dla pięknej literatury, jest symptomem ogólnego zniżenia wymagań od literatury i jej płodów. Wszędzie i we wszystkich kierunkach to samo: łatwość, pośpiech, przystępność zamiast gruntowności, trwałości i doskonałości, ładność zamiast piękności. Tak jak książka cofa się przed dziennikiem, lub co najwięcej zbiorowem peryodycznem pismem, jak rycina, która była dziełem sztuki zamyka się w coraz ciaśniejszym obrębie, bo ją wypycha litografia, a nawet fotografia, która zastępuje poniekąd nie tylko sztych ale i malarstwo, tak i powieść zaspokaja te instynkta i potrzeby umysłu, które dawniej zaspakajała tylko poezya, w sposób gorszy, niższy, nie tak piękny, ale zaspakaja je prędzej i wygodniej, i dlatego panuje prawie wyłącznie w dziedzinie fikcyi, a poezya tak się gdzieś przed tym potopem cofnęła, że pytać trzeba gdzie się ona w Europie podziała i co się z nią stało? Nie idzie zatem, żeby można powieść lekceważyć, lub pedantycznie w imię wielkiej piękności tę mniejszą odsądzać od prawa do bytu. Wszystko co jest musi mieć prawo być, a powieść odpowiada znać pewnym trwałym potrzebom natury ludzkiej kiedy była zawsze Zawsze wyobraźnia lubiła i lubi być zajętą i bawioną, i zawsze umiała sobie znaleść coś, co jej do tego celu służyło. Lud wiejski, który romansów nie pisze i nie czyta, lubi słuchać bajek i opowiadań, Arab lubi fantastyczne powieści, średnie wieki lubiły namiętnie historye o królu Arturze i jego rycerzach, o Karolu W. i jego paladynach, a kto wie czy sam szczyt poezyi, czy przygody Greków pod Troją i Ulisesa w podróży, dla wielu z tych co je słuchali i śpiewali nie miały pierwej uroku najpiękniejszej bajki i powieści, zanim oceniono w nich urok najpiękniejszej poezyi.

Długiego czasu potrzebował romans zanim się wyemancypował zupełnie. Przez cały ciąg wieków średnich powieść w zarodzie tuli się pod skrzydłami poezyi i występuje jako jedna prowincya w jej państwie, jako rodzaj hołdowniczy i poddany,

i ten jej stosunek poddańczy przeciąga się aż do wieku XVIIgo. Argenida Barclaya naprzykład, jest co do treści romansem w rodzaju Cyrusa lub Klelii, ale formą w polskim przekładzie przynajmniej jeszcze wyznaje swoją zależność, jeszcze chce być poematem. Oderwanie się romansu od poezyi, jego stanowcze wybicie się na niepodległość, odbyło się we Francyi w epoce którą ta literatura nazywa swoim wielkim wiekiem. Wtedy romans pisany prozą zaczyna się stale przyjmować i krzewić. Zrazu jest jeszcze awanturniczym, pełnym dziwnych przygód, i dworskim, nosi znamiona swego pochodzenia od powieści rycerskich, ale niebawem przybiera nowe formy i rezszerza sobie granice. Telemak zaczyna szereg powieści dydaktycznych, traktatów moralnych pod formą odpowiadania, który to szereg zamyka Rasselas Johnsona i nasz Pan Podstoli. Lafontaine w swoich powieściach podnosi zatraconą tradycyę dawnej nowelli włoskiej i przekazuje ją następnym, jak Voltaire, Casti i inni, a przechodząc tak z rąk do rąk, nowella zachowuje swój charakter rozpustny, ale traci ten urok naiwności jaki ma pod piórem Boccaccia. Wiek XVII pracuje bez przerwy nad rozwinięciem romansu: Gil Blas przeżyje mnóstwo powieści głośniejszych od niego. Zjawia się romans satyryczny jak Gulliver, romans moralny jak Wikary z Wakefield, romans niemoralny, romans namiętności jak Manon Lescaut, wszystko to rozwija się razem, aż wreszcie zjawia się po raz pierwszy romans charakterowy, psychologiczny przez Richardsona, romans miłości, w kierunku uczucia i egzaltacyi dochodzi do najwyższego wyrazu, jak podówczas mniemano, w Nowej Heloizie, w kierunku drugim, do wyrazu najniższego w powieściach Diderota.

I odtąd zjawia się legia romansów: pod koniec XVIIIgo wieku, nikt już nie zliczy tych tytułów ani ich autorów. Są tkliwo idylliczne jak Paweł i Virginia, są moralne jak Marmontela, są Floriana, jedne pasterskie drugie rycerskie, są fantastyczne, wschodnie, domowe jak Ewelina panny Burney, średnie wieki, zamki, zbroje, turnieje, rycerze zaczynają wchodzić w modę, niebawem ukaże się sławna Matylda pani Cottin, niebawem zjawi się i prawdziwy romans historyczny, a tymczasem romans uczuciowy i charakterowy doszedł do szczytu i wydawszy Werthera i Wahlverwandschaften zaczął upadać, zaczął schodzić na idealizowany portret autora, mówił tylko o autorze, przedstawiał go

takim jakim on być chciał lub mniemał: na tę niebezpieczną drogę, która ostatecznie wiedzie zawsze tylko do śmieszności, wprowadził go Chateaubriand przez Réné i pani Staël przez Korynnę.

Tak stał romans w Europie w pierwszych początkach naszego wieku. A w Polsce? W Polsce prawdę mówiąc nie było go wcale. Dawna nowella, Antypasty małżeńskie, lub podobne, po większej części przerabiane lub przynajmniej pożyczane z obcych języków dawno poszły w zapomnienie: Argenida w przekładzie Potockiego ogromny, ciężki romans wierszem, Drużbackiej Historya pobożna o księżnie Eufracie lub fantastyczna o księciu Adolfie już czytywane nie były, bo i same przez się były nudne i mówiły o świecie, w który wiek ów nie wierzył, chciał widzieć w powieści swoje życie i świat znajomy, i dlatego największe jeszcze powodzenie miała tłomaczona kilka razy z francuzkiego Historya o pięknym wojewodzicu Walewskim i o pięknej Beraldzie (*Le beau Polonais par l'abbé Préchon*), historya pełna dziwnych przygód i zawikłań, a nęcąca jeszcze tem, że po części działa się w Polsce, mówiła o blizkich i znanych czasach i krajach, o królowej Eleonorze, o dworze cesarskim w Wiedniu, o buncie Tekelego, słowem miała pewien urok rzeczywistości. A w miarę jak się szerzyła francuszczyzna, szerzył się najbardziej francuski romans. Nasi panowie czytali Encyklopedyę, nasze panie

„dumały pomiędzy cyprysy
„o nieszczęściach Pameli albo Heloisy,

a świat wiejski, nie umiejący po francuzku, zastępował sobie Encyklopedyę Nowemi Atenami, a zamiast Heloizy rozczulał się nad tłumaczoną historyą Koloandra wiernego. Powieści polskiej nie było prócz Doświadczyńskiego i Pana Podstolego, a te, dydaktyczne i tendencyjne, choć lepsze nierównie od tego co czytano, nie przemawiały do tkliwych uczuć ani do wyobraźni, nie mogły dać swoim czytelnikom tych wrażeń, których żądano od romansu.

1.

A żądano ich bardzo natarczywie: w końcu nie było rady, nie mając powieści własnych rzucono się do obcych.

Pierwsze lata naszego wieku zalane są przekładami francuzkizh romansów. Florian i pani Cottin, pani Genlis i Bernardin de St. Piere, Marmonrtel, Kotzebue, Fielding, wszystko to wychodzi w polskich przekładach, jakich, dość powiedzieć, że słowo „nouvelle“ tłumaczone jest jako „nowina,“ (*Rozkosze i troski małżeństwa, nowina* miłosna). Sam Staszyc, poważny i surowy Staszyc tłomaczył Numę Floriaua, najlepszy dowód, że nie żartem przywiązywano wagę do romansu i uważano go za potrzebny. A kiedy takie uczucie było już w powietrzu, rzecz prosta, że i powieść oryginalna polska była blizką i zjawić się musiała. Utrzymać w literaturze to co w niej było, stworzyć to czego jeszcze nie miała, oto hasło, pod którem pracowali wszyscy, pod którem zrodziły się śpiewy historyczne Niemcewicza i tragedye Wężyka lub Felińskiego, równie jak najpoważniejsze dzieła uczonych. Ale kiedy uczeni i pisarze z profesyi zajmowali się umiejętnością lub literaturą piękną w wielkiem znaczeniu tego słowa, literatura lżejsza a pożądana, powieść leżała odłogiem. Jest tyle pięknych romansów francuzkich, czytają, rozrywają je wszyscy, czyżby nie mogło być polskich podobnych?

Znalazł się ktoś co sobie zadał to pytanie, a odpowiedzią na nie był pierwszy romans polski podług dzisiejszego pojęcia rzeczy: Malwina. Księżna Wirtemberzka nie miała się wcale za pisarza z profesyi, o sławie autorskiej nie marzyła, po polsku pisała wcale nie poprawnie, ale przecież mówiła sobie z wielką dobrą wiarą i prostotą, że kiedy podniesienie literatury jest tak koniecznym warunkiem zabezpieczenia narodowości, tak wielką usługą oddaną sprawie, i kiedy mężczyźni o tej literaturze lekkiej nie mają czasu pomyśleć, dlaczegóżby kobiety nie miały wziąść na siebie części pracy, przyczynić się do zapełnienia jednej luki w piśmiennictwie? probować wolno: może się kogo zachęci przykładem, może się komu wytrąci z ręki romans francuzki, w każdym razie pokaże się, że można pisać powieści po polsku.

Ale oprócz tej dobrej i szanownej chęci było jeszcze coś innego co dawało księżnie popęd do napisania romansu. Wychowała się ona w Puławach, w tem otoczeniu wykwintnie rozumnem, w tem niemałem ognisku światła, pośród poetów, polityków, mecenasów, literatów: przyzwyczaiła się od dzieciństwa do tego, że wszystko co się robi, musi być robione z myślą

poważną, ale i z pewnym poetycznym nastrojem. Kiedy będąc dzieckiem bawiła się podróżą napowietrzną kota w balonie, igraszka ta zaraz została uwiezznioną poemacikiem Kniaznina: kiedy dorastała, każda uroczystość domowa czy krajowa bywała obchodzona jakąś poetyczno-teatralną zabawą; kiedy szła za mąż o jej ślubnym wieńcu zjawił się poemat. Poźniej kiedy chodziło o to, żeby Szczęsnego Potockiego przywiązać do partyi konstytucyjnej, jaki widziała użyty do tego środek: przedstawienie Spartanki Kniaźnina ze stósownym prologiem na cześć pana Jenerała Artyleryi koronnej — „W Puławach" mówi Koźmian w pamiętnikach, oddychało się poważną myślą i romansowością była tam jakaś oddzielna, zalotna, miłosna atmosfera," w tej atmosferze rozmarzały się wyobraźnie, a choć później ta myśl poważna została jedynym serc puławskich żywiołem," to przecież wyobraźnia raz przyzwyczajona do marzenia wyrzec się go nie mogła, i księżna Wirtemberska zachowała bardzo długo ten romynsowy kierunek myśli i rozmowy.

I to drugi pierwiastek składowy Malwiny. Znać po niej że jest produktem Puławskim, przesiąkła ona wonią tej atmosfery, którą opisuje Koźmian: rycerskość i romansowość, oto dusza Malwiny, oto charakter powieści.

I oto także jej wdzięk. Nie jest Malwina wcale powieścią bardzo twórczej wyobraźni, ani bardzo zdolnego pióra: Wartości psychologicznej, przenikliwej znajomości wszystkich zakątków ludzkiego serca nie trzeba od niej żądać; tajemnicza historya dwóch Ludomirów, z których jednego w dzieciństwie porwali cyganie, sama przez się nikogoby dziś zająć nie potrafiła, a więc bez charakterów i bez ciekawego wątku czemże ta biedna powieść zajmuje? Czem? oto właśnie swoją romansownością. Oprócz bardzo pięknych, oprócz rzadkich arcydzieł, stare powieści ciekawe są dziś nie przez swoją treść ani przez wartość artystyczną, zwykle nie wielką, ale przez to, że możemy z nich poznać jak ludzie w dawnym czasie czuli i jak swoje uczucia wyrażali. Jaki naprzykład rodzaj miłości zdawał się najbardziej ujmującym, jaki sposób wyrażenia jej trafiał najprędzej do serca, jakim mężczyzaa powinien był być lub jakiego udawać, żeby się podobać, jaki typ kobiety zdawał się najbardziej czarującym? Epoka w której wyszła Malwina była epoką serc czułych i tkliwych. Tkliwość, wyraz około tych czasów wynaleziony, była

tym przymiotem, którego serce niewieście szukało w męzkiem i na odwrót. A Malwina właśnie jest wybornym typem tkliwości i czułości, jak ją sobie podówczas wyobrażano i jak jej żądano. Dziś, gdyby zakochany Ludomir chcąc zająć serce tegoczesnej Malwiny przygotował idylliczną niespopziankę, w której dwie domowe osoby przebrane za miłość i przyjaźń opasałyby ją wieńcem z kwiatów, a na wieczną rzeczy pamiątkę położył na tem miejscu kamień z napisem:

Przyjaźń i miłość łącząc wiernych serc daniny:
Wiły ten uplot w świeżość i wonie bogaty.
Oby tak na dni wszystkie nadobnej Malwiny
Czas ulatując sypał pełną dłonią kwiaty.

gdyby mówię Ludomir dzisiejszy w ten sposób uczucia swoje tłumaczył, prawdopodobnie nie trafiłby do celu, znalezionoby go śmiesznym. Ale wówczas, wieleż scen podobnych, równie poetycznych i tkliwych, wiele podobnych napisów widziała autorka, wiele ich do dziś dnia pozostało po polskich ogrodach? — Wówczas Ludomir, który rzecz taką wymyślił trafiał do serca i zyskiwał co najmniej wdzięczność, a współzawodnicy, którzy na tak szczęśliwy pomysł nie wpadli, ginęli z zazdrości i ze wstydu. „Radość i wdzięczność Malwiny“ mówi autorka opisawszy powyższą scenę, „łatwo sobie wyobrazić.“ Nam to nie łatwo, owszem trudno pojąć, że się Malwina nie śmiała, ale przez to właśnie jest ona ciekawa i zajmująca, że pokazuje jak uczucie najstarsze na świecie i w gruncie zawsze to samo zmienia formę, język, barwę, strój, modę. Czuły Ludomir doznawał tylko tego co czuli ludzie zawsze i co czują dziś, a jak musiał tłumaczyć to odmiennie, nadać temu uczuciu inny ton, żeby się ono wydało prawdziwem i żeby zdobyło wzajemność.

Albo nyprzykład ta scena, gdzie Malwina chcąc dać folgę swoim uczuciom, schodzi do ogrodu z gitarą i śpiewa jakąś pieśń stósowną do okoliczności, a Ludomir słysząc robi mimowoli wyznanie, rzuca się na kolana i mówi: „Malwino uwielbiona, Aniele dobroci, ach nie płacz nigdy, ostatnią kroplą krwi radbym okupić każdą łzę twoją, wybacz mi, jam tak nieszczęśliwy,“ a Malwina odpowiada tylko jedno słowo „Niewdzięczny“ i zostawia (przez zapomnienie) swoje „Velum“ łzami zroszone; nas to śmieszy, ta gitara, ten śpiew, ten sposób mówienia. Obyczaj się zmienił, uczucie zmieniło ton i modę, nasz ton wyda się kiedyś ró-

wnie fałszywym, jak nam gitarowy ton Malwiny, nasza moda równie śmieszną jak nam moda Ludomira; bądźmy więc pobłażający dla niego i przyznajmy, że ta naiwność odwiecznej tkliwości ma swój wdzięk, i że otworzywszy Malwinę doznaje się takiego wrażenia, jak kiedy się czasem znajdzie kwiat zasuszony, kolory jego spełzły, forma spłaszczona, ale z karty zielnika bije przecież jakaś woń nieco zwietrzała, ale jeszcze miła.

Ale Malwina jest nietylko czułą, jest ona wzniosłą: ma serce nie dość że tkliwe, jeszcze i domyślne. W czem polega domyślność jej serca, prawie zbytecznie przypominać. Jest dwóch Ludomirów bliźniaków, a tak są do siebie podobni, że ich rozpoznać nie można; sztuka autorki zaś tak umiała sceny ułożyć, że ci dwaj bracia nigdy się razem nie schodzą, nie wiedzą o sobie że są braćmi, nawet że żyją. Malwina także myśli że jest tylko jeden Ludomir, a przecież serce ostrzega ją zawsze ile razy się znajdzie przy prawdziwym Ludomirze, przy drugim bić nie chce, choć Malwina myśli, że to ten sam Ludomir. Ludomir prawdziwy jest smutny, drugi wesoły i trzpiotowaty, prawdziwy kryje się ze swoim nazwiskiem, otacza mgłą tajemnicy, drugi jest księciem Melsztyńskim, pułkownikiem w wojsku i ogromnie bogatym. Pierwszego poznaje Malwina przypadkiem u siebie na wsi, kiedy z narażeniem własnego życia wyratował małe dziecko z pożaru, drugiego w świetnym warszawskim świecie, gdzie go mężczyźni na wyścigi naśladują, kobiety na wyścigi się o niego ubiegają. I ten nie mógł być nie czułym na wdzięki i cnoty Malwiny, składa u jej nóg swoją rękę i serce, ale Malwina widzi z przerażeniem, że go kochać przestała. Oskarża siebie o niestałość, przypisuje swoją zmianę temu, że on jest innym aniżeli był w Krzewinie, nie ma tego tajemniczego smutku ani tej czarującej tkliwości, odmówić mu ręki uważa za zdradę, przyrzec jej nie może. Udręczenia jej wzmagają się, gdy niespodzianie ujrzała Ludomira prawdziwego; raz przesunął się jak duch za filarem ciemnego kościoła, serce Malwiny zadrgało; drugi raz drgnęło przy turniejach gdy Ludomir prawdziwy zwyciężył swego brata, zwycięzcę wszystkich i ze spuszczoną przyłbicą na kolanach odbierał z jej rąk nagrodę zwycięztwa, trzeci raz wreszcie gdy naglona przez krewnych, przez księcia pułkownika, przez własny rozum, odjeżdżającemu na wojnę księciu w alei Wilanowskiego ogrodu rzekła wreszcie, żeby wracał szczęśliwie, a po

wojnie.... Wtedy ukazał się znowu jak duch Ludomir prawdziwy i tak spojrzał wymownie, tak boleśnie westchnął, że Malwina zemdlała.

Oba Ludomiry idą na wojnę, książę żeby dosłużyć się chwały i Malwiny, tamten żeby zginąć. Książę powraca raniony i leczy się w Krzewinie: byłby zginął, gdyby jakiś nieznany zbawca nie był mu przybył na pomoc jak z nieba. Ale czemuż książę choć jest w domu Malwiny, choć wrócił z wojny okryty chwałą, nie przypomina jej danej w Wilanowie obietnicy? Niestety, książę jest zmienny, a Malwina ma siostrę, Wandę, równie piękną jak ona i tyle wesołą ile ona jest tęskną i tkliwą. Za tem to słońcem obraca się teraz młody Melsztyński jak słonecznik, kiedy razu jednego, zjawia się zakonnik i prosi o pomoc dla rannego żołnierza, którego uwiózł z pola bitwy i który chce umrzeć w Krzewinie. Reszty domyśleć się łatwo. Bracia zeszli się na jednem miejscu, a na ich nadzwyczajne podobieństwo osłupieli wszyscy. Na szczęście znalazł się pod ręką cygan, który Ludomira Płomieńczyka (tak zwanego od znamienia na ramieniu) ukradł był dziecięciem, znalazła się kobieta, która wyznała że ich matka, córka starego księcia Zdzisława Melsztyńskiego, która poszła za mąż bez pozwolenia ojca, umierając zostawiła u niej dwóch synów, z których jeden zaginął, czego ona bała się wyznać przed starym księciem. Płomieńczyk naturalnie nie umiera, zostaje księciem Melsztyńskim i najtkliwszy mężem tkliwej Malwiny, jego brat wesołym mężem wesołej Wandy.

Z tego wszystkiego wychodzi jasno wniosek, że za czasów Malwiny, żeby się podobać, trzeba było być tkliwym, poetycznym i rycerskim. Chmura smutku na czole ówczesnych Ludomirów była pożądaną, dodawała im poetycznego uroku: delikatność uczuć, czułość serca, była potrzebną w wyższym stopniu: ale koniecznością *sine qua non* dla wszystkich Ludomirów, było bić się, służyć w wojsku. Nie tylko Malwina, Wanda także nie byłaby chciała swojego Ludomira, gdyby nie był poszedł na wojnę i wrócił ranny, i w każdej prawie ówczesnej powieści, każdy bohater musi przejść przez próbę ognia i wrócić z wieńcem dębowym, wtedy dopiero dostaje gałązkę mirtu. Romans i wojna, to życie ówczesne. A jeżeli Malwina jest typem tkliwego usposobienia pań ówczesnych, Ludomir typem zalotnego i rycerskiego usposobienia mężczyzn, to znowu tło na którem

oni się rysują, owe bale w oświeconych ogrodach, bale sielankowe na trawnikach o zachodzie słońca, teatra, turnieje, to pamiątka ówczesnego życia tak silnego i młodego, tak pełnego zapału do wszystkiego, do wojny, do nowej książki, do zabawy. Zarzucano nieraz Malwinie, że jest przeładowana balami i zabawami: trzeba pamiętać że był to czas kiedy świat polski pod wpływem kobiet, których wdzięk i piękność przeszły do historyi, pod wpływem tak świetnej i rycerskiaj młodzieży, bawił się jak nigdy, wysilał się na coraz nowe pomysły, szalał z miłości z wesołości, z ochoty do życia. Te uroczystości, te turnieje to za czasów Malwiny było rzeczywistością: Każda Malwina myślała wtedy jak pięknie wyglądałby Ludomir w zbroi, każdy Ludomir marzył jak pięknie byłoby w jej oczach wszystkich zwyciężyć. Niech więc zostaną te gonitwy w romansie jako dowód że był czas kiedy u nas było wesoło, i jako dowód także, że świat ówczesny nawet w swoich zabawach miał jakiś piękny popęd, chciał być rycerskim i poetycznym.

W Malwinie mieliśmy romans tkliwy i uczuciowy: teraz weźmy romans namiętny, w którym straszliwa miłość zabija swoje nieszczęsne ofiary, romans namiętny jak Nowa Heloiza, rozpaczliwy jak Werther, jest to jenerała Kropińskiego „Julia i Adolf czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru.“.

Dla czego nad brzegami Dniestru? czy tam miłość jest nadzwyczajniejsza jak nad brzegami rzek innych, to tajemnica autora Ludgardy. Ale nie żartujmy. Autor grozi surowo krytyce w swojej przedmowie gdy mówi: „Biada romansowi jeżeli przyjdzie sąd samego tylko rozumu, o pismach serca powinno wyrokować serce.“ To znaczy, kto wyda wyrok surowy, ten nie ma serca. Trzeba więc sądzić sercem, a serce jak na złość, czy przez złą naturę, czy z winy autora do żadnego smutnego tonu żadnym sposobem dostroić się nie może. Adolf umiera, po nim umiera Julia, a łzy uparte nie przychodzą, najmniejsze westchnienie nie chce się wydobyć z piersi.

Może dla tego że umierają zupełnie nie potrzebnie, bez powodu, umierają żeby umrzeć i żeby było smutno. Historya ich, bardzo krótka i prosta jest następująca:

Julia jest córką wielkiego Pana. Tęczyńskiego, i mieszka w pysznym zamku nad brzegami Dniestru: Adolf jest sąsiadem

i przyjacielem, mieszka także nad Dniestrem, ale w dworze nie w zamku, jest wiejskim szlachcicem jak każdy. Widują się często, a dwa wyjątkowe serca zrozumieć się musiały. Adolf tai się ze swoją miłością, nie jest dość dobrą partyą dla Julii, którą ojciec dawno już w myśli przeznaczył księciu Sanguszce. Julia przez czas jakiś bierze swoje uczucie dla Adolfa za sąsiedzką przyjaźń, ale zdradliwe okoliczności, przechadzki, śpiew przy fortepianie, sprowadzają wyznanie. Odtąd zaczyna się korespondencya. W przedmowie mówi autor, że napisał ten romans dla tego by przekonać rodaków, a zwłaszcza piękne Polki, że i nasz język „zdolny jest wydać tkliwe uczucia delikatnej miłości, dla których język francuski zwłaszcza w Nowej Heloizie zdaje się być stworzonym."

Otóż te jego słowa dadzą się wziąć za wyznanie, i pozwalają wnosić, że mniemał autor jakoby Nowa Heloiza była jego wzorem. Istotnie co tylko jest w Nowej Heloizie nieudanego i nudnego to skopijował dość wiernie: jego listy są zbiorem miłośnych wykrzykników, oświadczeń i wyrzutów jak tamte, tylko że tam jest talent i podobno wielki urok stylu, tu talentu wcale nie ma, a styl taki, że autor mógł przekonać swoje czytelniczki, że nasz biedny język jest „niezdolny do wydania nietylko tkliwych uczuć delikatnej miłości," ale do niczego na świecie. Trwa więc ta miłość w listach i w tajemnicy przed ojcem przez czas długi; podżegają ją różne małe wypadki, jedyne jakie są w powieści, jako to ballada o Alkarze i Eminie napisana przez Adolfa *), lub taniec przez niego ułożony, któ-

---

*) Do......

Jeżli ci się ujrzeć zdarzy,
Wiosnę w wdziękach, wiosnę w tchnieniu,
Rozkosz w ustach, dobroć w twarzy,
Światło księżyca w spojrzeniu:
　　Jeżli Alkara wspomina,
　　Moja to, moja Emina!

Jeżli ma zawsze łzę w oku
Dla wzywających litości,
I wszystko, nawet rzut wzroku
Pod straż oddała skromności:
　　Jeżli Alkara wspomina,
　　Moja to, moja Emina!

rym się Julia zachwyca: muzykę śpiewu i tańca grzeczny autor dołącza do tekstu. Nareszcie ojciec Julii zaczyna domyślać się prawdy, i robi jej uwagę, że nie powinna zachęcać miłości Adolfa, ale to tak łagodnie i miękko, że widocznie ustąpiłby na pierwsze jej słowo. Tego słowa Julia nie mówi: Adolf się oddala, siedzi u siebie w domu i z rozpaczy wpada w śmiertelną chorobę. Wyzdrowiał jednak dzięki czułym staraniom swego przyjaciela Mirosława, ale wtedy dowiedział się o przyjeździe swego rywala, księcia Sanguski. Ledwie miał czas wpaść potajemnie do zamku i do pokoju Julii, u jej nóg wylać swoje żale i raz w życiu być zupełnie szczęśliwym i rozchorował się po raz drugi. Julia tymczasem, uważa za obowiązek dobrej córki spełnić wolę ojca nie próbując nawet wyznać mu prawdy, co po owem pożegnaniu z Adolfem było rzeczą prostej uczciwości, zwłaszcza względem narzeczonego, pozwala zaręczyć się z Sanguszką. I byłaby została jego żoną, gdyby przy uroczystości zaręczyn muzyka nie była zagrała owego tańca ułożonego niegdyś przez Adolfa. Tego już znieść nie mogła, zemdlała: ojciec i narzeczony dowiadują się jak bardzo ona Adolfa kocha, jeden najlepszy z ojców zezwala na ich związek, drugi najwspaniałomyślniejszy a może najostrożniejszy z narzeczonych zwraca jej pierścionek, posyłają po Adolfa, niestety za późno, na ich list służący Adolfa odpowiada tylko dwa słowa: nie żyje!

Julię na pociechę przewozi ojciec do tych miejsc smutnych, lecz drogich na zawsze, w których mieszkał Adolf: tu zastaje ona pod ulubionym drzewem grobowiec jego z napisem

---

Jeżeli na wzór strumyka,
Płynie czysto i bez szumu,
A z wstydliwością unika
Ścigającego ją tłumu:
Jeżli Alkara wspomina,
Moja to, moja Emina!

Lecz jeżeli o miłości,
Mówić się tobie z nią zdarzy,
A z westchnieniem łza litości
Nie zrosi jej świeżej twarzy:
I Alkara nie wspomina,
Nie moja już to Emina!

„Smutna ofiara czystej miłości: Adolf tu leży.“ Niestety, wkrótce pod tem samem drzewem na tym samym grobowcu wyryto napis drugi: „W ośm miesięcy i trzy dni Julia za nim poszła, ojciec ją przeżył.“

„Widziałem ich grobowiec“ — woła w końcu autor — „Słyszałem trzykrotne uderzenie dzwonu..... o znikomości.... „Przeszłość niepowrotna.... nieskończoność przed nami.... życie „człowieka jest chwila.... człowiek jednak.... ale spuśćmy na te „smute obrazy zasłonę i błogosławmy ułudzeniom nadziei.“

Rzecz prosta że romans taki cały w ciągłych wylewach i opisach tego samego uczucia, tylko przy nadzwyczajnym geniuszu poetycznym może się udać. Na całym świecie jest tylko jeden taki udany, Werther. Nowa Heloiza pomimo całego talentu autora jest najnudniejszą z książek. Dla czego? bo na to, żeby romans był piękny musi to uczucie zawsze jedno, a ciągle tylko o sobie mówiące, mówić coraz inaczej, coraz silniej, coraz piękniej. W Heloizie układ jest rozumny, figury i sytuacye także, czar stylu podobno wielki. Tu układ jest niezgrabny i nielogiczny, sytuacye nieusprawieliwione, bez przyczyn i bez skutków, figury same nie wiedzą co i dla czego robią, nie pozostaje więc nic, tylko owe „uczucia delikatnej miłości,“ i sposób w jaki się one wyrażają. Jeżeli ten będzie dobry i piękny, to pomimo tego wszystkiego romans może być piękuym, zobaczymy:

Oto przykład, raz Julia na przeproszenie po jakiejś sprzeczce zakochanych dała Adolfowi swoje włosy. Adolf dziękuje (List XXVIII T. I. str. 125): „Włosy! włosy! cząstko „mojego bóstwa życiem Julii napełniona! Strumieniu niewyczer- „panych pociech wystarczających na całe pasmo dni moich! „O włosy, jedyna tylko na ziemi i najdroższa własności moja! „Wyście z początkiem tchnień mojej kochanki nią żyły! Wyście „jej wstydliwego dotykały lica. Wyście ją ozdabiały i osłaniały „błękitne jej oczy, wśród których łzy litości tak często krążą! „Nie śmiem ja was do ust moich przybliżać, bo w was szanuję „skromność Julii, bo wy jesteście Julią! Ukryte odtąd przy „mojem sercu uszczęśliwiajcie je dopóty, dopóki tylko w nim „czysta miłość i szlachetne uczucia trwać będą.“ Albo Adolf opisuje Julii czego doznawał, kiedy go raz ojciec do jej pokoju wprowadził: „Nie zapomnę nigdy tej chwili kiedym raz pierwszy

„z twoim ojcem do twojego wszedł pokoju, wówczas kochający „cię tylko ale niekochany. Uszanowanie, jakiem byłem przeję- „ty dla tego wszystkiego co się w nim znajdowało, może być „jedynie porównanem z tą czcią jaką pobożny w świątyni bó- „stwa czuć jest zdolnym. Nie śmiałem zatrzymać wzroku nad „miejscem twego spoczynku, gdzie snu szczęśliwej ani troska, „ani miłość naówczas nie mięszały. Na stolik który twojego „dotykał łóżka, na którym przy otworzonej książce twoje ręka- „wiczki leżały, patrzałem jak na ołtarz do którego świętości „zbliżyć mi się nie wolno,“ — a wreszcie sam szczyt miłości i rozpaczy, Adolf opisuje Julii swoje pożegnanie z Julią (List 67 T. II. str. 98): „Wchodzę do twojego mieszkania.... wszędy „ciemność, milczenie.... uchylam drzwi twego pokoju.... O wi- „doku!... zbladła, ze zwieszoną na krześle głową... u nóg twoich „Kamila zalana łzami.... ukryte światło nadające ci postać „śmierci... ręką rozpaczy niepomną na skromność rozrzucone na „tobie szaty.... Utraciłem przytomność.... wleciałem, oblałem łza- „mi nogi twoje i te ręce co mnie podnieść chciały. Utraciłaś „i ty przytomność. Złączyły się nasze usta, złączyły je miłość „i rozpacz tak silnie, że wszystkie usiłowania Kamilli do oder- „wania nas od nas nadaremne były. Odstały one same po wys- „saniu wzajemnem wszystkich sił naszych. Stało się, ostatnia „rozkosz, ostatnie pożegnanie, ostatni dzień życia mojego. Tak „jest Julio! już niknie.... ustaje.... dogorywa już we mnie życie....

Co najlepsze, to że Julia i Adolf jest powieścią historyczną, Tak; niktby się tego nie domyślił, ale tak jest. Kiedy się Julia urodziła, ojciec jej, Tęczyński pisał taki list; „Najjaśniejszy Panie! Gdybyś chciał, mógłbyś uczynić mnie nieszczęśliwym, ale cała twoja potęga królu, i serce z dobroci znane, szczęśliwszym niż jestem uczynić mnie nie zdoła: Bóg mi dał córkę.“ I to było pisane do kogo, do Zygmunta Starego: powieść jest historyczna, Julia i Adolf to ludzie z szesnastego wieku! Mniejsza o to że we wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej nie było wtedy człowieka któryby nosił imie Adolfa, ani kobiety któraby się nazywała Kamilą jak przyjaciółka Julii: ale jak się pomyśli że te listy pisze rówienniczka Anny Jagiellonki; że te ballady o Alkarze śpiewa i tę muzykę komponuje człowiek w pancerzu i z podgoloną czupryną, że te sentymentalne napisy na nagrobku

ryje człowiek siedzący w senacie obok Maciejowskiego i Kmity, to komiczność tej „nadzwyczajnej miłości“ dochodzi dopiero do najwyższego stopnia.

Dawniej jeszcze, bo przed Malwiną nawet (1806) wychodziły w Wilnie powieści pani Mostowskiej. Anna Olimpia z Radziwiłłów Mostowska kasztelanowa Raciązka, pierwsza żona Tadeusza Mostowskiego, nie myślała bynajmniej ubiegać się o autorską sławę. Pisała dla zabicia czasu, dla skrócenia długich wieczorów, dla zabawki, i zbiorowi swoich powieści dała tytuł swoich „Zabawek.“ Przyjaciele chwalili i namówili kasztelanową, że je dała do druku. Czy wielką oddali usługę jej i literaturze? Zapewne, że nie, ale z rzeczami pisanemi skromnie, które do wielkości a nawet do najmniejszej wartości prawa sobie nie roszczą, owszem przepraszają pokornie za to, że śmiały się na świat pokazać, w rachunek bardzo ścisły wchodzić się nie godzi. Pani kasztelanowa Raciązka ma znowu swój rodzaj osobny. Nie pisze romansów tkliwych jak Malwina ani namiętnych jak Julia, pisze po największej części powiastki krótkie, ale straszne. Niektóre przerabia z francuzkich, naprzykład „Talizman czyli Cudowny Szafir“ z pani Genlis, a kiedy dobywa pomysł z własnej głowy, to zdaje się jak żeby miała była szczególne upodobanie w romansach Anny Radcliffe. Same opuszczone zamki, same strachy, widma, legendy, klątwy ciążące na całych rodzinach: czasem zamek taki jest na Żmudzi, i powieść dostaje patent na żmudzką, czasem koło Kijowa, a wtedy powieść jest ruską. W ogóle jednak autorka jest litościwa, i jak dobrze swego czytelnika strasznem widmem rozciekawi lub przerazi, pospiesza go uspokoić i tłumaczy zjawisko niewinnym żartem lub brzydką, ale w sam czas odkrytą intrygą. I tak, Strach w Zameczku, jakiś strach o którym wieść i wiara przyjęła się w całej Litwie, była to służąca samej pani kasztelanowej, figiel wypłatany jakiemuś sąsiadowi który udawał zucha. „Nie zawsze tak się czyni jak się mówi“ (powieść „białoruska,“ wzięta z Lafontaina), dowodzi za pomocą okropnych strachów młodym pannom, że nie powinny wielbicieli swoich narażać na zbyt ciężkie próby. O piękną Barwinę starał się młody Wacław. Barwina go kochała, ale rada była wystawić go na próbę, przekonać się jak daleko idzie jego miłość. Z tej nieszczęsnej ciekawości skorzystał ojciec Laurenty, mnich zdradziecki, który ułożył sobie zamknąć

Barwinę w klasztorze a jej majątek zagarnąć. Podmówił ją tedy, żeby Wacławowi kazała zejść do grobów rodzinnych w lochach zamku, a sama patrzała na niego z ukrycia. Zaledwo wszedł rycerz do lochu o samej północy, kiedy zastał tam czarę napełnioną jakimś płynem, i słyszał głos: „za trzy dni ty lub Barwina, jedno z was umrzeć musi. Wypij tę truciznę, żeby jej życie ocalić.“ Barwina przekonana że to udana trucizna, zgorszyła się bardzo gdy ujrzała ze swego ukrycia, że Wacław trzy razy czarę do ust podnosił, ale wychylić jej nie miał odwagi. On zawstydzony wyjechał z zamku, ona żałowała i tęskniła. Po długim czasie zeszli się przecież, wykryli niecną intrygę ojca Laurentego który chciał zadać Wacławowi prawdziwą truciznę, żeby Barwinę przez rozpacz doprowadzić do klasztoru, i byli szczęśliwi. „Ale to wypadek moje dziecko“, mówi opowiadająca stuletnia prababka do młodej panienki, „pamiętaj zebyś nigdy „nikogo na ciężkie próby nie wystawiała. Ludzie, a osobliwie „mężczyzni, nie mogą być innymi tylko takimi jak ich Pan Bóg „stworzył. Trzeba ich kochać jakimi są albo się ich na zawsze „wyrzec, a to ostatnie jest zbyt przykre, więc nie wymagajmy „od nich rzeczy niepodobnych.“

Ta filozoficzna maksyma jest najpiękniejszym klejnotem wszystkich dzieł pani Mostowskiej. Najdziwaczniejszą ze wszystkich jest Astolda, powieść historyczna, odbywająca się na dworze tego Palemona, który podług Stryjkowskiego przybył z Etruryi do Litwy i pierwszy nosił kołpak wielkoksiążęcy. Jest to dziwnie naiwna mięszanina starożytności, Włoch chrześciańskich i Litwy, występują Kolonny obok Gasztołdów i Montwidów, a Żmudź obok Etruryi. Częstemi odsyłaczami przypomina autorka że to historyczne, a po bliższe szczegóły odsyła ciekawego czytelnika do Stryjkowskiego.

A teraz zobaczmy powieść tendencyjną.

Niemcewicz który pisał wszystko co tylko człowiek pisać może, który każdą myśl dobrą starał się popularnym sposobem rozszerzyć, lubił i pisał powieś dla tego właśnie, że ona pod formą przystępną mogła rozsiać ziarna dobrych myśli i dążności. Jego dwaj Sieciechowie (napisane jeszcze w XVIII wieku) mogliby być rzeczą bardzo zajmującą gdyby nie byli szkicem zaledwo rzuconym. Zestawienie Polski z epoki Augusta II i sejmu konstytucyjnego, było pomysłem bardzo szczęśliwym. Jak

zwykle u Niemcewicza wykonanie nie dopisało. Forma dyaryusza rodzinnego była trafnie obraną, może jedyną która pozwalała na takie zestawienie dwóch oddalonych epok w jednej powieści: ale trzeba było wyzyskać, wyczerpać szczęśliwie znaleziony temat, przeprowadzić obu Sieciechów przez różne stosunki i wypadki, tak żeby pokazały się wyraźnie wielorakie niedostatki społeczeństwa którego mają być typami. Starszy Sieciech wisi u klamki pańskiej, pije bez miary, prawi bez sensu makaroniczne oracye i zrywa sejmy dla przyjemności pana hetmana: zatem w swoich głównych rysach uchwycony jest dobrze. Ale nierozwinięty: dla czego naprzykład nie zajrzałby głębiej w te sprawy sejmikowe, dla czego nie zapuści się na szersze pole wypadków, pomija Piotra Wielkiego, Karola XIIgo, Leszczyńskiego, i całe mnóstwo zdrożnych figur i robót polskich, Sapiehów, Sieniawskiego, Radziejowskiego, Sieciech asystujący zjazdowi pod Rawą albo bitwie Olkienickiej byłby bardzo zajmujący i wiele wart: a obok tego mógł stać się typem ówczesnego domowego życia, oświaty, wyobrażeń politycznych i religijnych etc. Tak jak jest, jest tylko pomysłem, szkicem.

Jego prawnuk bardziej oświecony, doskonale wychowany, przejęty obowiązkami, bohaterski żołnierz, dobry gospodarz, reprezentuje Polskę oświeconą w przeciwstawieniu do dawnej, i przebytą wielką drogę postępu. Na chlubę tej epoki można powiedzieć, że ten Sieciech nie był wcale wyjątkiem, ale cień obok światła był przecież potrzebny. Na ostatniej karcie tłumacząc cel powiastki, mówi autor, że wiek obecny ma przywary jak tamten, wylicza je trafnie, dobrze pojmuje ich powody, czemuż nie zada sobie pracy przedstawić ich? Bo ten umysł eklektyczny, giętki ale powierzchowny, robił wszystko dorywczo, niecierpliwie; chwytał dobry pomysł i myślał że on wystarczy żeby dzieło było dobre: chciał przedewszystkiem pożytku, skutku. A nie miał ani dość cierpliwości żeby długo nad jedną rzeczą pracować, ani dość artystycznego zmysłu, żeby wiedzieć, iż najlepsza myśl bez wykonania wrażenia nie zrobi, dobrem dziełem nie będzie. Może nie miał dość wyobraźni i talentu, żeby cokolwiek prawdziwie dobrze wykonać. On dobrze chciał, dobrze myślał, słabo tworzył. Widoczne to na wszystkich prawie jego dziełach (Zygmunt III, Śpiewy, Jan z Tęczyna), i na Sieciechach, którzy są doskonałym pomysłem zupełnie niewykonanym,

szkicem trafnie rzuconym, ale nieskończonym i niewycieniowanym.

Najciekawsza, najbardziej oryginalna z powieści Niemcewicza jest „Leibe i Siora.“ Nieszczególna jako powieść, czy to pod względem charakterów, czy pod względem intrygi, zajmująca jest jako przedmiot. Była to chwila kiedy zajmowano się wielce kwestyą żydów, kwestyą niezmiernej wagi. Co zrobić z tem odrębnem społeczeństwem w naszem społeczeństwie, jak uregulować z niem stosunki? Czacki w swojej rozprawie opisał jego naturę, urządzenia i prawa, inni (Radomiński) pisali o sposobach zreformowania: projekt równouprawnienia podany przez rząd sejmowi roku 1818 postawił kwestyę kategorycznie. Rada stanu roztrząsając ten projekt, uznała, że to równouprawnienie może nastąpić dopiero wtedy, kiedy żydzi przestaną tworzyć „*corpus in corpore.*“ Wmięszał się Niemcewicz w tę sprawę jak we wszystkie, swoim sposobem popularyzującym, napisał powieść: Leibe i Siora jest romansem o unormowaniu stanowiska żydów w Polsce. Myśl jest ta co w dziele Czackiego, co w projekcie Komisyi skarbowej sejmu konstytucyjnego, i co w projekcie Rady Stanu. Dopóki żydzi rządzą się osobnem prawem, dopóki są nie wyznaniem, ale odrębnem społeczeństwem, dopóki się trzymają pojęć i przepisów bałamutnych i zabobonnych, są szkodliwi społeczeństwu — jeżeli się tego wszystkiego wyrzekną jak w innych krajach, wtedy będą mogli być u nas obywatelami jak są gdzieindziej.

Dążność ta w powieści przedstawiona jest na tle fanatycznego sporu w łonie społeczeństwa żydowskiego: z jednej strony fanatyzm ciemny, zabobonny i niemoralny, z drugiej przywiązanie do religii połączone z oświatą i patryotyzmem.

Sara jest córką handlarza zaciętego w wyobrażeniach i zabobonach hussyckich, w nienawiści do chrześcian, przesiąkłego wyobrażeniami, że oszukiwać chrześcian jest cnotą i t. d. Sama jednak, myśląca szlachetnie, a wykształcona przez młodego akademika Leibę, cierpi w otoczeniu złego i ciemnego żydostwa. Ojciec podejrzywając jej herezye, wyjeżdza z Warszawy do Berdyczowa żeby ją usunąć z pod wpływu Leiby; tu zaczyna się romans. Żydzi ułożyli wydać Siorę za najuczeńszego z hussytów Jankla; ona, kochając innego, czuje wstręt i pogardę dla głupiego zabobonnego żyda, buntuje się, zostaje wy-

klętą, wywiezioną tajemnie do małego miasteczka, tam uczoną w księgach, wreszcie gdy i to nie pomogło, więzioną i prześladowaną. Wybawia ją jakiś młody pan, szkolny kolega Leiby. Ale niedość na tem, trzeba żeby żydzi sami przekonali się o szkodliwości swoich zabobonów. Wzgardzony Jankiel przez zemstę rzuca klątwę na ojca Siory i wszystkich co z nim mieli stosunki, jako niby winnych jej buntu. Natychmiast staje handel, nie ma czeladników, furmanów etc. Żydzi w rozpaczy. Wtedy rozsądny rabin Abraham łatwo trafia do sumień przygotowanych własną szkodą do przyjęcia lepszych uczuć, wybija im z głowy zabobony, Leibe dokonywa dzieła, żydzi berdyczowscy urządzają swoją gminę w sposób taki, jakby autor chciał widzieć wszystkie.

„Trzy są węgielne zasady, na których cała budowa reformacyi opierać się powinna. Zniesienie najzupełniejsze kachałów i bractw starszych, odebranie im wszelkiej władzy sądowniczej, przywłaszczonego prawa rozdzielania na innych podatków krajowych, wybierania składek, rzucania klątew, słowem wszelkiej administracyi policyjnej, cywilnej, ekonomicznej etc.

„Nie mieszając się w dogmata i obrządki pismem świętem przepisane, zakaz nauczania Talmudu, Myszny, Gemary, ksiąg kabalistycznych i tych wszystkich, które komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenie publicznego, za psujące i szkodliwe uzna. Sławny Izraelita Friedländer, piszący o reformie żydów polskich, tak się tłumaczy: „Szczególną baczność zwrócić należy na naukę Talmudu, na jego bowiem zniknieniu gruntuje się cała nadzieja reformy żydów polskich.

„Surowy nakaz, aby wszystkie miasta i miasteczka, w miarę ludności swojej, miały szkółki publiczne, męzkie i kobiece, do którychby rodzice pod ciężkiemi pieniężnemi strofami dzieci swoje posyłać obowiązani byli. W szkołach tych nauka religii i jej dogmatów, przetłumaczona po polsku, przez żydów, inne zaś nauki również w narodowym języku, przez potwierdzonych od komisyi żydów i chrześcian dawane będą. Nauka moralna, język polski, pierwsze miejsce w tych szkołach mieć powinny. Nie ma być wolno żadnemu żydowi przed rokiem 24tym, żydówce zaś przed rokiem 18tym wstępować w śluby małżeńskie; śluby te dawane być mają w obecności notaryuszów publicznych. Biorący się do nich okazać powinni dowody, jakie mają rze-

miosło, handel, jaki sposób do życia. Złożą także biorący się egzamiu, jako umieją czytać i pisać po polsku i naukę moralną. Przedniejsi uczeni ułożą liturgię i modlitwę w języku polskim, i w tym a nie innym nabożeństwa po domach i bożnicach odprawiać będą. Wszystkie księgi kupieckie w języku polskim utrzymywane być mają."

Interesujące w całej powieści jest tylko to, ta tendencya, tendencya rozumnie polityczna i wolnomyślna. Żydów oświeconych szanuje autor i maluje ich najpiękniejszymi kolorami. Leibe, Siora, Rahel, Abraham, to arkadyjskie ideały małych miasteczek. Dość blade figury zresztą, uroku jaki książe Adam Czartoryski w żywocie Niemcewicza przyznaje Siorze trudno się dopatrzeć, ale przez to, że treść jest zajmująca, wydają się i one żywsze niż inne w powieściach Ursyna, może żywsze niż są w istocie. Obraz grubych przesądów i obyczajów hussyckich ma rysy bardzo ciekawe, tem bardziej, że autor zawsze powołuje się na źródła i dokumenta:

„A najprzód chcecie mieć wyobrażenie wielkości Boga, słuchajcie, jak o tem mówi Rabi Ismael: „Wielki książe świadectwa (pisze on) tak do mnie mówił: „„Od domu stolicy wielmożności Jehowy do góry, jest sto i ośmnaście razy dziesięć tysięcy, a ztamtąd znów sto ośmnaście razy dziesięć tysięcy mil. Wysokość jego jest sto sześć razy i trzydzieści razy dziesięć tysięcy mil. Od jednego oka do drugiego liczy się trzydzieści razy dziesięć tysięcy mil. Od prawej ręki jego do lewej jest siedmdziesiąt i siedm razy 10 tysięcy mil. Czaszka głowy jego ma trzy razy 10 tysięcy wzdłuż i tyleż wszerz. Korona na głowie jego ma 60 razy 10 tysięcy mil. Podeszwy Króla królów, mówi tenże Ismael, mają trzydzieści tysięcy mil. Od pięt jego aż do kolan 19 razy 10 mil i cztery mile, od kolan aż do kłębów liczy się dwanaście razy 10 i tysiąc cztery mil. Od biódr aż do szyi 24 razy 10 tysięcy mil."" Nadto Rabi Akkiva na str. 16 powiada: „„że postać cała Majestatu Boskiego liczy dwa kroć sześć trzydzieści razy dziesięć tysięcy mil."" Nie rozumiejcie o niewiadomi, że mile te są takie jak nasze, są mile Boskie tysiąc razy 10 tysięcy łokci długie, po cztery piędzi Boskie na łokieć.

„W księdze Osmes czytamy, że służba i dwór Jehowy stosownym jest do wielkości Jego. Składa sią on z Aniołów

będących na służbie w liczbie 360 tysięcy; a 10 tysięcy Serafinów: idzie codzień na powinność 36 tysięcy. Macie więc wątpliwość waszą zaspokojoną, wierzcie co mówi Rabi Ismael, i Rabi Alkiva. i milczcie. Idę dalej."

„Nie pomału mię zadziwia czyli brak u was najlepszych komentarzów Talmudu, czyli brak umiejętności pojęcia, co się w nich znajduje, pytanie czem się Bóg bawi, nie powiadaż wam tego wyraźnie Talmud w traktacie Arodisin na str. 3: „„Rabi Jebuda mówi: Reif powiedział: dzień ma godzin dwanaście, w trzech pierwszych godzinach siedzi Bóg i uczy się prawa; w drugich trzech sądzi Bóg świat, w dalszych trzech godzinach karmi świat, w trzech ostatnich nakoniec bawi się i gra sobie z Lewiatanem.""

„W tem miejscu ostrzedz was muszę, iż względem trzech ostatnich godzin Efraim w komentariuszku swoim na str. 5tej różni się od zwyż wspomnianych Rabinów, twierdzi on: iż w trzech ostatnich godzinach Bóg zatrudnia się uczeniem czytać Bąhurów. Ja zaś chcąc dwa podania pogodzić, tak rzecz rozstrzygam, iż Bóg w szabas, wtorki, czwartki i niedziele bawi się z Lewiatanem, w poniedziałek zaś, środę i piątek uczy czytać Bachurów. Co do Lewiatana, tak jeszcze Talmud nasz mówi: „„gdy Anieli donieśli Jehowie o zburzeniu Jerozolimy, tak był Bóg zmartwiony, iż dla rozerwania się w swym smutku poszedł do raju, i chodził tam przez czas niemały. Przed zburzeniem kościoła najmilszą jego było rozrywką bawić się z Lewiatanem, lecz teraz już rzadko to czyni. Woli i owszem czytać Talmud i dysputować z duszami o zakonie swoim."

„Najpierwsi wy jesteście, którzy pytacie zkąd pochodzi trzęsienie ziemi, odpowiem wam więc w słowach w jakich Rabi Ambras na toż samo pytanie odpowiedział Balatowi: „„Kiedy Bóg spojrzy na domy bałwochwalców, kiedy widzi jak spokojnie i swobodnie używają świata tego, wtenczas gdy kościół jego jest wywróconym, i ziemia jego w ręku niewiernych, natenczas tak z żalu jęczeć i krzyczeć zaczyna, że ziemia cała drży z przestrachu. W godzinie w której Bóg przypomina sobie upadek ludu swojego, upuszcza dwie łzy na wielkie morze, łoskot spądnięcia tego tak jest strasznym, iż od jednego końca ziemi do drugiego słyszeć się daje.""

„Czy wolno chrześcian oszukiwać? I wy się jeszcze pytacie mnie o to, wy jeszcze powątpiewacie o tem? Ach! nierozwiązanaż już jest ta kwestya w tysiącznych miejscach Rabinów i doktorów naszych? Nie jestże napisano w Talmudzie, w traktacie Megilla fol. 13: „„Wolno jest żydom chrześcian oszukiwać, ku czystym bądź czysty, ku przewrotnym przewrotny.""

Epizod dam z wielkiego świata, dobrych, szlachetnych, ale tak zfrancuziałych, że żydówka Sara musi je uczyć po polsku, należy do tej ciągłej wojny którą Niemcewicz prowadził z francuzczyzną. W ogóle powieść lepiej pomyślna i ułożona od innych Ursyna, ma związek, ma logiczny rozwój zdarzeń, charakter proste, naturalne, prawdopodobne, a myśl podstawna, zniesienie żydowskiego państwa w państwie, twierdzy niemoralnego zabobonu i ciemnoty, jest rzeczywiście kamieniem węgielnym reformy, wycywilizowania i rzeczywistego równouprawnienia żydów.

Z Malwiną byliśmy w najwyższych sferach eleganckiego świata Warszawy, zimę przepędzaliśmy w paradnych apartamentach stolicy, lato we wspaniałych zamkach i w ogrodach tak pięknych, jak Puławskie: wieś widzieliśmy tylko czasem, przypadkiem, i to wieś świątecznie przystrojoną do okoliczności wieś sielankową, wyjątkową, konwencyonalną. Zajrzyjmy teraz na wieś prawdziwą, do dworów w których ludzie mieszkają stale, a nie zaglądają niekiedy tylko, dla odmiany, zobaczymy jak wygląda w powieści to zwyczajne codzienne wiejskie życie i wiejscy ludzie. Był to dobry znak dla powieści, kiedy ona z pałaców sterczących dumnie zeszła pod dach wiejskiego dworu, znak, że dążyła do tego, żeby stać się prawdziwie polską, kiedy wzięła za przedmiot ten rodzaj życia, który u nas jest najpowszechniejszym i najbardziej swojskim, specyficznie polskim.

Pierwszym który sprowadził powieść na grunt ziemiańskiego, wiejskiego szlacheckiego życia, był Fryderyk Skarbek, znany i bardzo cenny historyk księstwa warszawskiego, a niegdyś profesor ekonomii politycznej w warszawskim uniwersytecie. Ekonomista piszący romanse? to fenomen dziwny: a te romanse należą niezawodnie do lepszych między początkowemi naszemi powieściami tego wieku.

W przedmiocie do jednego z tych swoich dzieł, autor sam sobie się dziwi, że uprawia razem dwa pola tak od siebie odległe: ale nauka jego, mówi, nauczyła go porządku i oszczędności, w używaniu czasu jak we wszystkiem. Nauczała go także, że człowiek powinien się starać żyć o ile może przyjemnie. Obchodził się więc z czasem tak, że mu go zbywało wiele od poważnej pracy, a pisanie powieści bawiło go, przyczyniało się do przyjemnego życia. Pisał więc, i pisał szczęśliwie. Nie w rodzaju tkliwym jak Malwina, ani w namiętnym jak Kropiński, ani w tendencyjnym jak Niemcewicz, ale w rodzaju swobodnym i wesołym, który zupełnie humorystycznym nie jest, ale się do tego zbliża. Zaletę i wdzięk jego powieści stanowi wielka prostota w układzie i w sposobie pisania, nieposledni dar obserwacyi, i jakaś rozlana po tem wszystkiem, dość miła i ujmująca pogoda umysłu. Postaci nakreślonych po mistrzowsku, bardzo plastycznych a opartych na głębokich studyach i znajomości ludzkiej duszy, żądać od niego nie trzeba, ale chwyta przynajmniej i charakteryzuje bodaj ogólnie różne odmiany jednego i tego samego typu wiejskiego obywatela i różne objawy wiejskiego życia.

Pomiędzy jego powieściami potocznemi i obyczajowemi najwięcej odznacza się właściwemi autorowi zaletami „Pan Starosta.“ Historya niezmiernie prosta, najzwyczajniejsza. Pan starosta, wielka powaga w powiecie, rodzaj moralnego dyktatora jakiego ma zawsze każda u nas okolica, powziął wielką przyjaźń dla swego sąsiada, młodego pana Augusta, który dzierżawi małą wioskę o granicę. Przyjaźń zawiązana na polowaniu tak się wzmogła przez bliższe poznanie i szacunek, że starosta ułożył sobie ożenić sąsiada z córką swojej siostry kasztelanowej, a że jest bezdzietny, zapisać majątek temu przysposobionemu krewnemu. Plan się nie wiedzie: młody dzierżawca nie marzy nawet o pannie kasztelance, prosi łaskawego starosty, żeby go oświadczył o jakąś pannę w sąsiedztwie, która miała dobry posag, ale nie miała senatorskich zaszczytów: kasztelanowa naturalnie nie chce słyszeć o dzierżawcy, a jej córka, panienka cokolwiek zanadto rozbawiona, uszczypliwa, myśląca o warszawskich balach, a naśmiewająca się z wiejskich kawalerów, ani o Auguście nie myśli, ani mu się też sama zrazu nie podoba. Ale kiedy owa sąsiadka ze wzgardą odrzuciła prośbę

dzierżawcy, starosta wrócił do swojej pierwszej myśli. Panna Walerya, zagrożona przez matkę małżeństwem z jakimś nieznośnym warszawskim fircykiem, odkryła, że August jest i przyjemniejszy i więcej wart: ten znowu skoro spostrzegł, że się jej podobać może, odkrył wszystkie wdzięki i przymioty w pannie Waleryi, wreszcie starosta oznajmił kasztelanowej, że zapisze cały majątek jej córce, jeżeli ta pójdzie za jego przyjaciela. Kasztelanowa w długach i kłopotach, liczy na majątek brata jako na jedyny ratunek, odmówić nie może, a wydać córkę za dzierżawcę nie chce, choć August naturalnie jest bardzo dobrym szlachcicem i był posessionatem, tylko przedał majątek żeby spłacić ojcowskie długi. Wymyśla więc najlepszy sposób: oświadcza Augustowi, że jest zmuszona przyjąć go za zięcia, od niego zależy zadać jej ten przymus lub jej go oszczędzić. Szlachetny młodzieniec usuwa się, ale zakochany na śmierć w kasztelance, chce skończyć z tem nędznem życiem idzie na wojnę. Nie ginie naturalnie, wraca z chwałą, z krzyżem i bez ręki. Tej, która mu została, chwyciła się oburącz panna Walerya, a sama kasztelanowa która wstydziła się zięcia dzierżawcy, uznała, że inwalid i szef bataljonu jest zięciem, którego można przyzwoicie światu pokazać.

Cały ten prosty romans rozwija się na tle niezliczonych polowań, balów, kuligów, imienin których jest niezawodnie za wiele, ale autor nie umiał wymyślić innego środka na to, by wprowadzić różne wiejskie szlacheckie typy, które wprowadzić chciał, które kreśli rysami ogólnemi wprawdzie i dziś już spowszedniałemi, ale wcale szczęśliwie i trafnie. Wszystko razem wziąwszy, jest to powiastka tak prosta i naturalna, że ma przez to jakiś wdzięk, i dziś jeszcze czyta się z przyjemnością, robi miłe wrażenie.

Pomiędzy pierwszymi naszymi pisarzami powieści obyczajowych jest więcej kobiet aniżeli mężczyzn. Zaczynała tę epokę romansu księżna Wirtemberska i pani Mostowska, zamyka ją, a raczej otwiera już inną panna Tańska: pomiędzy niemi stoi jeszcze jedna autorka, pani Jaraczewska. Co do czasu mogłaby rachować się do następnego okresu, bo jej powieści wychodzą już około roku 1830, ale wewnętrzną swoją wartością należą one jeszcze do tej epoki początkowej.

Jakkolwiek bez wielkiego talentu, oznacza pani Jaraczewska już pewien postęp i pewne wyrobienie powieści. Więcej aniżeli inni poświęca uwagi i starania psychologicznej charakterowej stronie romansu, a choć nie dochodzi pod tym względem do bardzo wielkich rezultatów, usiłowanie samo jest już postępem, a dla niej dobrem świadectwem. Z większą także biegłością umie uszykować zdarzenia swojej powieści, i powiązać je ze sobą, a wreszcie różni się od swoich poprzedników tem, że za założenie powieści bierze jakąś prawdę psychologiczną, której powieść sama ma być dowodzeniem. Tej metody może nie zawsze dobrej, nie widzieliśmy dotąd u naszych powieściopisarzy. I tak *Zofia i Emilia*, to obraz dwóch systemów wychowania i ich skutków. Z dwóch sióstr jedna chowała się przy światowej matce w Warszawie, druga przy ojcu domatorze na wsi: jedna i sama umiała być całe życie szczęśliwą i była szczęściem drugich, druga, kiedy po wielu przykrościach doznanych częścią z własnej winy, częścią z winy świata, którym była otoczona, ma wreszcie zostać szczęśliwą żoną człowieka, którego kocha, dziecinnie i lekkomyślnie, przez miłość zabawy naraża zdrowie, zaziębia się na balu i umiera w dzień przeznaczony na jej wesele.

To nauka żeby panien nie przyzwyczajać zbytecznie do świata i zabaw. Ale jest druga tycząca się mężczyzn, jak tych chować, od czego ich strzedz, żeby wyszli na ludzi porządnych i szczęśliwych. „*Pierwsza młodość Pierwsze uczucie*“ jest to duża powieść w czterech tomach, najlepsza może między powieściami pani Jaraczewskiej. Wychodzi autorka z tego założenia, opartego na dostrzeżeniu wcale bystrem, że pierwsza miłość wpływa zawsze przeważnie na charakter młodego człowieka, że zostawia na całej jego istocie moralnej ślady nie zatarte, że jeżeli ta pierwsza miłość była szlachetna i jej przedmiot szlachetny, to człowiek taki będzie przez nią podniesiony tak, że na całe życie jego uczucie i wola zostaną szlachetnemi, jeżeli przeciwnie, to spadnie tak nizko, że pomimo najlepszej woli zupełnie podźwignąć się nie zdoła. Znaczy to, że „młodość jest rzeźbiarką, co ukrywa żywot cały“ a ręką tej rzeźbiarki kieruje, o udaniu jej dzieła rozstrzyga, miłość. Tej prawdy dowodzić ma cały ciąg powieści.

Pierwszą miłością młodego Gustawa, była dziewczyna uboga, oddzielona od niego wielką przepaścią społecznego położenia, która dla tego właśnie nigdy mu swego uczucia objawić nie chciała, ale wydana za innego umarła z miłości. Henryk, w pierwszej młodości wpadł w złe towarzystwo, między awanturników i graczy, pierwsza kobieta którą kochał nie była zła ani zepsuta, ale żyła w takiem otoczeniu, że miłość ta niebawem musiała się stać dla niej nieszczęściem, dla Henryka wyrzutem. Pamięć tego stosunku dręczy Henryka, kiedy jego skutki stają mu zawsze jako zawada na drodze życia. Obadwa ci ludzie kochają później tą samą kobietę: Karolina zrazu jest żywo zajęta Henrykiem, oddałaby mu serce i rękę z radością, Henryk mógłby być najszczęśliwszym z ludzi, ale nałogi młodości odzywają się ciągle, Karolina przestaje ufać, pomału przestaje kochać i oddaje rękę Gustawowi. Henryk pozbawiony szczęścia w skutku swojej „pierwszej młodości i pierwszych uczuć, umiera poprawiony ale opuszczony sam, smutny i tęskniący za szczęściem, które sam dobrowolnie zmarnował.

Współcześnie z panią Jaraczewską, ale lepiej od niej i od wszystkich poprzednich pisząca panna Tańska, znana zresztą powszechnie i bardzo pamiętna, stoi już na wyższym szczeblu talentu i pisarskiego wyrobienia, a przez to należy już do innej grupy piszących. Tu mieliśmy objąć tylko same początki polskiej powieści, niewykształcone i niebardzo zgrabne, grupę pisarzy zapomnianych, nie bardzo zdolnych, nieraz wyśmianych którym przecież należy się choćby z miłosierdzia trochę pamięci, i trochę wdzięczności za to, że się na pierwszy krok odważyli.

Wspomnieni tu pisarze, i ich dzieła wystarczą, żeby dać wyobrażenie o kierunku i stanie powieści domowej i obyczajowej w początkach naszego wieku. Równocześnie rozwijała się powieść także w kierunku drugim, historycznym.

II.

Jednym ze skutków odrodzenia sztuk i nauk w wieku XVI przez literaturę i sztukę klasyczną, było zapomnienie wieków średnich, które stopniowo doszło do lekceważenia, do niechęci,

do pogardy. Zrazu, zdziwiony i oczarowany nieznaną sobie doskonałością w piękności, zatopił się świat europejski w starożytnych wzorach i w nie zapatrzony, nie patrzał po za siebie, na początki, z których był wyszedł; później, kiedy w drugiéj połowie XVI wieku zaczął tracić zmysł artystyczny i zdolność tworzenia, kiedy nie umiał już łączyć form klasycznych ze swojem własném chrześciańskiem natchnieniem i duchem, i kiedy jego pojęcie piękności ścieśniło i skurczyło się, artyści, którzy umieli tylko mechanicznie, rzemieślniczo naśladować, albo jeżeli tworzyli sami, to dziwacznie i brzydko i publiczność, która ich podziwiała, nie byli już obojętnymi dla wieków średnich, ale się ich wprost wstydzili, patrzali z góry z pedantyzmem ciasnym i zarozumiałym na te czasy i na te dzieła barbarzyństwa i ciemnoty. Wiek Ludwika XIV tak pyszny z siebie, patrzał z politowaniem na całą średniowieczną oświatę i historyę, a wiek XVIII, który z takiem upodobaniem w sobie samym nazywał się wiekiem rozumu, który nie miał ani dość uczucia, ani dość zmysłu sztuki, żeby się poznać na piękności pierwotnej architektury lub pierwotnego malarstwa, widział w tych wiekach tylko fanatyzm i ciemnotę, tortury, stosy, dysputy scholastyczne, i odwracał się od nich ze zgrozą i wstrętem, przygniatał je całym ciężarem swojej niezmiernej wyższości. Muszki, koronki, kameryzowane szpady i pudrowane fryzury śmiały się z pancerzów i hełmów, porcelanowe figurki sewrskie lub saskie miały się za coś nieskończenie wyższego od suchych, wymacerowanych figur średniowiecznej rzeźby: pasterka Watteau, w podpiętej sukience i różowych trzewiczkach, lubieżny amorek Bouchera, patrzały z pogardą na takie istoty nędzne i upośledzone jak madonny Dürera lub anioły ciemnego mnicha z Fiesole, a portret Van-Loo byłby się wstydził sąsiedztwa portretu Holbeina. Owszem, ślady tego barbarzyństwa tak kłóły w oczy ten świat wykwintny i elegancki, że gdzie tylko mógł starał się on je zacierać i przeciągnąć pokostem swojej ogłady i gustu. Wiek XVII, zgorszony dziwactwem ostrych łuków i wieżyczek, starał się nadać średniowiecznym budowom jakąś powierzchowność rozsądną; dzięki tym staraniom wycywilizował się Tum Mediolański i dostał tę facyatę o regularnych pilastrach i architrawach, z pięknemi kapitelami i pięknem regularnem czworobocznem oknem w środku; wiedeński kościół św. Szczepana dostał przynajmniej nowe w dobrym gu-

ście ołtarze; fantastyczny, kwiecisty, płomienisty gotycyzm hiszpański także musiał się cywilizować; katedra w Burgos oskrobana do czysta z dziwacznych barbarzyńskich ozdób, dostała w połowie przynajmniej gładką facyatę godną oświeconego wieku, kościoły francuzkie także musiały ile mogły akkomodować się panującemu smakowi, a ten wandalizm cywilizacyi rozpostarł się aż na północ, nie oszczędził i naszych skromniejszych zabytków średniowiecznej sztuki, jak o tem świadczą nasze kościoły obdarte ze swojej dawnej cechy, zeszpecone dodatkami i ozdobami rzymskiemi, greckiemi, barocco, wszelkiego stylu i smaku, jakich tylko wiek oświecony mógł użyć do zatarcia śladów barbarzyństwa. Voltaire był wielkim poetą, komedya Danta śmiesznym zbiorem potwornych niedorzeczności, Ludwik XV królem nierównie oświeceńszym jak święty Ludwik, pani Pompadour Dubarry reprezentantką postępu i cywilizacyi, Joanna d' Arc śmieszną figurą w sam raz na bohaterkę brudnej komicznej epopei; napad na Szlązk był genialnym pomysłem, wojny krzyżowe głupstwem.

Pomału jednak ustawać zaczęła ta poniewierka pierwszej, rodzimej, europejskiej sztuki i oświaty. Pierwszy zjawił się przesyt. Greckie i rzymskie muzy, pompatyczne greckie i rzymskie królowe w tragedyach zaczęły być nudne, pudrowane pasterki zaczęły być ckliwe, zaczęto żądać czegoś nowego, świeżego, nieznanego. Wielka rewolucya literacka w Niemczech podniosła się za żywotnemi prawami dwóch epok historycznych, dwóch światów, dwóch prawd: prawdy klasycznego świata greckiego i prawdy świata chrześciańskiego, europejskiego, właściwości jego uczuć, jego pojęć, jego duszy, jego historyi; równocześnie prawie podniosła się inna wielka rewolucya we Francyi, a zaledwo się skończyła, kiedy świat europejski nagle, skwapliwie, gorączkowo śpieszy wyprzec się XVIII wieku i wszystkich spraw jego. Zaczyna się zwrot we wszystkich uczuciach, we wszystkich pojęciach i kierunku. Źle się wyszło na ulubionem haśle *„écraser l' infame“*, więc zwrot religijny: katolicyzm nietylko wraca na swoje dawne ołtarze, ale robi zdobycze w obcych krajach, w Niemczech, w Anglii nie widziano nigdy tyle odstępujących protestantyzmu. Ateizm doprowadził do smutnych rezultatów, więc przerzucenie się w ostateczność przeciwną, w mistycyzm. I tak jak wiek miniony odrzucał ze wzgardą wszystko co nie

było nim, tak nasz w swoich początkach ze wstrętem odwracał się od wszystkieco, co byłc śladem lub przypomnieniem tamtego. Nastąpił odwet: pudrowana peruka stała się symbolem śmieszności, wszystko co niedawno jeszcze było pięknem, ładnem, miłem, teraz obwołane zostało za brzydkie i fałszywe; co epoka przedrewolucyjna czciła, to było bez ceny i w poniewierce, z czego się śmiała, czem gardziła, to właśnie wydało się pięknem, poetycznem i stanęło na ołtarzach. A jak dawniej wieki średnie były symbolem ciemnoty i barbarzyństwa, tak teraz stały się symbolem wszystkiego co piękne i poetyczne. Rycerz idący na wojnę lub w szranki turnieju pod kolorami swojej damy, młody giermek nieśmiało zakochany w żonie lub córce swego pana, trubadur śpiewający uczenie o miłości i o sławie, piękne panie królujące na rycerskich gonitwach, porywane, więzione, odbijane przez rycerzy, zamki, zwodzone mosty, zbroje, hełmy, ponure klasztory, kościoły z kolorowemi szybami, białe habity mnichów przesuwające się pod arkadami ciemnych korytarzy, czarownice, wróżki, astrologi, pazie, oto co się teraz podobało, co działało na fantazyę, co miało urok poetyczności. Po długiem zapomnieniu wieki średnie wróciły w modę, i przez czas pewien panowały w niej wyłącznie, miały monopol poetyczności z krzywdą wszystkich innych czasów. Jak długo jeszcze był Napoleon i rozciągał opiekę nad smakiem klasycznym, jak długo stroje i sprzęty w Tuileryach naśladowały kroje i kształty rzymskie, greckie, egipskie, etruskie, tak długo jeszcze moda i naśladownictwo utrzymywały je w Europie. Ale gdy Napoleona nie stało, a poezya romantyczna była właśnie w swojej potędze (Byron, Moor, Walter-Scott), wtedy świat uwolniony od przymusu dał folgę swej predylekcyi od wieków średnich, i znowu domy, sprzęty, stroje, pisma, zaczęły naśladować formy średniowieczne. W XVIII wieku dyletanci stawiali w swoich ogrodach nowe ruiny starych świątyń greckich, teraz ich synowie z równym dobrym smakiem budowali nowe ruiny gotyckich zamków i kościołów w miniaturze. I nie tylko moda i naśladownictwo, zabawy i nowości, ale i wielka poezya i poważna sztuka szukają odmłodzenia w tej odwiecznej przeszłości. W poezyi ballada i romanza zajmuje miejsce elegii, dramat, zwłaszcza niemiecki już prawie nie wychodzi z tych czasów, architektura sili się na łuki jak najostrzejsze, malarstwo francuzkie, jeszcze za życia Dawidów i Gérardów, rzuca się na

średniowieczne historyczne sceny i postacie niemieckie, zanurza się w najsumienniejszych studyach starych mistrzów niemieckich i włoskich przedrafaelicznych i chce w tych studyach znaleźć chrześciańską inspiracyę, pierwotną świeżość, naiwność i prostotę średnich wieków.

Jednym z pierwszych symptomów tego rozkochania się w wiekach średnich było ukazanie się, a jednym z najpowszechniejszych jego skutków był wzrost i rozszerzenie się historycznej powieści. Romans historyczny był niby zawsze: on to niby pierwszy ukazał się w dzisiejszej prozaicznej formie romansu, ale Wielki Cyrus i Klelia nie miały w sobie nic historycznego prócz nazwisk. On był pod imieniem Cyrusa królem takim jak Ludwik XIV, ona heroiną taką jak księżniczka Montpensier, były to powieści tak historyczne, jak historycznemi są francuzkie tragedye o Horacyuszach, Tytusie, śmierci Cezara lub Pompejusza. Ale kiedy wiek XVIII znudził się jednostajnością swojej poezyi i swoich romansów, kiedy przepalone podniebienia potrzebowały koniecznie czegoś nowego i odmiennego, kiedy konwencyonalne dwory i pałace były równie zużyte i oklepane jak konwencyonalne pasterskie szałasy, wtedy powieść rzuciła się na to zaniedbane pole rycerskiej przeszłości. Że nowość taka znajdzie powodzenie, to mogła sobie powieść wróżyć po przyjęciu tak pełnem zapału, jakie znalazły w całéj Europie pieśni Ossyana; fabrykat Macphersona dla tego zyskał taką sławę, dla tego przez jakiś czas stawiany był na szczycie poezyi i nazywany Homerem północy, że kolorytem różnił się od wszystkiego, do czego Europa była przywykła. Dla pisarzy powieści było to wskazówką, że jeżeli chcą czytelników i rozgłosu, powinni śmiało zapuścić się w czasy zamierzchłe i zapomniane. Za tą wskazówką poszedł Floryan, kiedy po sielankowej Estelli pisał Gonzalva z Kordowy, za tą wskazówką, a raczej za obudzoną już ciekawością i sympatyą do wieków średnich, poszła pani Cottin, kiedy napisała swoją sławną i tak długo w całej Europie wielbioną Matyldę, a oboje, zwłaszcza pani Cottin, przyczynili się znowu nie mało do rozpowszechnienia średniowiecznej mody. Matylda uchodziła za najpoetyczniejszy i najbardziej rozrzewniający obraz rycerskich czasów i obyczajów. Rozwija się na tle wojen krzyżowych: bohaterka jest siostrą króla Ryszarda i ma składać śluby zakonne, przedtem jednak chce odbyć pielgrzymkę do Ziemi świętej. Bie-

rze ją więc Lwie Serce z sobą na krzyżową wyprawę, a tam, w jakiejś morskiej bitwie czy burzy Matylda staje się branką najdzielniejszego z muzułmańskich rycerzy, brata Saladyna, Malek-Adela. Można sobie wyobrazić do jakich walk i kolizyi musi dawać pole miłość pomiędzy chrześciańską księżniczką i prawie zakonnicą, a takim wschodnim sułtanem, i jakie piękne sceny szturmów, odsieczy, oblężeń, pojedynków, niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju dadzą się rozwinąć na tle tej wojny, ile tam rycerzy tkliwych równie jak nieustraszonych, chrześcian i seraceuów, a nad wszystkimi góruje Malek-Adel, arab tak dobrze wychowany, zbliżający się do swoich branek z tak ujmującym respektem, zakochany tak, że nazajutrz po zobaczeniu Matyldy wyrzeka się wszystkich przywilejów, jakie mu daje zakon proroka i ją tylko jednę chce mieć w sercu i w domu. Malek-Adel szlachetny, wspaniałomyślny, dzielny, piękny, którego arcybiskup Tyru nazywa najcnotliwszym z rycerzy, i który wreszcie w chwili śmierci poniesionej ze zdradzieckiej ręki rywala chrześcianina, bierze dwa sakramenta, chrzest i ślub z Matyldą, Malek-Adel był ze wszystkich bohaterów romansu najulubieńszym, najbardziej rozmarzającym młode wyobraźnie przez lat dwadzieścia lub trzydzieści. Coś fałszywszego od Matyldy jako koloryt historyczny, jako właściwa cecha wieku, nie można sobie wyobrazić, ale podówczas nie brano tego tak ściśle, i romans rycerski, średniowieczny, choć na wskróś fałszywy i konwencyonalny, podobał się, bo był choć na pozór rycerskim i średniowiecznym.

Niebawem jednak zjawił się i romans historyczny prawdziwy, romans Walter-Scotta. Gervinus oskarża go, że rozkrzewił ten rodzaj „najszkodliwszy ze wszystkich, rodzaj półpoetycznych łatanin, który zmysłu artystycznego nie kształci, niweczy zmysł i rozumienie historyi, a o naturze ludzi i czasów daje krzywe pojęcia, które nauka z trudnością potem zaledwo może sprostować.“ Wyrok surowy, potępienie stanowcze całego historycznego romansu, przeciw któremu odezwać się tem trudniej, że jest w nim wiele prawdy. Jednak szkodliwość ta jest względna, nie leży w romansie historycznym jako takim, ale w nas, którzy go czytamy. Niezaprzeczenie są ludzie, których cała wiedza historyczna czerpie się z romansów, którzy kardynała Richeleu znają tylko z „Trzech Muskieterów“, rewolucyę francuzką tylko z „Naszyjnika królowej“ i z „Hrabiny de Charny“; tacy,

gdyby tych romansów nie było, nie wiedzieliby o historyi nic zgoła, w czem nie byłoby szkody, jak jej dziś nie ma z tego, że mają o niéj krzywe i fałszywe pojęcie. Człowiek rozumniejszy, myślący, nie wezmie powieści za historyę i może czytać powieść bez niebezpieczeństwa. A zresztą, nie wdając się w spór czy ten rodzaj jest szkodliwym lub nie, i biorąc tylko ten fakt że on jest, przyznać trzeba, że kiedy być miał, to lepszym być nie mógł jak pod piórem Walter-Scotta. Być może, że rodzaj jest fałszywy, mięszany z historyi i poezyi, z prawdy i fikcyi, że umysły powierzchowne biorą jednę za drugą i rozróżnić ich nie umieją, przecież trzebaby wielkiéj odwagi na to, by powiedzieć, że Waverley, Rob-Roy, Kenilworth lub Quentin Durward nie są piękne, i że lepiéjby było, gdyby nie było ich na świecie.

Łatwo pojąć, że romans historyczny, który się przyjął szybko we wszystkich literaturach europejskich i w każdéj, wydał jakieś dzieło znakomite (Promessi Sposi, Cinq Mars), musiał mieć szczególne powodzenie i wydać się potężnym środkiem działania naszym literatom, którzy szukali tylko sposobu, jakby przez pośrednictwo czy to uczucia, czy fantazyi szczepić i krzewić miłość i pamięć przeszłości. Powieść historyczna służyła do tego wybornie: naprzód przystępnie, bez natężenia, bawiąc, mówiła o dawnych ludziach i dziejach, oswajała z nimi sposobem łatwym, wszystkich takich nawet, którzy z poważnéj książki nie dowiedzieliby się o swojej historyi niczego, bo poważnych książek nie otwierali; powtóre, pozwalała powieść odstępować od rzeczywistości i przedstawiać tę przeszłość w najpiękniejszem idealnem świetle, działa ąc na wyobraźnię czytelnika, przywiązywała go do czasów i postaci, o których mówiła, Rzucili się więc skwapliwie pisarze nasi do historycznej powieści, dostrzegli zaraz, że ona może służyć do ich celu, a nadzwyczajna sława i wziętość Walter-Scotta podnosiła jeszcze ochotę do pisania w tym rodzaju, bo obiecywała piszącemu podobną sławę i wziętość przynajmniej w swoim kraju, kiedy znowu powieści jego ułatwiały wielce zadanie, bo były gotowym wzorem do naśladowania.

Pierwsza wszelako powieść historyczna polska w naszym wieku nie wyszła pod wpływem Walter-Scotta ale Fenelona. Tą powieścią był „Leszek Biały książę polski“ ks. Krajewskiego. Uczony autor marzył widocznie o polskim Telemaku; Leszek jest pod formą powieści traktatem moralnym o wychowaniu

i obowiązkach młodego następcy tronu. Użytku, jaki sobie autor mógł obiecywać, trudno się domyśleć; Fenelon miał księcia Burgundyi, któremu jego powieść mogła wyjść na dobre, u nas nie było nigdy następców tronu, a kiedy pisany był Leszek, nie było i tronu. Ale Telemak uchodził za jeden z wielkich klejnotów literatury francuzkiéj, musiał więc mniemać ks. Krajewski, że jego naśladowanie będzie klejnotem uboższej literatury polskiej, a jego autor mniejszym wprawdzie ale zawsze polskim Fenelonom. Zresztą w braku następcy tronu skorzysta wielu innych z tej moralnej powieści, a zbawienne nauki o ważności stanu rolniczego, o potrzebie handlu, przemysłu i komunikacyi, o wpływie zaludnienia na zamożność kraju, o błogosławieństwach zgody i sprawiedliwości, wyjść mogą na pożytek nie tylko głowom koronowanym, ale ogółowi czytających. Zrobił się więc Telemak polski, w którym rolę syna Ulissesa gra syn Kazimierza Sprawiedliwego, rolę Minerwy cnotliwy Goworek, niepocieszonej nimfy Kalypso księżna kijowska Irena żona Ruryka, a czarującą wyspę bogini zastępuje stolica tej księżnej. Kijów. Roztropny i cnotliwy Goworek doświadczonym i bystrym wzrokiem przejrzał na wskróś serce wychowańca i dostrzegł w nim miłość do córki swojej Bożeny. Dbały o sławę i powagę książęcego i własnego domu, przecina ten stosunek najpewniejszym środkiem, oddaleniem, i wywozi Leszka w podróż po ziemiach polskich. W pszennej sandomierskiej glebie dowiaduje się Leszek jak potrzebną rzeczą jest rolnictwo i jego umiejętne prowadzenie, gdzieindziej uczy się, że lasy są pożyteczne i mają być szanowane, złe drogi dają Mentorowi pochop do nauki o wpływie komunikacyi na handel i bogactwo, a wszędzie słyszy Leszek, że jak zostanie pełnoletnim i zacznie panować, winien szczególną opiekę rolniczej ludności włościańskiej. Przyjeżdżają tak do kwitnącego handlem i bogactwem miasta Berdyczowa, gdzie znowu młody książę słucha nauk o ważności wielkich miast, ognisk handlu, przemysłu i światła. Nieszczęściem wszystkie te nauki Goworka omal że nie rozbiły się o niebezpieczne dla młodości pokusy. Leszek uparł się oddać hołd sąsiadowi swojemu Rurykowi w Kijowie: byłoby niegrzecznie będąc tak blisko nie wstąpić na dwór zaprzyjaźniony. Już sam przykład i wpływ tego dworu po azyatycku miękkiego, zbytkowego i despotycznego może stać się niebezpieczuym dla młodego Leszka, cóż dopiero szalona i zapamiętała miłość księżnej

Ireny. Nauki Goworka i pamięć Bożeny są wprawdzie puklerzem, od którego odbijają się wszystkie pociski jej oczów, ale gdy środki naturalne chybiły, Irena chwyta się nadnaturalnych, czarów, jak Armida lub Circe. Udaremnia je nadnaturalna również interwencya Kazimierza Sprawiedliwego, który syna wyrywa z tych niebezpieczeństw. Irena, która Leszka zatrzymać nie zdołała, męża kazała zamordować i wznieciła bunt ludu przeciwko sobie, zadaje sobie śmierć, a Leszek wraca szczęśliwie i w nagrodę wszystkich swoich cnót dostaje rękę Bożeny, która, jak się pokazuje, nie jest córką Goworka, lecz równą Leszkowi urodzeniem księżniczką Grzymisławą. Wszystko to urozmaicone strasznemi opisami guseł i zaklęć czarownicy Paraski, lub wzniosłemi obrazami podróży Leszka prowadzonego przez ducha Kazimierza po jakichś empirejskich regionach, gdzie się przed nimi przesuwa cała przyszłość Polski jak przyszłość Rzymu przed Eneaszem w szóstej pieśni Eneidy, jest tak niedołężne, tak nieudolne, tak nieznośne, że nawet śmiesznym nazwać tego nie można, jest poniżej śmieszności.

Na tym stopniu powieść zostać nie mogła: poziom inteligencyi i smaku był zanadto wzniesiony. Leszka Białego oceniono podług wartości, i zaczęto się oglądać za historyczną powieścią, któraby się zbliżała do ulubionej Matyldy lub do wychodzących właśnie romansów Walter-Scotta.

I znowu Niemcewicz, ten Niemcewicz który pisał wszystko a zawsze z praktyczną tendencyą, uderzony myślą że romans historyczny może rozkrzewić zamiłowanie i znajomość przeszłości, chwycił się tego romansu, i z Walter-Scottem przed oczyma napisał „Jana z Tęczyna“. Powodzenie jego było niezmierne, a tłomaczy się nowością: podobał się, bo był pierwszy. Powieść prawdziwej wartości nie miała, a nawet dziwnem jest, że Niemcewicz, któremu nie zbywało na znajomości przeszłości, tak mało miał jej intuicyi, tak nie umiał schwytać jej podobieństwa.

„Łatwiej opisać jaką kto czapkę nosił i w jakiej sukni chodził, jak opisać co czuł i myślał“, mówi gdzieś Stendhal o autorze Waverleya, a w tych słowach jest połowa prawdy, trafne dostrzeżenie, że w powieściach Walter-Scotta pierwiastek archeologiczny przeważa nad psychologicznym, i połowa zazdrości pisarza, którego powieści powodzenia nie miały do pisarza czytanego i podziwianego przez całą Europę. Walter-Scott zna

lepiej archeologię jak historyę i człowieka; prawda, ale tę archeologię zna przynajmniej tak, że przez nią przedstawieni w powieści ludzie są ludźmi swego czasu. Nadużywa on może strojów, uczt, turniejów, strony dekoracyjnej, ale pod dekoracyą jest i rzecz, jest człowiek, i człowiek swojej epoki, nieraz wielkiego wdzięku lub wielkiej prawdy: (Rob-Roy Ludwik XI, Fergus i Flora Mac Ivor, Meg Merrilies sceny ludowe w Kenilworth, zamek Saksona w Ivanhohe etc. etc.). U Niemcewicza pod dekoracyą nie ma nic. To nie powieść ale sprawozdanie jakiego dziennika mód z ubiorów pięknych dam i kawalerów na balu maskowym. Ile razy przebiera się Tęczyński albo Hiszpan, tego nikt nie zliczy, tak samo inni. Cecylia, Zofia Tęczyńska, Barbara, Bona, i tak dalej aż do osób najpodrzędniejszych, nikt nie wejdzie na scenę, żebyśmy nie wiedzieli jak był ubrany. Za drobne to rysy do malowania przeszłości. Cały tom pierwszy schodzi na opisie różnych uczt i uroczystości na zamku tęczyńskim, krakowskim, wiśnickim, obiady, turnieje etc., a w mnóstwie złotogłowów, brylantów, pancerzy, roztruchanów etc. giną ludzie i ginie charakter czasu.

Prawda jest, że wiek XVI zostawił nam bardzo mało śladów swojego domowego życia i obyczaju, że mamy wyobrażenie bardzo niejasne o tem, jak ludzie ówcześni przepędzali dzień, jak z sobą rozmawiali o rzeczach potocznych, jak się bawili. Jednak choć nie wiemy jak to było, czujemy przecież, że było inaczej jak dziś i inaczej jak w wieku XVIII. Tymczasem Niemcewicz stawia ludzi wieku XIX w ramach XVI, a jeżeli czasem przypomni sobie, że ma do czynienia z przeszłością niepodobną do teraźniejszości, wtedy cofa się w przeszłość najbliższą, w tę którą pamiętał lub przynajmniej znał z opowiadania naocznych świadków, i postaciom historycznym z Zygmuntowskich czasów daje obyczaj i sposób życia XVIII wieku. Zaczyna się powieść od uroczystego obchodu imienin wojewodziny Tęczyńskiej, a ten obchód, te nieskończone szeregi potraw i kielichów, to czasy Augusta III nie Zygmunta Augusta. Sposób mówienia? Mało go znamy to prawda, jednak poznać go można. Gdyby Niemcewicz był chciał zadać sobie pracę, byłby z Dworzanina Górnickiego naprzykład mógł nabrać wyobrażenia jaki był ton potocznej rozmowy w epoce, którą malował. Ale jemu nie chodziło o doskonałość ale o pośpiech, robił pobieżnie, czemprędzej, nie

dbał o usterki, byle książka była i byle się rozeszła; nie pomyślał o tem, że trzeba zrobić studium archeologiczne chcąc pisać historyczną powieść, że trzeba koniecznie nauczyć się języka, poznać obyczaj epoki, jemu było dość wziąść z niej postacie i nazwiska. I dla tego jego wiek XVI jeżeli nie jest XIXtym to jest XVIIItym, jego Tęczyńscy i Zborowscy rozmawiają z pannami Kmiciankami i Ostrogskiemi jak rozmawiała młodziesz warszawska z czasów królestwa kongresowego, adjutanci Wgo księcia z pannami Grudzieńskiemi lub Mostowskiemi. Jak dalece pisał pośpiesznie i nieuważnie, dowodzi choćby ten mały szczegół, że jego Hiszpan Don Alonzo Guzman de Medina Coeli, mówi czasem po polsku, a czasem po włosku. Jest to fikcya powszechnie przyjęta i konieczna, że figury w poezyi lub powieści mówią językiem autora i jego czytelników. Może na tem cierpi historyczne prawdopodobeństwo, ale bez tej fikcyi, musiałby był Szekspir pisać Cezara po łacinie, Schiller Maryę Stuart do angielsku, Göthe Ifigienię pół po grecku a pół po scytyjsku. Don Alonzo musiał więc albo milczeć jak zaklęty, co było trudnem, albo mówić po polsku. Ale autorowi przypomina się czasem, że ta mowa polska w ustach hiszpana jest nieprawdopodobną i wtedy, nie umiejąc po hiszpańsku, kładzie mu w usta dyalogi włoskie, które uprzejmie tłumaczy. Dobrze jeżeli Don Alonzo nie umie po polsku niech mówi po włosku, ale niechże już zawsze po polsku nie umie, a nie miesza dobrej polszczyzny z łataną polską włoszczyzną. To tem dziwniejsze, że w tej samej powieści inni cudzoziemcy, Szwedzi mówią wybornie po polsku, bez tłumacza; dowód jak pośpiesznie i bez uwagi Niemcewicz pisał, znudzony już tem dziełem, które miał pod ręką, z głową zajętą już tem, które pisać zamierzał.

A szkoda, bo przedmiot jest piękny. Co za sposobność odmalowania Polski w jej najpiękniejszej chwili, co za postacie: król, Barbara, Kmita, Radziwiłłowie, Bona Maciejowski, Gamrat, Jan Kochanowski, całe to bujne, jaskrawe, różnokolorowe życie XVIgo wieku. Sytuacye także niezmiernie do romansu przydatne. Ten szlachcic, który rozkochał królewnę, mógł być bardzo ładnym bohaterem powieści, Cecylia bohaterką bardzo sympatyczną, Hiszpan zajmującą epizodyczną postacią, królowa Barbara przedstawioną z należytym wdziękiem nieocenioną ozdobą, a z tego wszystkiego nie ma nic, ani wieku, ani ludzi, ani wdzięku,

ani historycznej lub psyhologicznej prawdy, obraz bez kolorytu i bez rysunku.

Bez rysunku, bez wewnętrznej budowy, bo cała powieść składa się z luźnych wypadków, epizodów bez związku, przyczyn bez dalszych skutków, i skutków, którym braknie przyczyn. I tak naprzykład, sam początek: Tęczyński wraca z zagranicy z Hiszpanem do domu: już są blisko, w tem w lesie zaskoczyła ich burza, po burzy noc, niepewni drogi wchodzą do jakiejś chaty. Walter Scott lubi takie nocne burze i błądzenia po lasach, ale u niego są one wstępem do czegoś, wywinie się z nich zawsze wątek powieści. Tutaj ta burza nie służy do niczego; podróżni przenocowali wygodnie u dawnej piastunki Tęczyńskiego, a nazajutrz rano po dniu zajechali szczęśliwie do zamku: a więc po co ta burza, po co ta noc, po co ten cały wstęp; lepiej było tę noc opuścić kiedy do niczego nie prowadziła i zacząć powieść nazajutrz rano. Cała historya Hiszpana i Zofii Tęczyńskiej składa się z takich niczem nieusprawiedliwionych epizodów. Po co panna Tęczyńska jedzie na Podole? tylkc po to, że Tatarzy nie mogli jej porwać z Tęczyna, a gdyby nie byli porwali, Hiszpan nie byłby jej odbił, gdyby nie był odbił, nie byłby się podobał. Wszystkie epizody, w których występuje królowa Barbara, jej koronacya, jej podróż do Wiśnicza (który autor uporczywie nazywa Wisznicą), służą tylko za pretekst do opisywania obiadów, śniadań i ubiorów, nadewszystko ubiorów. Zdaje się, że ten pobyt w zamku Kmity prowadzi (podług znanej legendy) do otrucia Barbary, bynajmniej, służy on tylko do tego, żeby nam powiedzieć jaką suknię miała na sobie królowa rano a jaką wieczór.

Największa zaś niezręczność w samem rozwiązaniu powieści. Jużto cała historya miłości Tęczyńskiego z Cecylią, prowadzona jest nieszczęśliwie; wspólne przejażdżki na saniach, wspólne śpiewy, bileciki posyłane i oddawane przez księcia finlandzkiego, gęste opisy jak się ubrał Tęczyński na dworską szlichtadę, jak Cecylia do tańca lub w innej okoliczności: oto romans, ani prawdopodobny ani zajmujący, pomimo zajmującej i romansowej sytuacyi. Ale zakończenie ze wszystkiego najsłabsze. Gdyby Tęczyński był w rozbiciu okrętu utonął od razu, nie byłoby nic do powiedzenia, ale wyratować się z morza na to, żeby drugi raz tonąć i to samochcąc, to doprawdy zawiele nieostrożności,

przypadku i wody. Wyratowany po rozbiciu okrętu, leczy się Tęczyński na odludnej wyspie w domu jakiegoś miejscowego pastora, którego córka naturalnie widzi w nim rodzaj półboga i zakochuje się na śmierć. Niecierpliwie czeka on chwili, w której zdrowie i lody pozwolą mu popłynąć do Stockholmu, wygląda ze szczytu jakiejś skały na morze czy nie dojrzy jakiego statku, wreszcie raz dojrzał, poznał flagę polską i tak się ucieszył, że wyciągnął do niej ręce, przychylił się, stracił równowagę i wpadł w morze, tym razem już na dobre. Wypadek bardzo smutny zapewne, ale nie konieczny, nie wynikający z położenia i stanu duszy bohatera, ani ze zdarzeń poprzednich, słowem czysty przypadek, smutny, ale ani potrzebny, ani romansowy, ani bohaterski.

Chciał Niemcewicz być rozmaitym, w ogromnych ramach mieści się mnóstwo pola do opisu ludzi, krajów i wypadków najrozmaitszych od Laponii do Krymu, od dworów do namiotów, od imienin pani Tęczyńskiej do Unii lubelskiej. Walter-Scott byłby z tego zrobił prawie rycerską epopeję; Dumas żywą i zajmującą zakulisową historyę, fałszywą ale pełną złudzeń optycznych. Ursyn bez wyobraźni, niezdolny postaci żywych i zajmujących stworzyć, nie umiejący odtworzyć dawnej Polski tak jak ona myślała, mówiła i żyła, pomimo najlepszej chęci, pomimo wpatrzenia się w Walter-Scotta aż do wprowadzenia najniepotrzebniejszej, niczem nieusprawiedliwionej wróżki czy cyganki, pomimo ogromnej rozmaitości, pomimo że co chwila zmienia przedmiot opowiadania, używa sztuczek do podniesienia ciekawości, jest nudny i martwy. I na tem polu nie było danem tej epoce zrobić to co chciała — tryumf przeznaczony był i tu jej następcom, Rzewuski zrobił to, o czem Niemcewicz i Wężyk myśleli.

Wężykowi powieść historyczna udawała się lepiej. Jego Władysław Łokietek wprawdzie jest i mniej żywy, i gorzej prowadzony i historycznie jeszcze mniej wierny jak Jan z Tęczyna. Jest w nim za wiele historyi na powieść, za wiele powieści na historyę; miłość Łokietka z Jadwigą córką Bolesława księcia kaliskiego, jest treścią romansową, przygody młodego księcia na Brześciu kujawskim, aż do pierwszego jego wstąpienia na tron, tłem historycznem powieści. Napady Tatarów, intrygi Niemców i Piastów szląskich, niezgody i walki Piastów polskich, śmierć

Ludgardy, Henryk wrocławski w Krakowie, spiski Gryfiny żony Leszka Czarnego z Czechami, z królem Wacławem, awanturnicze wyprawy Łokietka i jego tułacza wędrówka — oto treść. Nie arak jej materyału na powieść, tylko wykonania. Autor sam czuje ten niedostatek i składa go na zupełną w jakiej jesteśmy nieznajomość obyczaju i życia tych czasów. To prawda, wiemy o tem tak mało, że obraz ich w powieści nie już wierny ale prawdopodobny, jest niepodobieństwem. Ale na to, zwłaszcza jeżeli autor czuł to niepodobieństwo, rada była łatwa, dać pokój tym czasom i wziąść przedmiot do powieści z innych, lepiej znajomych, których koloryt dałby się łatwiej utrafić. Nie o wiele posunął się Wężyk co do czasu w drugiej swojej powieści, bo tylko od młodości Łokietka do jego podeszłego wieku, ale przecież „Zygmunt z Szamotuł“ jest powieścią nierównie lepszą, nietylko od Łokietka ale i od Jana Tęczyna. Co do historycznego prawdopodobieństwa osób i epoki, to zapewne mało więcej znamy obyczaj tej epoki jak poprzedniej, autor pomocy znajdował mało, musiał dawać swemu obrazowi koloryt na domysł, chybił go nic dziwnego że chybił. Ale pod tym fałszywym kolorytem rysunek jest pewniejszy, śmielszy i lepszy. Wypadki są z sobą powiązane i wypływają jedne z drugich, o ludziach wie się czego chcą i dlaczego co robią i rozumie się ich położenie i powody ich postępowania, słowem powieść nie będąc doskonałą jest ułożona i napisana rozumnie.

Wincenty z Szamotuł, już w zmowach z Krzyżakami, ma syna którego król Łokietek żąda mieć na swoim dworze, na pozór z wielkiej łaski i przychylności, w gruncie dla tego, żeby mieć zakładnika wierności ojca. Wojewoda nie śmie zrywać otwarcie, i młodego Zygmunta wyprawia do Krakowa. Tu bohater powieści wchodzi w spółzawodnictwo miłosne z synem swego króla i Pana. Tak jest: drugim bohaterem powieści, jest ni mniej ni więcej, tylko Kazimierz W., Kazimierz jeszcze nie wielki, ośmnastoletni, trzpiotowaty, z sercem równie skorem do zakochania jak do zapomnienia. Tylko co wrócił z Opawy gdzie miał zaślubić Judytę córkę Jana Luksemburczyka króla czeskiego (małżeństwo to nie doszło), kiedy szczęśliwy z odzyskanej wolności wzdycha do młodej Zofii z Ostrowa, panny na dworze królowej Jadwigi, i to wzdycha więcej natarczywie jak sentymentalnie, a równocześnie staje w Krakowie jakaś

zdradzona przez niego Węgierka. Ten Kazimierz Don Juan wygląda zabawnie, jednak znając jakim był na starość, rozumie się, że młodość mogła być taką, jak ją sobie Wężyk wyobraził.

Taż sama Zofia z Ostrowa zaręczona z Jaśkiem z Melsztyna, podobająca się Kazimierzowi, zrobiła silne wrażenie i na sercu Zygmunta z Szamotuł. Wypadek zrządził, że ten nie znając jeszcze Kazimierza spostrzegł jego czułe zabiegi, nastąpiły przymówki, z przymówek wyzwanie Do pojedynku jednak nie przyszło, uprzedził go Spytek z Melsztyna który jako starosta zamkowy królewicza uwięził w jego pokoju, Zygmunta wyprawił na Litwę z poselstwem jadącym prosić o Gedyminównę Aldonę dla Kazimierza. Zygmunt odjeżdża w rozpaczy, zostawia przy swojej Zofii przedsiębiorczego królewicza, ale los podsuwa mu niespodziany odwet w Wilnie. Sytuacya zaczyna być ciekawa, bo kiedy Kazimierz, żeniący się ze względów politycznych, nie przestaje zalecać się do panny z Ostrowa w Krakowie, w Wilnie Zygmunt nie żartem wpadł w oko córce Gedymina. Lubi ona namiętnie śpiew, a gdy raz usłyszała śpiewającego młodego Lacha, prosi ojca, żeby jej tego śpiewaka darował. Gedymin tłomaczy, że nie może darować człowieka wolnego, dzika Litwinka tego nierozumie, ale widząc, że z ojcem do celu nie trafii, udaje się do Zygmunta i prosi, żeby jej się darował sam, i to bardzo natarczywie. Szczęściem dla Kazimierza, młody pan z Szamotuł jest rycerzem pełnym honoru, a Aldona przywieziona do Krakowa, na widok pięknego narzeczonego zapomina zupełnie o śpiewaku.

W trzecim tomie szczęście Zygmunta wydaje się pewnem, Zofia mu sprzyja, kiedy w tem wybuchnął bunt Wincentego z Szamotuł. Nieszczęśliwy syn, wzgardzony, okryty hańbą ojcowską ciągnie z królem na wojnę. Ma przed sobą wybór bić się przeciw ojcu, albo z Krzyżakami przeciw ojczyźnie. Siły Krzyżaków są przemagające, położenie Łokietka rozpaczliwe, kiedy Zygmuntowi przychodzi myśl szczęśliwa: przedrzeć się do namiotu ojca i próbować go nawrócić. Istotnie w bitwie pod Płowcami wojewoda poznański przechodzi na stronę polską, tym sposobem przechyla zwycięztwo, król mu przebacza, powraca do urzędów i godności, ale zaledwo król odciągnął, oburzeni Wielkopolanie rozsiekli Wincentego, syn ginie w jego obronie.

Skarbek, któremu widać studya ekonomiczne wiele zostawiały czasu, pisał dwa historyczne romanse, Damian Ruszczyc i Tarło. Ten ostatni osnuty jest na tle czasów sprzyjających powieści, wzburzonych, a bliższych nas i lepiej znajomych. Są to czasy pierwszej elekcyi Leszczyńskiego, i jego wątpliwego panowania pod opieką Karola XII. Wojewoda smoleński Tarło trzyma stronę Sasa, jego syn Stanisława, i wierności swej dla tej sprawy poświęca nawet swoją miłość, bo ojciec który mu oddaje rękę swojej wychowanicy i krewnej Heleny Czarnkowskiej, byleby przeszedł do Augusta, po stanowczej jego odmowie oddaje ją do klasztoru. Pisarz z prawdziwym talentem, byłby na tem tle nakreślił obraz bardzo piękny rozkładającej się i upadającej Polski, nie zbywałoby mu ani na osobach, ani na faktach które ten rozkład i upadek oznaczają. Skarbek zrobił z tego przedmiotu powieść, która nie jest rażąca, jest przyzwoita ale nic więcej. Próżnoby szukać w niej żywej charakterystyki ówczesnej epoki: ma ona tylko tę zaletę nagacyjną, że nie ma rysów wprost z epoką sprzecznych, a co do figur, a raczej figury bohatera, która jedna cokolwiek z obrazu występuje, można o nich powiedzieć to samo, są przyzwoite ale obojętne. W ogóle powieść obyczajowa wiodła się Skarbkowi lepiej. Znać, że talent jaki miał polegał nie w wyobraźni ale w darze obserwacyi. Przy współczesnej domowej powieści dar ten mógł mu dobrze służyć, do historycznej potrzebna już była wyższa siła wyobraźni, intuicyjne odgadnienie przeszłości: tego nie miał i ztąd „Ruszczyc“ i „Tarło“ nie zostawili po sobie nawet tyle pamięci ile „Pan Starosta“ i „Dodosiński.“

Dziwnym trafem, dwóch ludzi których los i przyjaźń później tak złączyła, że imiona ich nieraz obok siebie występują w najpiękniejszych chwilach naszej literatury, jeden zaledwo młodzieńcem, drugi jeszcze dzieckiem, napisali w tych czasach każdy po historycznej powieści. Ale dwóch Sreniawitów Gaszyńskiego, pierwszego roku w zawodzie pisarza należącego do innej już epoki nie należy mięszać i sądzić razem z utworami epoki która się zamyka, a Zygmunta Krasińskiego „Grób rodziny Reichstalów“ jest płodem wyobraźni dziecinnej. Krytyka jak prawo, nie może ludzi uważać za odpowiedzialnych, dopóki nie dojdą pewnego wieku. I dla tego można sumiennie obie te powieści pominąć, ale zanim się skończy przegląd historycznych

romansów z pierwszych trzydziestu lat naszego wieku, wspomnieć trzeba o tej, która o talencie swego autora daje wyobrażenie najwyższe ze wszystkich, i która w pierwszym okresie naszego romansu stoi na najwyższym szczeblu względnej doskonałości: o Pojacie.

„Nierozsądne Śluby“ powieść, która w swoim czasie niezmierne miała powodzenie, choć na tle czasów Zygmunta Augusta nie mogą się liczyć do powieści historycznych, bo na tem tle rysuje autor same zamyślone figury i wydarzenia. „Nałęcz“ znowu, powieść z czasów Kaźmierza Wgo jest najsłabszą ze wszystkich swego autora. Dwie inne „Reginka z Sieciechowa“ i „Powódź“ są to powiastki małe: pozostaje więc Pojata, główne dzieło Bernatowicza, największe, i to z którego najlepiej można go poznać i osądzić.

Ze wszystkich naszych współczesnych powieści historycznych, ta jedna może podpada oskarżeniu Gervinusa o bałamutne pojęcie i fałszywe przedstawienie historyi. Niemcewiczowi, Wężykowi, Skarbkowi, nikt takiego zarzutu nie zrobi, bo każdy najmniej nawet świadomy rzeczy, ich kolorytem historycznym zbałamucić się nie da, każdy widzi i poznaje odrazu, że charakter epoki nie mógł być takim jak oni go przedstawiają. Ale Bernatowicz inaczej. Czy ówczesna Litwa i ówczesna Polska wyglądały tak w rzeczywistości, jak w jego powieści? zarzucano mu że nie, i po rozwadze dochodzi się do zdania, że istotnie ani Trojdan, Firlej, ani Helena Habdankówna, ani Jagiełło i jego rodzina, ani zwłaszcza Pojata i Lezdejko, nie są ludźmi swego wieku, że zwłaszcza Litwini, pomimo prostoty i nieokrzesania jakie autor nadać im usiłuje, są zanadto cywilizowani, są to ludzie naszego wieku, przebrani w niedźwiedzie i rysie skóry, w maskach dzikości i nieokrzesania. Ale to, że potrzeba rozwagi i zastanowienia, to dowodzi że Pojata podług Gervinusa byłaby książką fałszywą i bałamutną, a dowodzi także; że ona ma wartość artystyczną, że jej autor miał talent. Złudzenie jest. Mniema się naprawdę być pośród tej Litwy pogańskiej, zwaśnionej i rozbitej wewnątrz, zagrożonej pożarciem przez drapieżny zakon i podkopanej jego zdradami, mniema się patrzeć jak z drugiej strony przedziera się tam i przenika coraz bardziej duch polski, a z nim chrześcijaństwo, wolność i oświata, duch, który miał tę Litwę zgła-

dzić i odrodzić, zadać jej śmierć, i zapewnić życie. Patrząc na tych Kiejstutów i Jagiełłów, na tych Krzyżaków, na tych Litwinów, wierzy się im mimowolnie, przypuszcza się, że jeżeli zupełnie tak nie było, to podobnie być mogło. Na ten skutek, na to złudzenie jakie robi Pojata, składały się oprócz niezaprzeczonej zdolności pisarza, dwa pierwiastki: staranne wyszukiwanie wszystkich śladów dawnych litewskich wyobrażeń i obyczajów, studia historyczne, i rozumne, ze zdolnością przedsiewzięte studium Walter-Scotta. Na jego wzór robione są wszystkie inne powieści historyczne tego czasu, ale są od niego tak dalekie, że je ledwo można uważać za naśladwwanie. Pojata jest naśladowaniem tak dobrem i udanem, że mistrz, Walter-Scott, mógłby je podpisać, i każdyby w autentyczność podpisu uwierzył. Przytem nie jest to niewolnicza rzemieślnicza kopja: z wyjątkiem jednego komtura Sundsteina, jego miłości dla Pojaty i jej porwania, które zbyt przypominają Templaryusza i Rebekę z Ivanhoego, nie ma w całej powieści nic, coby można wskazać jako wzięte żywcem z Walter-Scotta.

Pierwszą zaletą Pojaty, i pierwszą która ją odróżnia od innych współczesnych jest, że ona nietylko nie jest nudną, lecz owszem do końca czyta się z wielkiem zajęciem. Przymiot ten jest skutkiem zręczności autora, który umiał takie wymyślać zajścia i przygody, tak je z sobą powiązać, że wyobraźnię utrzymuje w ciągłem zajęciu i natężeniu. Powieść jest zbudowana nietylko dobrze, logicznie i rozumnie, ale bardzo misternie: każda figura, nawet podrzędna, ma swoje znaczenie, każde zdarzenie na pozór drobne i obojętne, wywiera wpływ na dalszy przebieg rzeczy, jest potrzebne. Nie jest Pojata powieścią charakterów, ale powieścią przygód i awantur, postacie jej są w gruncie dość czcze i przywiązują do siebie uwagę tylko temi przygodami, trafia się to często w najsławniejszych nawet powieściach, Esmeralda Wiktora Hugo żyje i zajmuje także nie swoją osobą, ale swojemi przygodami, ale to się poznaje dopiero później, po namyśle, na pierwszy rzut oka nie czuje się, że one są albo czcze, albo konwencyonalne, albo nieprawdopodobne, na pierwszy rzut oka złudzenie jest zupełne, a pomaga do niego zapewne i to, że Bernatowicz z wielkim taktem unika jak może historycznych postaci. Jedyne jakie wprowadza, Jagiełło i Kiejstut, stoją na drugim planie, Witold, Skirgiełło,

zaledwo się pokazują, Lezdejko jest dla nas tylko znanem imieniem nie znaną figurą, wiemy o nim tak mało, że autor mógł go wymyśleć jak mu się podobało, a nie obrazić uczucia prawdopodobieństwa. Jadwiga, około której obraca się cała powieść zostaje za sceną, tak jak wszystkie figury historyczne ówczesnej Polski, raz tylko pokazuje się na chwilę w samem zakończeniu, a to co w powieści żyje i działa, to same postacie fikcyjne, w które dla tego może łatwiej wierzymy, że ich z historyi nie znamy i widzimy tylko w tej powieści.

Postacią środkową, która całą rzecz koncentruje w sobie i prowadzi jest Trojdan: młodzieniec zapalony wielkiem powołaniem do służby bogów, i proszący na wstępie, żeby go przyjęto do świątyni Znicza na kapłana. Stało się zadość życzeniu: niebawem rozchodzi się po Wilnie wziętość młodego kapłana, sława jego, gorliwość i cnoty, ale cóż znaczą jego pokątne tajne rozmowy z młodymi sługami Znicza, co znaczą schadzki nocne z jakiemiś obcymi nieznanymi ludźmi, co znaczy ta tajemnicza zamknięta skrzynia w jego mieszkaniu? Widocznie ten Trojdan coś knuje, coś zamyśla czego dociec nie można.

Tymczasem wewnątrz swary Kniaziów litewskich podżegane przez Krzyżaków, którzy chcą Litwę rozbić żeby ją zagarnąć, prowadzą do coraz nowych nieszczęść. Skirgiełło, za namową zakonu wyprawił się na Troki, Kiejstut przez zemstę opanował Wilno. Ze zdobytego miasta ledwie umknął Jagiełło: jego siostra Aksena i piękna Pojata ocalały tylko dzięki kapłanowi Znicza Trojdanowi, przed którym jak na zaklęcie otworzyły się zamknięte zawsze fórty klasztoru Franciszkanów za miastem. Ztamtąd, podziemnym korytarzem wskazanym przez mnichów, dostają się wszyscy za wilię, a wreszcie do Krewa, gdzie mieszka Lezdejko. Krywe-Krywejte po ojcowsku przyjmuje zbawcę córki i świątobliwego sługę Znicza, wdzięczność Pojaty przybiera charakter coraz czulszy, ale Trojdan się wyrywa, musi wracać do Wilna; pozornie dla obowiązków, na prawdę, żeby zobaczyć co się stało z jego skarbem, z jego tajemniczą skrzynią. Wraca więc, ale w Wilnie zastaje wielkie zmiany, wielkim książęciem Kiejstuta, Krywe-Krywejtą swego wroga Jerbutta, a siebie skazanym na śmierć. Za co? za to, że on kapłana Znicza, a ci kapłani nie samym tylko obowiązkiem strzeżenia świętego ognia, mieli być podobni do rzymskich

westalek, miał w swojem mieszkaniu przy świątyni zaczarowaną kobietę, która wprawdzie nie mówi, nie rusza się, ale patrzy i widocznie żyje. Ta nieszczęśliwa oddana jest pod straż kapłanów i zbrojnych ludzi, lud stolicy mówi o niej ze zgrozą obchodzi ją ze strachem, i domaga się śmierci bezbożnego kapłana. Już Trojdan wiedziony jest na stos, już nie ma dla niego ratunku, kiedy w tem wpada do miasta Jagiełło i jego siostra Aksena, rodzaj litewskiej amazonki, znienacka opanowują zamek, Kiejstut dostaje się w niewolę. To przerywa sprawę obwinionego Trojdana, ale jej nie usuwa. Jagiełło musi ją rozpoznać i rozstrzygnąć: i tu następuje najładniejszy, najdelikatniej traktowany ustęp powieści. Wielki Kniaź kazał sobie pokazać zaczarowaną kobietę, zobaczył ją, i osłupiał. Zabobonny, przesądny, postawił przy niej warty, boi się jej, nie śmie się zbliżyć, a oderwać się od niej nie może, coś go ciągnie, ustawicznie do niej wraca, chce się koniecznie dowiedzieć co to za jedna, ale Trojdan na wszystkie prośby i groźby milczy zacięcie. Jest jednak ktoś co Jagiełłę oświeci: branka polska Helena, córka Habdanka, która porwana już raz przez Litwina Dowojnę, tak go umiała podbić, że ją odwiózł ojcu do Polski, a teraz wróciła na Litwę z ojcem i z tymże Dowojną, którego utrzymuje ciągle w nadziei że go zaślubi, którego już ochrzciła, a teraz obiecuje, że będzie jego żoną, jak on swemi rękami zbuduje na Litwie kościół, potem jak nawróci kilka tysięcy ludzi: zakochany rycerz poddaje się tym wszystkim próbom, a piękna Laszka wodzi go oczywiście i ma jakieś swoje widoki na celu. Ta więc Helena tłumaczy tajemnicę zaczarowanej kobiety: jest to wizerunek królowej polskiej Jadwigi. Równocześnie oświadcza Habdank ojciec Heleny Jagielle, że w Polsce dawno już zamyślają o nim i chcą go na króla, byleby przyjął chrzest i obiecał przyłączenie Litwy. Jakoż niebawem zjawia się polskie poselstwo, Jagiełło, zakochany w kopii, przyrzeka wszystko czego od niego żądają, wyprawia się do Krakowa po oryginał.

Smutny Trojdan tymczasem, pozbawiony swojej zaczarowanej kochanki, zostaje w Krewe u Lezdejki. Ten przewidując, że Jagiełło wyrzecze się bogów litewskich i czując blizką śmierć swoją, chce przynajmniej zostawić po sobie godnego następcę: chce żeby Trojdan był po nim Krywe-Krywejtą i mężem Po-

jaty. Młodzieniec, który o zaczarowanej musi zapomnieć, a ujęty i wdziękiem Pojaty i jej do siebie przywiązaniem i podobieństwem do Jadwigi, zostałby chętnie jej mężem, ale uczciwość nakazuje mu wyznać, że nie jest Litwinam, ani kapłanem Znicza, ani poganinem, jest Polakiem, nazywa się Firlej. Dawno, będąc na Węgrzech, widział królewnę Jadwigę i poświęcił jej swoje serce i życie, raz słyszał z ust jej te słowa, że ten rycerz miałby w jej oczach największą zasługę i chwałę, któryby poszedł na Litwę i w świątyni Znicza nawracał pogan na prawdziwą wiarę. Oto powód jego przybycia, oto tajemnica jego schadzek i spisków i obrazu kobiety w jego mieszkaniu. Mniemany Trojdan, zdrajca względem Lizdejki, musi opuścić jego dom i córkę, odchodzi do Polski smutny, Pojatę zostawia smutniejszą.

Krzyżacy tymczasem korzystając z chrztu Jagiełły, próbują zbuntować przeciw niemu pogańską Litwę; komtur Sundstein na czele ich wojska marzy o podbiciu księstwa dla siebie a mniema, że byłby milszy Litwinom, gdyby w nim widzieli zięcia swego Krywe-Krywejty, którego córkę przez cały ciąg powieści ściga swoją natarczywą i gwałtowną miłością. Wyprawa się nie udaje: wojsko zakonne pobite, ale udało się porwanie Pojaty. Uniósł ją komtur z Krewa na koniu, gonił go jakiś rycerz, ale koń pod nim padł i dogonić nie mógł. Kobieta i poganka na koniu zakonnika, to zgorszenie i ciężka wina, a Sundstein ma nieprzyjaciół. I on i Pojata idą pod śledzwo w Malborgu. Córka Lezdejki jest skazana jako czarownica i poganka, ma być spaloną. Sundstein uniewinniony jeszcze raz ofiaruje jej ucieczkę, ona przenosi śmierć nad Krzyżaka, kiedy niespodzianie zjawia się rycerz, ten sam, który ich ścigał w ucieczce z Krewa, zabija Sundsteina, Pojatę uprowadza z Malborga jakiemiś wprzód przygotowanemi środkami ucieczki. Jest to Firlej; Pojata ochrzczona, zostaje jego żoną, stary Lezdejko na łożu śmiertelnem odzyskuje straconą córkę, a wzruszony namową królowej Jadwigi i dobrocią Boga chrześciańskiego, który ocalił Pojatę, w chwili skonania wyznaje go prawdziwym Bogiem.

To zakończenie jest słabe, zanadto melodramatycznie czułe i piękne, jak znowu porwanie Pojaty przez Krzyżaka, jej uwięzienie, śledztwo i cudowne ocalenie, jest zanadto wyraźnie wzięte z Walter-Scotta. Takich pomysłów, scen lub figur słabych, jest

więcej. Do najsłabszych, najmniej prawdopodobnych należy owa Helena. Siedzi ona na Litwie dla tego, że kiedy była tam pierwszy raz jako branka, dostrzegła w świątyni Trojdana i poznała w nim Firleja, niewiernego Firleja, który niegdyś był jej narzeczonym, a potem porzucił ją gdy ujrzał królowę. Przez zemstę to tak ona popiera małżeństwo Jadwigi, a ta rola dyplomatyczno-romansowa kobiety polskiej z czternastego wieku, jej śmiałość, pewność siebie, zalotność i ton rozkazujący są bardzo nieprawdopodobne. Ale jej pobyt w Wilnie daje powód do scen i opisów bardzo ładnych. Jagiełło, zdaniem Heleny, mógłby pozyskać rękę Jadwigi, mógłby się może i podobać, jest dobry, jest bystry i pojętny, jest nawet przystojny. tylko jest bardzo źle wychowany: jeżeli w Krakowie pokaże się jako dziki człowiek, panowie może nie zdołają przełamać oporu królowej, a zemsta Heleny wymaga koniecznie, żeby Firlej widział Jadwigę żoną innego. Cywilizuje zatem Jagiełłę Helena, uczy go pięknych manier, nie pozwala kląć, tłomaczy jak się ma ubierać, jak chodzić, jak z ludźmi przestawać. Wszystko to daje szereg scen zabawnych i szczęśliwie traktowanych. Zresztą choć Helena sama jest nieudaną, znosi się ją, bo obok niej spotyka się zawsze najlepszą może figurę z całej powieści, tego Dowojnę, który w swoich puszczach nigdy takiej kobiety nie widząc, tak jest olśniony swoją branką, tak w niej rozkochany, że straszny dla wszystkich przy niej jest najpotulniejszem stworzeniem. Jest to niedźwiedź obłaskawiony jak baranek, a posłuszny i wierny jak pies. Gniewa się, mruczy, chciałby zerwać czar i odzyskać swoją niepodległość, ale nie może, na jedno spojrzenie musi robić co jego Pani każe. Odwiózł ją ojcu, ochrzcił się, wrócił na Litwę, postawił kościół, nigdy Jakób nie wysługiwał się tak o Rachelę, a ona ciągle go zwodzi i w końcu odkłada ślub do dnia, w którym jej przyprowadzi tysiąc nowo nawróconych pogan. Idzie on, przepada gdzieś w puszczy i nawraca. Rzeczywiście żaden z księży przywiezionych z Polski nie umie tak trafić do serca Litwinom, chodzą za nim tłumy jak za Janem Chrzcicielem, chrzczą się gromadami; ale cóż, improwizowany apostoł tak uwierzył w swoją missyą, tak w niej zasmakował, że kiedy piękna Helena, widząc swego niewiernego Firleja ożenionym z Pojatą, oświadcza Dowojnie, że już dosyć prób, że zrobił wszystko, czego od niego żądała, on swego kaznodziejskiego rzemiosła porzucić nie chce i z wielkim

dopiero trudem zdołał go namówić Jagiełło, że do rycerskiego powrócił. Wtedy wróciła i dawna miłość do Heleny.

Taka jest najlepsza z naszych pierwszych historycznych powieści, owszem najlepsza z całego początkowego romansu. Szczęśliwszym był ten kierunek powieści od obyczajowego, domowego, bo kiedy tamten w pierwszym swoim okresie nie zdobył się na żadną powieść, którąby można było nazwać zupełnie ładną i dobrą, to w tym rodzaju Pojata jest już wcale świetnym rezultatem, wcale wdzięcznym owocem prób i usiłowań. A później także, w dalszym rozwoju, ten sam los widać przeznaczony był dwom rodzajom powieści: powieść współczesna, potoczna, obyczajowa, choć uprawiana tak pilnie przez tak wielu i zdolnych pisarzy, dotąd nie może się pochwalić niczem prawdziwie doskonałem. Pisarze powieści zostaną w literaturze jako reprezentanci różnych kierunków, dążności i usposobień, bądź literackich, bądź politycznych i społecznych; ale gdyby zapytać, która z naszych powieści obyczajowych zostanie w literaturze na zawsze jako pomnik, jako wzór, odpowiedź byłaby trudna. A powieść historyczna tymczasem już się na taką zdobyła, już wydała romans w swoim rodzaju doskonały, klasyczny, który jest dotąd koroną polskiej powieści, a zawsze będzie jej pomnikiem i świetnym reprezentantem w literaturze, tym romansem jest Listopad.

Możnaby zakończyć na tem ten przegląd powieści polskich z pierwszego okresu naszego wieku, gdyby nie dwa zjawiska szczególne, do literatury polskiej właściwie nienależące, a które przecież domagają się koniecznie bodaj krótkiego wspomnienia. Jeden, to Niemiec z polskiem nazwiskiem, autor piszący powieści z historyi polskiej po niemiecku, to Bronikowski. Drugi Polak wielkich zdolności, wielkiej nauki, wielkiego imienia, jeden z najuczeńszych pomiędzy Polakami swego czasu, jeden z pierwszych i najgruntowniejszych badaczów początków słowiańszczyzny, z założycieli tej gałęzi historycznej wiedzy, a piszący po francuzku, to Jan Potocki. Pierwszego cały zawód zamykał się w powieści, a zdolność była mierna, tak, że te powieści dla tego są nam sympatyczne, że je pisał Niemiec, który gwałtem chciał być Polakiem; dla drugiego powieść była wytchnieniem, odpoczynkiem w pracy, może tylko fantazyą i kaprysem, i napisał też tylko jedną. Ale ta napisana jest z takim talentem, z taką siłą inwencyi, z wyobraźnią tak bujną, obfitą i rozmaitą, że choć

po francuzku napisana, choć ani formą, ani duchem, ani treścią z Polską nic wspólnego nie ma, przecież, jako utwór Polaka, a utwór niepospolity, wart jest, żebyśmy o nim wiedzieli i pamiętali. I jeżeli uczone prace Jana Potockiego po francuzku pisane, nawet te, które z rzeczami polskiemi nie mają nic wspólnego, liczone były jeszcze za życia autora, przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk naprzykład, do prac uczonych polskich, to wzmianka o jego powieści powinna być przynajmniej pozwoloną kiedy jest mowa o polskim romansie.

Około końca zeszłego wieku zaczyna się u nas fenomen dziwny i trudny do wytłumaczenia, a tym jest liczba stosunkowo niemała ludzi z niepospolitą zdolnością, z potężnym umysłem, a przytem z organizacyą jakąś dziwną, szczególną, nienormalną; będzie to raz myśl i zdolność potężna, ale niepłodna, drugi raz będzie wypaczenie umysłu w kierunek sofistyczny i paradoksalny, u innych znowu będzie wielka wybujałość fantazyi z uszczerbkiem innych władz umysłu, dość że organizacye takie wyjątkowe, anormalne, nerwowe, gorączkowe, trafiają się u nas często i powtarzają niemal w każdem pokoleniu: każde może wskazać pośród siebie człowieka, w którym jest materyał na wszystko, który należy do najlepiej obdarzonych ludzi i byłby świetnym i pożytecznym w każdym kraju i społeczeństwie, a być nim nie może, bo mu czegoś brak lub czegoś ma zanadto, bo jest z całym rozumem i zdolnością jakiś dziwny, szczególny, inny od wszystkich. Niezawodnie, anormalny stan narodu jest głównym powodem takich anormalnych umysłów i charakterów, a one są jego odcieniem; w dawnej Polsce takich ludzi nie bywało. Dopiero z upadkiem kraju zdaje się jak żeby wstąpił był w nas jakiś duch awanturniczy, który nam nie daje spokoju, ale pędzi nas z miejsca na miejsce, z pomysłu w pomysł, po wszystkich ścieżkach szerokiego świata i po wszystkich sferach, manowcach i labiryntach myśli. Emira Rzewuskiego coś gna po puszczach, w Edwardzie Raczyńskim pokutuje jakiś duch szlachetny, dobroczynny, ale także chorobliwy; mistycyzm, w który wpadają nasi wielcy poeci, to także skutek tego samego wyjątkowego nieprawidłowego stanu rzeczy, a jednym z objawów tego wpływu i z typów takiego usposobienia chorobliwego, był właśnie Jan Potocki. Kiedy w Warszawie jako człowiek bardzo młody ukazywał się we wschodniem ubraniu, myślano powszechnie, że to

udanie, chęć zwrócenia na siebie uwagi; ale bystrzejsi już wtedy odgadywali w nim człowieka, który sam sobie nie jest jasnym i z sobą nie w zgodzie, którym coś rządzi i włada, ale nie on sam. Stanisław August opisuje go w jednym ze swych listów, jako umysł niespokojny i awanturniczy, a cały żywot spędzony na dalekich podróżach, na poszukiwaniach jakiejś odwiecznej przeszłości i rozwiązywaniu zawiłych, prawie niedocieczonych naukowych problemów, żywot poza obrębem zwyczajnych ludzkich stosunków i obowiązków, jest rzeczywiście dziwny, anormalny, chorobliwy.

Podobny charakter szczególny, oryginalny a chorobliwy, ma i jego potężna fantazya i dzieło tej fantazyi, jego powieść.

Czem jest ta książka, której polski przekład nosi tytuł: „Rękopismu znalezionego w Saragossie“? czy to naśladowanie fantastycznych wysuwających się jedna z drugiej powieści Tysiąca i jednej Nocy? nie. Czy jak w Gil Blasie przesuwają się typy różnych ludzkich wad i słabości, w różnych położeniach i warstwach społecznych, którym osoba bohatera powieści służy za łucznik, za oś, około której się rozwijają? I to nie. Czy to powieść tendencyjna, moralna lub niemoralna, religijna lub antireligijna, z tendencyą filozoficzną, polityczną, społeczną? Nie, nic z tego wszystkiego, lub raczej wszystkiem tem jest ta powieść potrosze, a jasno, wyraźnie, zupełnie niczem.

Alfons Van-Worden, oficer w gwardyi wallońskiej króla hiszpańskiego, wysłany gdzieś na południe Hiszpanii dla objęcia swego stopnia i obowiązku, przebywa Sierrę Morenę, sławną z rozbójników i przypadków. Jego służba gdzieś znika, droga nie jest mu znana, noc zapada, a jak oko zasięgnie nigdzie śladu człowieka, prócz opuszczonej spustoszonej gospody *(Venta Quemada)*, przed nią leży kamień z napisem: „Przechodniu przez „litość módl się za duszę Gonzaleza gospodarza tej karczmy, „a przedewszystkiem mijaj to miejsce, uciekaj, niech cię Bóg „broni, żebyś tu nie został na noc.“ Opodal od Venty, na wysokiej szubienicy, kołyszą się dwa poszarpane trupy dwóch dawno powieszonych rozbójników.

Pomimo tej groźby i tego sąsiedztwa, oficer wchodzi: ma odwagę, a nie ma innego noclegu. Głodny, zmęczony, próbuje spać; gdy wtem o północy zjawia się czarujące zjawisko, dwie uroczej piękności Maurytanki w wschodnim stroju, karczma za-

mienia się w roskoszny pałac, na głód kapitana arabskie damy znajdują radę, wyborne wina i wieczerzę — i oznajmują, że są jego krewnemi, pochodzą jak jego matka z rodu Gomelezów, że od wypędzenia Maurów jedna gałąź tego domu przesiedliła się do Afryki, ale ma ciągłe tajne stosunki z Hiszpanią, do której ma nadzieję powrócić, że on jest ostatnim potomkiem męzkim tej krwi i może zostać panem ogromnych bogactw i wpływu, byle został Muzułmanem i mężem tych dwóch kuzynek. Alfons przysięga, że nie powie nikomu co widział i słyszał, ale swojej wiary porzucić nie chce. Nazajutrz rano budzi się nie w zaczarowanym pałacu, nawet nie w Vencie, ale pod szubienicą na kupie zgniłych ciał i kości, obok niego po obu stronach odczepieni od szubienicy leżą dwaj wisielcy.

Taki początek. Nazajutrz kapitan, cały pod wrażeniem okropnego przebudzenia, dostaje się do chaty jakiegoś pustelnika, który znajomy okolicy i djabelskich czarów z Venta Quemada, domyśla się łatwo, że złe duchy musiały próbować swojej mocy na młodym podróżnym. Na dowód ich złości pokazuje Alfonsowi młodego opętanego, którego egzorcyzmuje i który na straszne zaklęcia pustelnika opowiada swoją historyę, podobną zupełnie do tamtej, z tą różnicą, że złe duchy przybrały postać nie dwóch Maurytanek, ale dwóch piękności z Sewilli czy Kordowy. Pustelnik namawia Alfonsa, żeby się wyspowiadał, jedyną obroną przeciw mocy czartowskiej są sakramenta; ale kapitan dał słowo, że nie powie nikomu co widział i słyszał w Vencie, spowiadać się nie może.

Wyszedłszy od pustelnika, schwytany on jest przez zbirów św. Inkwizycyi, wtrącony do więzienia, oskarżony o spiski z Maurami, już ma być wziętym na tortury, on i dwie piękne Maurytanki, kiedy wpada banda rozbójników i wszystkich odbija.

I odtąd zaczyna się nieskończony szereg powieści, przerywanych i znowu podejmowanych, jednych dziwniejszych jak drugie. Co chwila występuje nowa jakaś figura i opowiada swoje przygody; po rozbójniku naczelnik bandy cyganów, po tym żyd kabalista astrolog i czarownik, i jego siostra piękna Rebekka, ci przez swoje potężne zaklęcia zmuszają nawet Żyda Tułacza, że idąc przy ich koniach, opowiada swoją historyę, (ta jednak przerywa się w chwili wypędzenia przekupniów z Jerozolimskiej świątyni i do końca nie dochodzi). Historye te wystarczyłyby

na wątek do stu romansów, a są tak bogate w gwałtowne i oryginalne sytuacye, tak zajmujące, że się od nich nie można oderwać. Są romansowe, są komiczne, są inne o strachach, takie, że mróz przechodzi kiedy się je czyta; między innemi jest historya naczelnika bandy cyganów, który jako młody chłopiec o mało że nie został wicekrólową Meksyku. Jeden jego przyjaciel kochał się w młodej panience, zaręczonym z tym wicekrólem, który właśnie przyjeżdżał do nią z Ameryki; w rozpaczy prosi tego chłopca o radę i ratunek, ten przebiera się za donnę Elvirę, donna Elvira ucieka z kochankiem, a wicekról, który swojej narzeczonej nigdy nie widział, robi przygotowania do ślubu. W ostatniej chwili, już w kościele, mniemana narzeczona pada do nóg biskupa i wyznaje, że nie chce iść za mąż, bo ma nieprzezwyciężone powołanie do klasztoru. Przyjaciele wprowadzają za niego do klasztoru jakąś pannę, on ucieka i idzie do szkoły, do Teatynów. Tu ma nauczyciela bardzo surowego, ojca Sanudo, na którym chce się zemścić, przebiera się za kobietę i spowiada się przed nim z najgwałtowniejszej miłości do niego. Rzecz się wydaje, inkwizycya grozi, trzeba uciekać. W dalszym życiu ten sam Avadoro zostaje mężem najpiękniejszej i najbogatszej kobiety w Hiszpanii, księżniczki Davila, ale sam o tem nie wie, bo księżniczka pokazuje mu się zawsze w zmienionej postaci i uchodzi za swoją przyrodnią siostrę. Później jeszcze ten sam stoi na czele partyi austryackiej w Hiszpanii i prowadzi spiski przeciw Filipowi V, aż nareszcie przez szereg niezliczonych zawikłań i awantur zostaje cyganem i jednym z pomocników tajemnych zamiarów i robót Gomelezów. Wszystkie te historye wracają zawsze do tej ciemnej sprawy Gomelezów, coś się robi, coś się gotuje wielkiego w podziemiach Sierra-Moreny, ale co? co to znaczy, do czego prowadzi, czego chce i co myśli autor? przez cały ciąg powieści nieszczęśliwy czytelnik łamie sobie nad tem głowę, nadarmo. Zrazu, kiedy bohater Alfons nie chce się spowiadać, żeby nie złamać słowa honoru, przychodzi domysł, że tendencyą autora będzie pokazać, że człowiek może przejść przez życie o samem uczuciu honoru, bez pomocy uczuć lub praktyk religijnych. Niebawem hypoteza ta pokazuje się mylną, robi się drugą. Kiedy Żyd kabalista dysputuje uczenie o mistycznej mądrości Myszny i Talmudu, kiedy Żyd Wieczny Tułacz, tłumacząc znaczenie starych mythów egip-

skich, wykazuje w nich te same pierwiastki co w religi chrześciańskiej, żydowskiej i mahometańskiej, kiedy hiszpan Velazquez przez formuły matematyczne dowodzi prawdziwości chrześciańskiego objawienia, szczęśliwy czytelnik już mniema, że schwytał i odgadł autora, mówi sobie, że myślą i dążnością książki jest wykazać, że wszystkie religie są sobie równe, a rzeczą obojętną, kto jaką wyznaje. Ale autor się wymyka: te wszystkie dysputy i wywody filozoficzne były tylko epizodem; rzeczą główną są te ukryte po całym świecie rozgałęzione potężne spiski Gomelezów. Nowy domysł, tym razem pewny: autor jest człowiekiem XVIII wieku, te Gomelezy to pewnie Illuminaci, wolni murarze lub coś podobnego. Z tem wrażeniem dochodzi się do końca, i tu dopiero dowiadujemy się, że celem tych tajemnych robót było opanowanie Hiszpanii przez Maurów; ale gdy Arabowie z Tunis, z Algeryi, z Egiptu i Syryi nie mają dość odwagi do podjęcia dzieła, dzieło upada. Potomkowie Gomelezów dzielą się tylko skarbami, których część bierze Alfons Van-Worden. On był do tych planów potrzebnym jako ostatni męzki potomek rodu, a gdyby okazał się odważnym i dzielnym, i przyjął wiarę Proroka, on zostałby Kalifem Grenady. Wszystko, przez co przechodził, były to próby: czary i strachy w opuszczonej gospodzie, więzienie Inkwizycyi, pustelnik, kabalista, opętany, żyd wieczny tułacz, wszystko to było udane. A więc to wszystko prosta bajka bez celu i dążności? tak, bajka oczywista, ale bajka napisana z takim talentem, z taką fantazyą, że dostarczyłaby treści do stu romansów, i jest od stu romansów także przyjemniejszem bardziej zajmującem czytaniem.

A tak byłby skończony przegląd znaczniejszych powieści z pierwszego okresu literatury polskiej naszego wieku. Pomijając różnicę zdolności i stanowisk pisarzy, przedmiotów, które wybierają, sfer uczucia i społeczeństwa, w których się ich powieści obracają, można, sądzimy, odkryć pewne własności wspólne wszystkim tym powieściom, które stanowią ich cechę ogólną:

A więc naprzód: wszystkie są dobre i zdrowe. Widzi się z tych powieści, że w wyobrażeniu ich autorów zająć wyobraźnię, wzruszyć serce mogło tylko to, co było dobrem i szlachetnem. Ideałem ich jest zawsze i nieodmiennie istota ludzka, moralnie dobra i piękna. Nie poetyczny zbrodniarz byroński, nie tajemni-

czy awanturnik pobyrońskich czasów, wzniosły galernik jak Trenmor, czarujący oszust jak Leone Leoni, nawet nie natura chorobliwie sentymentalna jak Werther, ale ta istota prozaiczna, która zna i pełni obowiązki swojego położenia, która wzdycha i błąka się po księżycu kiedy konieczność wymaga, ale kochankę swoją czci i kocha prawdziwie, a z czasem będzie dla niej bardzo dobrym mężem, zwyczajny porządny człowiek. W postaciach kobiecych tak samo, bohaterką tego romansu nie jest emacypowana ekscentryczna Lelia, ani Lucrezia Floriani najprzykładniejsza matka czworga dzieci czterech różnych ojców, ani nawet szlachetna, poetyczna, lecz chorobliwa Ottilia — ale Malwina, która swoje tkliwe serce umie doskonale trzymać na wodzy i na drodze życia nigdy się nie pośliznie, która była żoną przykładną choć nieszczęśliwą, jest dobrą siostrą, dobrą panią, dla bogatych uprzejmą, dla ubogich pełną współczucia i miłosierną: ale panna Walerya Skarbka, której wychowanie cokolwiek światowe, nie zepsuło serca ani rozsądku: zalotność, kokieterya, to słupy Herkulesa niewieściej złości w tym romansie, słowem jest jedność i całość dobrego. Żaden z tych pisarzów nie pojąłby, że bohater romansu może być zajmującym, jeżeli popełnił coś złego lub coś brzydkiego, albo że mógł być złym w jednym stosunku życia a dobrym w drugim, podłym lub występnym wczoraj wieczór, a szlachetnym dziś rano. Jeżeli namiętność wyjdzie z karbów, jak w Adolfie i Julii, to się sobą nie chlubi, nie stara się uniewinniać, karze się sama, kryje się i umiera. Samo złe, gdzie się trafi, jak naprzykład w powieści pani Jaraczewskiej ów Henryk, jest proste, nie zna sofizmu, nie przyznaje sobie prawa do bytu, jest poczciwe w gruncie. Słowem idealny kierunek i popęd, urok istoty ludzkiej, polegający w piękności jej duszy, normalne zwyczajne sytuacye w granicach obowiązku rodzinnego, towarzyskiego, społecznego, politycznego i religijnego, i normalni ludzie, którzy w tych stosunkach i obowiązkach żyją i żyć chcą, oto jedna własność wspólna naszego pierwotnego romansu, i dlatego można o nim powiedzieć, że jest dobry i zdrowy.

Powtóre, jest prosty. Malwina jedna ze swoim Ludomirem zakrawa na sentymentalną, ale nawet Malwina nie udaje: jest tkliwą, ale się swojej tkliwości z upodobaniem nie przygląda, nie robi zwrotów i refleksyi na siebie samą, nie wie czy jest

poetyczną i czy się taką wydaje. Inne powieści z tego czasu nie mogą nawet być posądzone o sztuczną poetyczność, o pozowanie bohaterów przed sobą samymi lub przed publicznością. Wszystkie te postacie są szczerze i rzetelnie tem, czem się wydają, są takie, jak je Pan Bóg stworzył, nic innego nie udają i za nic innego uchodzić nie chcą. Nie ma też w tych powieściach tego, żeby autor chciał lub śmiał przedstawiać siebie samego, swój idealizowany portret. Obraz pożycia Malwiny w ponurym Głazowie za życia jej męża, jest podług niektórych osnuty na własnych wspomnieniach autorki. Ale co innego jest wziąć do romansu kilka rysów z pamięci lub doświadczenia, a co innego siebie w nim przedstawić, i to jak może być najbardziej zajmującym. W ten kierunek fałszywy nie wpada ani Malwina, ani żadna inna z przytoczonych tu powieści; wszystkie są proste. I jeżeli w tych samych mniej więcej czasach panowała u nas moda sztucznej poetyczności, jeżeli każda kobieta musiała być mdlejącą, eteryczną istotą, jeżeli to udawanie poezyi było tak koniecznem i tak daleko posuniętem, że pannom nie godziło się jeść przy obiedzie, bo to nie przystało na wyższe i poetyczne istoty, to tej mody, tego udawania, tej śmieszności i tego fałszu względem siebie i drugich, winne są romanse, ale nie nasze, nie romans polski.

Wreszcie jako trzecią i ostatnią cechę wspólną naszych ówczesnych powieści podnieść trzeba głęboki spokój społeczny, w którym one się odbywają i który z nich wieje. Nie bez przyczyny nazwano księstwo warszawskie jedyną w dziejach Polski chwilą zgody i wewnętrznego spokoju, a romans ówczesny odbija właśnie stan nasz za księstwa warszawskiego i zaraz po niem. Widzieliśmy w nim różne typy i różne warstwy społeczeństwa polskiego: Malwina jak jej autorka żyje w najbardziej arystokratycznym świecie, Pan Starosta między wiejskiem obywatelstwem, bohaterowie pani Jaraczewskiej przesiadują wiele w miastach, wszystko to przesuwa się przed oczyma, a nigdzie nie znać ani cienia niechęci, nieufności, złej woli. Nikt nikogo nie podejrzywa, nikt nikogo nie nienawidzi, nikt nikomu nie jest nieprzyjacielem, przeciwnikiem, oskarżycielem. Miłość ojczyzny jest wszędzie; sprzeczności, antagonizmu, kwasu nie ma nigdzie. Bohaterowie mają serca nie wątroby, żeby użyć wyrażenia Zygm. Krasińskiego, a to dlatego, że ich twórcy żyli w czasach, kiedy

było więcej w Polsce serc jak wątrób, i w utworach wyobraźni jak w czynach, zamkniętej w sercu człowieka, czy z niego przelanej więcej krwi jak żółci.

Ale jeżeli nie można odmówić tym powieściom wartości moralnej, dobrej dążności, to ich wartość artystyczna, jak się o tem z jednego rzutu oka można przekonać, jest w przecięciu mała. Z wyjątkiem romansu Jana Potockiego, który z literaturą polską związany jest tylko nazwiskiem swego autora, i z wyjątkiem Pojaty, nie ma w tych początkach powieści ani jednej, którąby była dziełem wyższego talentu. Co się stało dalej: jak w epoce naszej powieść się rozwijała, jakie przybierała kierunki i formy, jak się zmieniał stosunek czynników jej wewnętrznej wartości, jak nieraz wartość artystyczna podnosiła się w górę, kiedy wartość moralna i patryotyczna spadała nizko, to wszystko są rzeczy późniejsze, a my zamknąć się mamy w obrębie samych początków polskiej powieści. Dodamy tylko, że po roku 1831 romans uprawiany przez kilku pisarzy zdolnych i mnóstwo niezdolnych, tak się rozszerzył, że i Polska, jak cała Europa, zalana jest powodzią romansów, że widząc się tak rozpostartą, tak wziętą i górującą, liczbą przynajmniej, nad wszystkiemi innemi rodzajami literackiej produkcyi, powieść tak zhardziała, że się uwierzyła być najwyższą formą tworzenia: byli pisarze, prawda że pisarze powieści, którzy widzieli w niej jedyną formę literatury przyszłości, która wszystkie inne pochłonie i zastąpi. Korzeniowski prorokuje, że z czasem zniknie wszelka literatura, a na jej zwaliskach róść, kwitnąć, panować będzie tylko powieść. Na takie proroctwo oburzył się starzec, który piękność prawdziwą i wielką nie zawsze może trafnie rozumiał, ale umiał wielką piękność szanować. Jakto? zniknie to wszystko, co było szczytem i chwałą ludzkiej twórczości, nie będzie już ani poezyi, ani historyi, ani potęgi słowa, ani filozofii; przyszłość nie stworzy, nie usłyszy, nie zobaczy już nikogo, ani jakiegoś nowego Macbetha, ani nowej Ifigenii, ani Hermanna i Dorothei, ani Psalmów Przyszłości, ani Wallenroda, ani Manfreda i Kaina, zamiast Iliady będzie miała Trzech Muszkieterów; zamiast komedyi Danta, Nędzników Wiktora Hugo; zamiast Pana Tadeusza, Tadeusza Bezimiennego?! „Niech mi się godzi w to nie wierzyć,“ woła w oburzeniu stary kasztelan Wężyk, „a gdyby istotnie „wszystka literatura miała zaginąć, gdyby zjawił się dla niej

„jakiś Omar, to niechby już raczej palił wszystkie księgi, nawet „poetów, byleby zostawił księgi dziejów i pisma mające za „przedmiot pożytek. Możebym go nawet upraszał, żeby się na„przód uprzątnął z literaturą dzienników i romansów, a miałby „czem palić przez lat kilka [1]).“ Klasyk zgorszony arogancyą powieści, oddaje jej wet za wet i skazuje na spalenie. Zbyteczna to surowość. Bo jeżeli znaki czasu nie mylą, to powieść nietylko całą literaturą nie owładnie, ale wróci sama w granice ciaśniejsze, ściągnie się do skromniejszego, właściwszego sobie znaczenia. Jest ona dziś jak te państwa, które wydają się na szczycie potęgi, imponują ogromem, a wewnątrz pierwiastek życia wysilony, omdlewający, i pierwsza burza rozłoży, obali to, co zdaje się niewzruszonem i wiecznotrwałem. Pierwiastek życia romansu zdaje się być wysilonym w całej Europie. Nigdy romans nie był bardziej rozpostartym, czytamy go wszyscy, ale czy go jeszcze lubimy? czy on robi na nas wrażenie? czy nie czytamy go raczej z przyzwyczajenia, z nałogu, jak z upodobania i pociągu? Dawniej przed laty czterdziestu, trzydziestu, nawet jeszcze dwudziestu, kiedy wychodzić miał nowy romans Balzac'a, pani Sand, nawet Eugeniusza Sue, z nerwową niecierpliwością czekała na niego cała Europa, kiedy wyszedł, czytała go z zapałem, namiętnie, zapalała się do jego bohaterów i bohaterek, wierzyła w nich; dziś czyta jeszcze, ale już nie wierzy w romans ani w jego bohaterów. Wina to powieści, czy jej czytelników, dość że powieść nie działa już na wyobraźnię. Może to skutek zmienionego usposobienia czytających, ale prędzej skutek zmienionej wartości romansów. Malek-Adel pani Cottin był trochę śmieszny, ale pojmuje się, że wyobraźnia mogła się zająć tym rycerzem; niedawno wyszedł romans francuski, którego teatrem jak tamtego był wschód, a treścią miłość między Arabem a europejską kobietą — romans ten nazywał się Achmed. A kiedy brat Saladyna wojował i zwyciężał, Achmed sprowadzał bawełnę i handlował; kiedy w tamtym Matylda uwielbiała rycerza i bohatera, w tym młoda angielka podziwiała zdolność finansową i spekulacyjną; kiedy tamta kochając Malek-Adela, nie chciała zostać jego żoną, bo był innej wiary, ta namyśla się, czy jej nie będzie nieprzyjemnie być żoną człowieka, który jest

---

[1]) Przedmowa do Bezkrólewia II. Przegląd Poznański.

prawie czarny: czyż taka powieść i tacy ludzie mogą zrobić na wyobraźni takie wrażenie, jakie robiły postacie dawnego romansu? Nawet złe umiało niegdyś nadać sobie jakiś poetyczny pozór: Lelia mogła zawrócić głowę niejednego lub niejednej, historya pani de Mortsauf i Feliksa de Vandenesse mogła przez długi czas stawać w myśli i w pamięci, de Marsay mógł być niebezpiecznym, szkodliwym bohaterem romansu; Muszkietorowie mogli podobać się wyobraźni; dziś gdzie jest człowiek, któryby przeczytawszy dzisiejszą powieść, myslał o jej figurach, o pannie Quintynie, o pannie Giraud, o pani Bavory, albo o kartagińskiej Salambo? gdzie jest ta wyobraźnia, którаby zdołała zająć się bohaterami najnowszego romansu, Giliattem i jego walką z obrzydliwym morskim miękczakiem, albo tym nieszczęśliwym człowiekiem, który się wiecznie śmieje, albo, żeby dać przykład z innej literatury, tym królem z niemieckiego romansu „*auf der Höhe*", albo „Kobietą w bieli" Wilkie Collinsa, albo bohaterami i bohaterkami Braddona? Nie, te wszystkie powieści wyrachowano na wielki efekt, wyprężone, wyśrubowane, sensacyjne, sensacyi nie robią wcale. Temu zapewne winne one same. Ale są inne, zupełnie dobre, nawet bardzo piękne, pełne figur tak zajmujących, jak Ethel Newcome, Beatrix Esmond, zwłaszcza Rebecca Sharp Thackeray'a, jak Bulwera rodzina Castonów albo „My Novel", a i te przechodzą niepostrzeżone, czytają się bez zapału, zapominają prędko. Widocznie romans przestaje działać na wyobraźnię, a kto wie, czy nie jest to symptomem i zapowiedzią, że jego panowanie zbliża się do końca. Powieść historyczna już znikła, już jej nikt w Europie nie pisze; powieść obyczajowa jest, ale już nie działa na umysły: Jan z Tęczyna był lichy jako powieść, a przecież przyjęty był z zapałem: Cecylia, królowa Bona, Barbara, Don Alonzo, były to ulubione postacie, które cała Polska znała, o których mówiła, które powtarzała w rysunkach, żywych obrazach i t. p. — Powieściopisarze dzisiejsi piszą wprawniej i lepiej, a nie zdaje się, żebyśmy tak bardzo dbali o ich powieści i o nich pamiętali. A kiedy wyobraźnie zachowują się obojętnie względem utworów wyobraźni. zła to dla tych ostatnich wróżba, bodaj czy nie początek końca. Jeżeli tak, to powodem będzie nic innego, jak to, że romans nadużywszy wszystkiego, sam się zużył; od początku wieku panował niemal wyłącznie, a dziś otoczony publicznością zoboję-

tniałą pozbawiony swoich najzdolniejszych reprezentantów, bo i ci co zostali, jak George Sand, zdaje się, że przeżyli swoją zdolność, i on przy schyłku wieku nachyla się do upadku. A cokolwiek go czeka, czy odmłodzenie przez jakiś wielki, do dziś dnia nieodkryty talent, czy na pewien przeciąg czasu zupełny upadek i zapomnienie, po którym ukaże się znowu w zmienionych formach ze zmienionym duchem, zawsze życzyć mu trzeba, żeby przenosząc nasz romans początkowy artystyczną wartością, był jak tamten zdrowym i prostym, i jak on odbiciem wewnętrznego spokoju i równowagi.

St. Tarnowski.

KRACH.

(*Joseph Neuwirth:* Die Spekulationskrisis von 1873).

Pod trywialnem mianem „krachu“ przechowa się pamięć olbrzymiej katastrofy spadłej zeszłego roku na Wiedeń i Austryę. W teoryi tego rodzaju wstrząśnienia nazywają się *przesileniem targu pieniężnego;* pojawiają się nieomylnie ile razy spekulacya przekroczy granice możności i rzeczywistości, ile razy zamiast opierać się na kapitale, oprze się na fikcyi, ciągnąc za sobą zawsze straty dotkliwe, ruinę często niezasłużoną, nieraz upadki moralne przerażające. Każde przesilenie jest straszną klęską, ale wszystkie znane przykłady maleją niesłychanie, są dziecinną zabawką w porównaniu spustoszeń rozlicznych „krachem“ zrządzonych. Ośmnaście miesięcy z okładem upłynęło od chwili pierwszego wybuchu przesilenia, przez ten czas byliśmy świadkami niezliczonych paroksyzmów popłochu giełdowego, coraz nowych krachów, kolejnej deprecyacyi prawie wszystkich notowanych papierów, tak że w końcu przesilenie ciągłe, chroniczne, stało się normalnym stanem giełdy wiedeńskiej, a raczej tego, co się w Wiedniu jeszcze niesłusznie giełdą nazywa. Giełda bowiem jest niczem innem tylko targowiskiem dla towaru pieniężnego, na którym spotyka się sprzedający z kupującym, spekulant jest tylko pośrednikiem między tamtymi dwoma i ma tylko o tyle racyę bytu, o ile rzeczywisty kupiec, kupujący za gotówkę, na targu się znajduje. Tymcza-

sem na giełdzie wiedeńskiej długo przed krachem już kupców nie było, byli wyłącznie sami spekulanci, vulgo gracze z profesyi i konieczności, a giełda służyła im po prostu za dom gry i nic więcej. Od krachu kupców nie przybyło, między graczami gruba zwierzyna albo się pochowała, albo wyginęła wraz z drobiazgiem, snują się jeszcze niedobitki kontentujący się drobnym zyskiem, z wielkiego domu gry zrobił się mały dom gry. Dziś najlepszy papier znajduje kupca z trudnością, jeżeli nie jest przedmiotem gry chwilowej, a gdy kupca znajdzie, to sama okoliczność ofiarowania towaru pociąga za sobą spadek kursu, niczem innem nieuzasadniony. I w tem leży fatalna doniosłość krachu. Efektowa cyfra kilku miliardów różnicy kursów przed krachem i teraz nie dowodzi nic wcale, gdyż jest czysto fikcyjną, jak fikcyjnymi były kursa przed krachem notowane, istniejące wyłącznie na papierze. Za to kompletna stagnacya targu, niemożność zrealizowania bez straty znacznej, albo zrealizowania całkowicie kapitału złożonego w papierze bezwarunkowo dobrym, wartość wewnętrzną mającym, jest klęską publiczną, zbiorowy interes dotykającą. Takich skutków po żadnem innem przesileniu nie obserwowano, owszem zwykle przesilenia przechodziły szybko, jak choroby zapalne, zabijając co wątłe z natury, oszczędzając co silne i zdrowe, targ pieniężny zaś wracał wkrótce do zdrowia i zwykłej czynności. Również katastrofy poprzednie dotykały głównie tych, co z profesyi z pieniędzmi i giełdą mieli do czynienia, bankierów, spekulantów, kapitalistów nieostrożnie lokujących kapitały, lub z tych i owych powodów w bezpośredniej styczności z ofiarami wstrząśnienia pozostających. Krach przeciwnie dał się uczuć wszystkim bez wyjątku, tym co grali i tym co pracowali, klasom posiadającym i robotnikom, handlowi i przemysłowi, słowem wszystkim fortunom i wszelkim stanom. Tak uniwersalnej klęski, sprowadzonej gorączką spekulacyjną i w ślad za nią idącem przesileniem, — przykładu nie ma, a spustoszenia krachem zrządzone dają dopiero miarę jak choroba spekulacyi była rozpowszechnioną i do jakiego stopnia nurtowała. Cóż dopiero gdy policzymy ile to nieszczęść, łez i niedoli, ile wstydu, hańby i zbrodni krach przyniósł ze sobą! Bilans moralny krachu jest stokroć bardziej przerażający niż bilans finansowy, albowiem pokazuje, że gorączka spekulacyjna, sama z siebie

zgubna, była ściśle związana z rzeczą stokroć gorszą, z wyuzdanem szalbierstwem, z oszustwem systematycznie uorganizowanem, tworząc razem tak zwany *Szwindel*, prawdziwy obłąd, któremu niemal całe społeczeństwo dało się opętać, eksploatować, niszczyć i poniewierać.

W każdem wielkiem mieście znajdzie się zawsze spora liczba indywiduów bez czci i wiary, gotowych sprzedać się djabłu za gotówkę, odrzeć bliźniego ze skóry i umiejących tę operacyę tak zręcznie wykonać, że ani policya, ani kodeks nic przeciwko temu nie będzie mieć do powiedzenia. W Wiedniu, na rozdrożu między zachodem i wschodem, pośród mnóstwa żydów i mięszańców rozmaitych ras, takich ludzi, takich szwindlerów z rzemiosła, musiało się znaleść więcej niż gdziekolwiekindziej; — w tem nic dziwnego, ale co dziwne i smutne, to że w społeczeństwie znalazła się mnogość takich, którzy nie wachali się pójść śladem tamtych i rzucać się na karkołomne dla kieszeni, honoru i sumienia przedsięwzięcia. Arystokracya pożyczyła szwindlerom nazwisk na firmy i tarcz herbowych na szyldy; ludzie wpływowi dali poparcie i opiekę, dziennikarze oddali pióra w służbę; deszcz złoty usypiał zmysł moralny i pojęcie różnicy między zyskiem godziwym a rozbojem i oszustwem w legalne pozory przybranym. Na giełdę przemienioną w dom gry rzucili się wraz z szumowinami społecznymi i ci, co wiedzieli dobrze, że się tam powalać można i powalać trzeba. Wszystkie stany, wszystkie profesye złożyły się na kontyngens graczów; grał wielki pan, jego portyer i stangret, grał wojskowy, kupiec, fabrykant, rolnik, profesor, urzędnik, grał ojciec wraz z synem, nieraz grały trzy pokolenia razem; grały panny świeżo wyszłe z pensyi, i staruszki nie będące nigdy w stanie spamiętać nazwiska papierów jakimi grały. Wielu grało na oślep, nie mając pojęcia o mechanizmie giełdowym, na wiarę prospektów obiecujących złote góry, za namową, nie zawsze bezinteresowną, przyjaciół mających stosunki z bankierami i bankami. Wielu grało w mocnem przekonaniu, że gra jest rzeczą godziwą i czystą, chociaż łatwo było, zastanowiwszy się nieco, przyjść do wniosku, że gdzie jest wygrana, tam musi być i przegrana z cudzą połączona stratą. Ci, co nie grali w literalnem słowa znaczeniu, olśnieni widokiem fortun z dnia na dzień powstających i wi-

dokiem zysków szybkich i łatwych, zapominali, że praca i oszczędność są jedynym źródłem bogactw, tracili pojęcie wartości grosza; ciśnieni ciągle wzrastającemi potrzebami, chwytali się chętnie kuglarskich manipulacyi, za pomocą których kapitał zdawał się przynosić kolosalne procenta. Z tych jedni padli ofiarą oszustów grających cudzymi pieniądzmi, inni potopili mienie w instytucyach rozbitym krachem i w papierach opartych na fikcyi, które krach w makulaturę obrócił. Byli to także gracze swego rodzaju, stawiający nieraz na kartę byt całej rodziny, honor nazwiska, albo i coś więcej jeszcze.

Kiedyś ludzie będą się pytać z niedowierzaniem: jakim sposobem w drugiej połowie XIX wieku, w państwie konstytucyjnem, pod okiem rządu, pod bokiem parlamentu i stronnictwa arcyliberalnego, szczycącego się posiadaniem wszystkich cnót cnotliwego germańskiego szczepu, pod argusowym wzrokiem prasy, jakim sposobem mógł kwitnąć w biały dzień tak olbrzymi szwindel, dziać się mogły takie bezprawia? Działy się, rząd ich nie widział, prasa była najniższą sługą giełdy i szwindlerów, stronnictwo liberalne szczyciło się jako swojem dziełem, owym niesłychanie szybkim rozwojem bogactwa narodowego, — który to rozwój wkrótce potem okazał się synonimem szwindlu.

Fakta najlepiej czytelnika oświecają.

I.

Przed nastaniem ery liberalnej rząd z zasady wystrzegał się dawania impulsu ruchowi przemysłowemu i spekulacyjnemu, a nad spekulacyą ścisły nadzór wykonywał. Gdy stronnictwo liberalne, przyszedłszy do władzy, zabrało się do *odrodzenia* Austryi, na jednym z pierwszych stał w programie rozwój handlu, przemysłu, komunikacyi, jednem słowem podniesienie dobrobytu i bogactwa narodowego. Było to rzeczywiście bardzo potrzebne, ale przy wykonaniu tak chwalebnego zamiaru naczelnicy stronnictwa mieli jeszcze i inne ukryte, mniej chwalebne cele, a mianowicie między innymi upieczenie licznych prywatnych pieczeni u wspólnego ogniska, i zdobycie systematowi adherentów interesem związanych. Szkodliwe tendencye odbiły

się w prawodawstwie regulującem przedmiot: prawo ułatwiając zbytecznie assocyacyą kapitału, faworyzowało czystą spekulacyę i prywatne interesa, a okazało się bezsilnem wobec nadużyć i szwindlu. Cel jednak był dopięty. Najtłustsze koncesye dostały się w ręce matadorów stronnictwa, obóz wierno konstytucyjny ujrzał na swem łonie wkrótce wszystkich szwindlerów grubego i drobnego kalibru, wszystko co za geszeftem i zyskiem goniło.

Na jakie tory wszedł rozwój ekonomiczny, najlepiej wskazuje ilość i jakość efektów notowanych na giełdzie wiedeńskiej w ciągu ostatnich lat ośmiu.

	koniec 1866	koniec 1867	koniec 1868	koniec 1869	koniec 1870	koniec 1871	koniec 1872	9 maj 1873
Dług państwa	8	9	7	2	2	2	2	2
Indemnizacye	17	17	19	15	17	17	17	17
Losy	18	18	17	18	22	23	26	26
Akcye kolei żel.	16	20	25	28	34	38	14	44
Obligacye pierw.	15	20	21	24	27	43	50	50
Akcye transp. wod.	3	3	3	4	5	5	5	5
Listy zastawne	7	8	10	14	16	20	26	26
Dewizy	17	17	18	16	16	17	17	17
Waluty	7	7	7	6	6	7	8	8
Akcye przemysł.	4	6	14	14	55	70	135	201
Akcye Banków	8	10	17	42	45	54	99	124
Pożyczki publiczne	4	5	5	5	5	5	6	6
Suma	124	140	163	218	250	301	434	536

Rzut oka wystarcza do ocenienia rozmiarów i kierunku chorobliwej produkcyi papierów giełdowych. Z początku przeważają Akcye i priorytety kolejowe; potrzeba bowiem nowych linii dotkliwie czuć się dawała, koncesye z gwarancyą rządową zaś były trudne do otrzymania, a nadzwyczaj zyskowne. W miarę jak liczba i śmiałość spekulantów wzrastała, zaczęto się przerzucać na inne pole, zakładać banki i spółki przemysłowe, których ilość z roku na rok zwiększała się tak, że rząd widział się zmuszonym w wielu razach notowania na giełdzie odmówić. W roku 1868 przypadała przecięciowo jedna emisya na miesiąc, na targ przychodziły jednak prawie bez wyjątku

same papiery rzeczywistej wartości, a suma kapitału nominalnego wszystkich nowych kreacyj nie przenosiła 150 milionów. Już rok następny 1869 nosił inny charakter. Obok emisyi akcyj nowo założonych banków, dopełnianych przez syndykaty, t. j. spółki pracujące nad osiągnięciem agia, pojawiły się na giełdzie akcye przemysłowych zakładów. Publiczność kupująca te papiery uczyła się nie zważać na ich wewnętrzną wartość nie pytać, czy instytucye nowo założone mają warunki bytu, lecz rachować szanse agia i spekulować na podwyższenie kursu. Już wtenczas powstawały banki fundowane jedynie w widokach ażia i zakładania nowych instytucyj, czyli, co na jadno wychodzi, w widokach gry na wielką skalę. Zaraz we wrześniu roku 1869 nastąpiła reakcya i przesilenie giełdowe; w ciągu jednego miesiąca różnica kursów wyniosła 385 milionów przeszło i znaczna liczba papierów nowo kreowanych znikła na zawsze z obiegu. Burza jednak trwała nie długo, już w listopadzie kursa podniosły się znacznie; w ciągu tego roku zaś powstało 25 nowych banków oraz 30 spółek przemysłowych, z wpłaconym kapitałem 270 milionów, z których 184 przypadło na papiery kolei żelaznych. Rok wojny niemieckiej uchodzi jako rok stosunkowo bardzo uczciwy *„ein ganz solides Jahr“* naturalnie dzięki stagnacyi wywołanej wypadkami politycznemi; — liczy jednak 25 emisyj z kapitałem nominalnym 150 milionów, w połowie budowie kolei żelaznych poświęconym.

Od połowy roku 1871 datuje prawdziwy rozkwit szwindlu. Oto są cyfry rozmaitych emisyj uskutecznionych do chwili wybuchu krachu:

	1871		1872		1873		Summa	
	Licz.	Kapit.	Licz.	Kapit.	Licz.	Kapit.	Licz.	Kapit
Pożyczki publ.	7	47.0	8	58.8	4	16.1	18	117.9
Banki . . .	30	115.2	87	421.0	44	153.0	161	689.2
Spółki przemysł.	36	77.9	131	381.1	82	269.0	249	728.0
Kolei żalaznej.	34	305.2[1])	35	251.1[1])	6	28.7	75	585.0
Razem	107	545.3	261	1108.0	135	467.8	503	2120.1

---

[1]) W tych liczbach mieszczą się wielkie emisye węgierskich kolei.

Dodając do tego 159 milionów z roku 1870, widzimy że w przeciągu trzech lat stworzono na targu pieniężnym austryackim nowych papierów za $2^1/_4$ miliardów guldenów, czyli za sumę przewyższającą miliardy francuzkie, na których sukurs spekulacya liczyła. Wprawdzie cyfra powyższa przedstawia tylko kapitał nominalny, lecz z drugiej strony nie wchodzi w rachunek agio często 200% i więcej wynoszące, z jakim papiery w kurs były wprowadzone i utrzymywane. Nie ma wątpliwości, że suma emisyi przechodziła o wiele rozporządzalny kapitał cały w Austryi, czyli: papiery nowo stworzone w znacznej części żadnej podstawy realnej nie miały i mieć nie mogły, opierały się na fikcyi, reprezentowały kapitały imaginacye, na papierze jedynie istniejące. Do tej kategoryi należały mianowicie tak zwane młode Banki, z Bankami Maklerskimi na czele, wiele spółek industryjnych, smutnej pamięci Bau-Banki i t. p. Nie znajdując kupców rzeczywistych, koncentrowały się w rękach agioterów, graczy, spekulantów wytężających wszystkie siły, żeby kursa ciągle pędzić do góry. Każdy z nich starał się naturalnie nabyć jak największą ilość papierów w tej lub owej formie, czy to dając pewną zaliczkę, czy to zastawiając efekta, czy też płacąc reporta czyli tak zwany *Kostgeld*. Wszystkie te kuglarstwa na olbrzymią skalę praktykowane, wymagając gotówki prowadziły do bezprzykładnego nadużycia kredytu. Powstały instytucye dostarczające graczom środków do gry, wytworzyła się osobna klasa ludzi uprawiających lichwę giełdową (*Kostgeschäft*). Wielkie banki praktykowały jednocześnie lombard i *Kostgeschäft*. Młode pożyczały pieniędze na ogromne procenta i wraz z funduszami za pomocą biletów kasowych otrzymanymi, umieszczały korzystnie w kostgeszefcie. Jeszcze inne brały w zastaw własne akcye w takich rozmiarach, że o kapitale zakładowym mowy być nie mogło, gdyż kapitał wywędrował na giełdę, a w kasach natomiast został drukowany papier, operacye zaś bankowe uskuteczniały się pieniądzmi wierzycieli. Niezliczona moc kantorów giełdowych ściągała za pomocą blagi i kłamstwa drobne oszczędności, ludzie co znosili tam grosz w pocie czoła zapracowany, byli zwykle zamagnetyzowani obietnicą wysokiego procentu, o grze giełdowej zaledwie ze słuchu wiedzieli. Domy bankowe trzymające się zdala od szwindlu i agioterstwa, w formie kostgeszeftu loko-

wały na giełdzie rozporządzalne fundusze. Firmy handlowe i przemysłowe, stołeczne i prowincyonalne, w ten sam sposób umieszczały gotówkę czekającą na termina wypłaty. Kompanie kolei żelaznych, towarzystwa asekuracyjne brały w zastaw nawet papiery zagadkowej wartości. Takim sposobem dyrekcya kolei Północnej znalazła się naraz w posiadaniu zdeprecyowanych efektów w wysokości 800,000 fl. Na zgromadzeniu ogólnem akcyonaryuszów Elisabethbahn'u w r. 1874 rada nadzorcza przyznała, że towarzystwo zaangażowało na zastawy około trzy i pół milionów, z których połowa była bezwarunkowo straconą, a druga połowa w razie polepszenia sytuacyi mogłaby być odzyskaną. Towarzystwo asekuracyjne *Anker*, przy kapitale wpłaconym 300,000 fl. użyło na grę giełdową pod postacią kostgeszeftu dwa i pół miliony; w bilansie pomiędzy aktywami figurowało 500 sztuk akcyi banku włosko-austryackiego, na których w skutek krachu powstała strata 600,000 fl. oraz 2,800 akcyi *Realcredit-Bank* z stratą 200,000 fl. Stopa procentowa przy tych operacyach zmieniała się prawie codziennie podczas każdej likwidacyi, w miarę okoliczności i w miarę woli tych co byli panami targu. Przecięciowo wynosiła 16—24%. Drobni lichwiarze pożyczali w wielkich bankach na dobre zastawy po 10—12%, aby później lombardować gorsze efekta po 24%, 36% a nawet 50% i nierzadko 60%. W obec ciągłego przez kilka miesięcy podnoszenia się kursów, lombardowanie nawet podejrzanych papierów, obciążonych agiem dwa i trzy razy kapitał wpłacony przenoszącym, uchodziło za dobry i pewny interes, nic więc dziwnego, że pieniądz cisnął się na giełdę. Banki prowincyonalne na wyścigi zakładały w Wiedniu filie, żeby być bliżej giełdy i łatwiej z błogosławieństwa szwindlu korzystać. Tylko bank narodowy bronił się cała siłą przeciwko szturmom tych, co z pierwszego instynktu finansowego państwa chcieli zrobić filię giełdy. Za to firmy wiedeńskie wyciągały do ostatnich granic kredyt wekslowy za granicą, zawsze w jednym i tym samym celu, aby jak najwięcej pieniędzy na operacye giełdowe uzyskać.

Kiedy w Lipcu 1872 francuzka pożyczka 14 razy podpisaną została, spekulacyą olśniona bajeczną cyfrą 44 miliardów na papierze zebranych, do reszty straciła zastanowienie i rachubę. Obok przesadzonego pojęcia o bogactwie Europy,

powstała silna wiara, że część miliardów zapłaconych Prusom będzie musiała szukać przytułku u sąsiada i bez żadnej wątpliwości do Wiednia się schroni. Nawet poważni finansiści byli tego przekonania, tem łatwiej więc przyszło szwindlerom eskontować na giełdzie dobrodziejstwa spodziewanego potopu kapitałów tanich i brzęczącej monety. Po przebyciu corocznie wracającej jesiennej biedy pieniężnej, zaraz w pierwszych dniach listopada poczęło się szalone pędzenie kursów w górę, już aż do krachu trwające. Pokazały się zupełnie nowe papiery, wprowadzone na giełdę na to, aby je za pewną prowizyę przyjmowały syndykaty lub makler-banki i dalej, jako przedmiot gry, innym szulerskim klikom odstępowały. Dzienny obrot giełdowy dochodził do nominalnej wartości pół miliarda, w dziewięćdziesięciu tysiącach przeszło *schlussów* i dwóch milionach sztuk akcyi. Izba giełdowa widziała się zmuszoną znieść codzienną likwidacyę i ograniczyć rozwikłanie interesów do trzech dni w tygodniu, z powodu fizycznego niepodobieństwa utrzymania porządku i ładu. Pod koniec Listopada z giełdy wiedeńskiej zrobiła się szulernia w najrozleglejszem słowa znaczeniu. Stosunek tranzakcyi efektywnych do ogólnego obrotu miał się jak 1 : 13. Kantory giełdowe wyrastające jak grzyby po deszczu, sprowadzały coraz większe masy pieniędzy. Emisye następowały jedne po drugich bez przerwy, na pierwszem miejscu stanęły akcye banków maklerskich i budowniczych.

Pierwszy bank maklerski (Wiener Maklerbank) powstał na model berliński w Styczniu 1872 r. z kapitałem 4 milionów Miał on wyłącznie służyć za pośrednika między publicznością i giełdą, wypełniając tylko polecenia przez komitentów udzielone (Report- und Courtagegeschäft), dążyć do poprowadzenia na giełdzie wiedeńskiej racyonalnego systemu likwidacyi i żadnych innych czynności bankowych nie podejmywać. W krótce zaraz powstały inne tego samego rodzaju instytuta, a ich akcye zanim interes był w ruch puszczony, już stawały się przedmiotem spekulacyi na agio. Prócz tego, wobec braku klienteli, nie mogąc znaleść właściwego zajęcia nazwiskiem i statutami wskazanego, wszystkie makler-banki rzuciły się do gry, grały własnemi i cudzemi akcyami, grały na wszelkie sposoby i za każdą cenę, naturalnie pieniędzmi i na ryzyko akcyonaryuszów. Do dziś dnia ani jeden bank maklerski się nie utrzy-

mał, wszystkie bez wyjątku krach pochłonął. Gdy prawda na jaw wypłynęła, pokazało się, iż sumy przez pojedyncze banki w grze zaangażowane przenosiły dziesięć i dwanaście razy ich kapitał akcyjny, że wszystkie przez te banki na giełdę wprowadzone papiery wracały do nich w formie zastawu, i już więcej światła dziennego nie oglądały. W niektórych członkowie rad zawiadowczych mieli otwarte kredyta pod cudzym nazwiskiem, na pokrycie składali efekta nie dające się zrealizować i powierzone ich pieczy pieniądze akcyonaryuszów na giełdzie przegrywali.

Jeszcze w roku 1869 założonem zostało pierwsze towarzystwo akcyjne, mające na celu budowę domów (Allgemeine Oesterreichische Baugesellschaft), co wówczas w Wiedniu było przedsiębiorstwem zyskownem i nader potrzebnem ze względu na brak i drogość pomieszkań. Gdy wkrótce potem szwindel spekulacyjny i próżność kanclerza austryackiego zrodziły niefortunną myśl wystawy przemysłowej, rzucono się do budowania domów, do rozszerzania i upiększania stolicy, przyjmując za pewnik matematyczny, iż wystawa sprowadzi do Wiednia najmniej połowę ludności kulę ziemską zamieszkującej i najmniej kilka miliardów gotowych pieniędzy. Cyfry nikt wprawdzie nie umiał oznaczyć, ale dzienniki zapewniały rano i wieczorem, że Wiedeń wzbogaci się dobrowolną kontrybucyą wiele razy francuzką przenoszącą. W ciągu roku 1872 powstało w stolicy ani mniej ani więcej tylko 19 Bau-banków, w pierwszym kwartale r. 1873 przybyło ich jeszcze 15; kapitał nominalny wynosił 250 milionów; prócz tego 66 nowych koncesyi czekało na kupców i spekulantów. Liczba zaś domów w Wiedniu prócz przedmieść, wynosiła w r. 1872 zaledwie 11,402; rocznie budowano:

w 1869 r. 270 domów, w tej liczbie banki wybudowały) 51
w 1870 „ 204 „ „ „ „ „)
w 1871 „ 352 „ „ „ „ „ 56
w 1872 „ 336 “ „ „ „ „ 149

Baubanki więc musiały trudnić się czem innem niż budowaniem. Jakoż trudniły się grą w efekta tak dobrze jak banki innego rodzaj, oraz grą na grunta i domy. Ile razy ktoś postarał się i otrzymał koncesyę ne założenie Baubanku, tyle razy znalazł się jakiś instytut finansowy szukający pre-

tekstu do nowej emisyi, który koncesyę od pierwotnego właściciela za drogie pieniądze kupował, następnie nabywał grunta jakieś lub budynki, spółkę akcyjną fundował i tej spółce owe grunta trzy albo cztery razy drożej odprzedawał. *Stadt-Baugeselschaft* założone przez *Wiener-Bau-Verein,* zakupiło na *Stefans-Platz* kilka domów tak, że sążeń □ wypadał po 7150 złr. Jeden z drobnych banków zakupił w Hietzing pod Wiedniem posiadłość zwaną *Neue-Welt* za 600,000 i w kilka dni później odprzedał zaledwie powstającemu *Nieder-oester.-Baugesellschaft* za 1,300,000. *Wiener-Bauverein* zapłacił 550,000 za dom na Grabenie, który poprzedniemu właścicielowi — także Baubankowi przynosił już tylko 3 proc. od 400,000, i odstąpił założonemu przez siebie towarzystwu *Militär-Baubank* za 700,000. *Allgemeine-oester.-Baugesellschaft* wydzieliwszy część gruntów i budowli z majątku towarzystwa, założyło na tej podstawie *Oester-Bau-Gewerks-Gesellschaft* z kapitałem 2,500,000 w 25 tysiącach akcyj, które swoim własnym akcyonaryuszom ofiarowała za dopłatę 22 proc. agia, czyli kazało swoim akcyonaryuszom kupować po raz drugi to co już było ich własnością, tylko najmniej o 30 proc. drożej i z dodatkiem agia, wpływającego wprost do kieszeni założycieli. *Union-Bau-Gesellschaft* wyposażyło *Union-Baumaterialen-Gcsellschaft* zbywającymi materyałami: piaskiem, drzewem, cegłą, wapnem, które akcyonaryusze pierwszego po raz wtóry o 1,700,000 złr. drożej zakupić musieli.

Takie i gorsze sprawy działy się pomimo nadzoru rządowego, unormowanego jeszcze przez niefortunnej pamięci *mieszczański* gabinet. Rząd wydawał koncesye, na mocy opinii komisyi mięszanej złożonej z delegatów rozmaitych wydziałów. W gruncie udzielenie koncesyi lub odmowa zależała od dobrej woli ministra spraw wewnętrznych i od tego czy gabinet uważał za stosowne spekulacye podsycać albo hamować. W początkach rządów gabinetu Ausperg-Lasser, Gazeta Wiedeńska ogłaszała codziennie dwie koncesye. Od osobistej pozycyi koncesyonaryusza zależało przyśpieszenie rezolucyi ministeryalnej, na ktorą czekać trzeba było przecięciowo od sześciu tygodni do sześciu miesięcy. Każda instytucya kredytowa i przemysłowa miała komisarza rządowego obowiązanego czynności zarządu kontrolować. Zresztą w prawodawstwie akcyjnem pano-

wał najzupełniejszy, chaos, nikt nie był w stanie orzec co prawo pozwala a co zabrania. Na wiosnę r. 1872 rząd zaniepokojony postępami szwindlu starał się położyć tamę gorączkowemu tworzeniu nowych wartości przez wydanie regulaminu. Spółkom akcyjnym wzbronionem zostało wypuszczanie nowych akcyi dopóki dawne całkowicie wpłacone nie zostaną, akcye instytutów kredytów nowych emisyi, miały odtąd opiewać najmnięcej na 200 złot. reńsk. i musiały być odrazu całkowicie wpłacone, akcye przemysłowe zaś na 100 złr. z całkowitą wpłatą, albo na 200 złr. z wpłatą 40 proc. W parę miesięcy później komisarzę rządowi otrzymali nakaz rozciągnięcia jak najściślejszej i najsurowszej kontroli nad rozrządzanym kapitałem akcyjnym, nad ścisłem wypełnieniem przepisów prawa handlowego, nad sporządzaniem bilansów itd. Szczególny nacisk był położony na to, że towarzystwom akcyjnym nie wolno jest kupować własnych akcyj, czyli grać niemi, oraz że przy zakładaniu nowych instytucyj komisarze mieli obowiązek przekonać się, że wpłata na akcye nowe utworzone rzeczywiście dopełnioną została. Dobre chęci rządu nie mogły doprowadzić do celu już dla tego, że komisarzom niedostawało specyalnych wiadomosci i rutyny niezbędnej do rozróżnienia operacyj dozwolonych od zakazanych kuglarstw. Jednocześnie rząd zatrzymał chwilowo udzielanie nowych koncesyi. Szwindel i na to wynalazł środki; rzucono się do kupowania dawniej udzielonych, nie zużytkowanych koncesyj, i wynaleziono umowy kartelowe, mocą których bank zakładający nowy instytut zyskiwał przywilej pierwszeństwa w nabywaniu akcyj tegoż dla swoich akcyonaryuszów, oraz prawo udziału w zyskach z agia osiągniętych. Początek zrobił *Vereins-Bank* zakładając *Wiener-Escompte-und-Credit-Cassa*, której akcye po 80 złr. wpłacone rozdał swoim akcyonaryuszom po 133 złr., z agiem 55 złr. na sztuce. *Hypotekar-Rentenbank* założył *Boden-Credit-Gesellschaft* i obdarzył swoich akcyonaryuszy przywilejem kupowania akcyi 80 florenowych za 145 złr. *Wiener-Wechselbank* kupił koncesyę na założenie *Oester.-Vorschusscassaverein;* dyrektorowie i członkowie rady zawiadowczej Wechslerbanku byli założycielami owego *Vereinu*, kazali wydrukować akcye, złożyli je w Wechslerbanku i wystawili sobie świadectwo jako cały kapitał akcyjny został w tymże banku pełno wpła-

cony. Następnie wybrali z pomiędzy siebie dziesięciu administratorów tak ukonstytuowanego banku i spisali umowę kartelową, mocą której *Wiener-Wechslerbank* i *Oester.-Vorschusscassaverein* miały podzielić między siebie czysty zysk z emisyi akcyi tego ostatniego. Łokciowe inseraty i reklamy doniosły akcyonaryuszom Wechslerbanku, że przysłuża im prawo pierwszeństwa do pobrania 25 tysięcy akcyj *Vorschusscassaverein* z agiem 50 proc. Akcye brzmiące stosownie do nowych przepisów na 200 złr. pełno wpłaconych, były złożone w rękach konsorcyum pośredniczącego w emisyi. Naturalnie przy tej sposobności akcye Wechslerbanku szły w górę, interesem więc było ich posiadaczy, zrobić użytek z owego przywileju, dla ułatwienia zaś kuglarskiej operacyi ojcowie młodego banku wynaleźli jakiś *Maklerbank*, który podjął się wpłaty i wszystkie akcye u siebie przyjął *in Kost* na długi termin. Koniec końcem pozostało tylko agio ściągnąć i rozdzielić. Zarobek wynosił $2^1/_3$ miliony, z tych, mniejsza część przypadła obu bankom, których akcyonaryusze odebrali tym sposobem zaledwie drobny ułamek własnych pieniędzy pod postacią agia wyrzuconych, reszta dostała się założycielom i owemu konsorcyum, złożonemu dziwnym zbiegiem okoliczności z tych samych osób co i rady zawiadowcze obu banków, — cała więc komedya była urządzona na to, żeby kilku szwindlerów mogło parę milionów legalnie zagrabić i do kieszeni schować. Mniejwięcej w ten sam sposób odbywały się wszystkie operacye kartelowe. Przy wykonywaniu prawa poboru akcyj kartelowych, spostrzeżono zaraz z początku, że nie publiczność, lecz giełda z tego prawa korzystała, co dowodziło tego, że stare akcye znajdowały się także w rękach spekulacyi, jakoż po krachu młode i stare znalazły się razem w kasach banków maklerskich i wszędzie gdzie papiery *in kost* przyjmowano. Szwindel kartelowy zaś takie przybrał rozmiary, że rząd widział się zmuszonym akcyom kartelowym prawa notowania na giełdzie odmówić.

Gdy z końcem roku nadeszły chwile robienia bilansów, szwindel chwytał się wszelkich sposobów możliwych, byle tylko prawdę ukryć i publiczność oraz akcyonaryuszów w błąd wprowadzić. Już ta okoliczność, że papiery w posiadaniu banków będące, figurowały podług kursów z ostatniego dnia roku, kursów sztucznie, często *ad hoc* w górę wypędzonych, oraz że

30

własność nieruchoma spółek budowniczych była taksowaną wyżej cen kupna, wystarczała do osłabienia wiarogodności bilansów. Prócz tego, zwyczajem było przemilczać zobowiązania syndykatowe, które często parę razy wzięty kapitał akcyjny wynosiły. Pomiędzy dłużnikami i zastawami mieściły się pozycye kwalifikujące się prawie na pewno do działu strat. W rachunkowości niektórych Maklerbanków panował taki nieład i chaos, że do sporządzania bilansów sprowadzano obcych specyalistów i buchhalterów, albowiem stali urzędnicy albo nie mogli dojść do końca, albo usług odmówili bojąc się narazić na odpowiedzialność za rozmyślne fałszowanie bilansu. Tym zaś tylko sposobem można było wykazać zyski proporcyonalne do kursu papierów, dywidendą usprawiedliwić agio. W wielu razach, dywidenda nie była czem innem jak zwrotem akcyonaryuszom ich własnych pieniędzy. *Vereinsbank* np. z kapitałem 8 milionów zarobił w 1872 przeszło 2 milony, czyli 36 proc., lecz na 3,320,000 zysku ogólnego 2,750,000 pochodziło z operacyi kartelowej pieniędzmi akcyonaryuszów dopełnionej. Cała sztuka układania bilansów nie mogła przecież nic poradzić tam, gdzie rzeczywiste środki, jakiemi towarzystwo rozrządzało, nie wystarczyły na wypłacenie w gotówce dywidendy na papierze wykazanej. Wtenczas uciekano się się znowu do kuglarskich manipulacyi. I tak, *Wiener Wechslerbank* miał dać akcyonaryuszom 60 złr. czyli 75 proc. dywidendy, lecz zgromadzenie ogólne postanowiło zarazem przeprowadzić całkowite wpłacenie kapitału akcyjnego (liberować akcye), więc dywidendy zatrzymano jako pierwszą ratę wpłaty i prócz tego zażądano od akcyonaryuszów jeszcze 60 złr. na każdą akcyę.

Przed samym wybuchem strachu, w kwietniu 1873 roku na giełdzie wiedeńskiej popełniono dwa genialne kuglarstwa łabędzim śpiewem szwindlu będące. Istniało w Wiedniu rokiem wprzód zawiązane *Oester.-Bergbahngesellschaft* z kapitałem dwóch milionów guldenów, posiadające kolej na Kahlenberg wiodącą, budynki na tej górze i nieco gruntów pod budowle, które prędko z korzyścią zostały rozprzedane. W skutek tego akcye towarzystwa wypuszczone po 120 złr. wkrótce podskoczyło do 260. Dyrektorowie tego towarzystwa byli zarazem członkami rady zawiadowczej *Wiener-Maklerbank*. Za pośrednictwem tego ostatniego sprzedali 13,000 sztuk akcyi *Berg-*

bahngesellschaft à découvert to jest sprzedali akcye których nie mieli. Zamiast sprzedany towar drogo na giełdzie kupować, udecydowali podwoić kapitał *Bergbahngesellschaftu* przez wypuszczenie nowych 20,000 akcyj, z tych połowe uznać za stare akcye to jest mające prawo poboru nowej emisyi, a w końcu tę połowę sprzedać Maklerbankowi po stałej cenie, o 50 złr. niżej kursu dziennego. Tem sposobem pokryli się z zyskiem i jeszcze w dodatku zarobili prawo do nowej emisyi.

Drugorzędny instytut zwany *Vorortebank* przechrzczony na *Report- und Credit bank* ogłosił subskrypcyę na 30,000 akcyi *Baugesellschaft für Stadt und Land*, z agiem wynoszącym około 600,000 złr. W przeddzień podpisów rozgłosił w dziennikach i przez swoich ajentów na giełdzie, że subskrypcya z pewnością najmniej cztery razy pokrytą zostanie. Kulisa giełdowa wpadła w łapkę umyślnie na nią zastawioną. Żeby pokryć sprzedaże porobione naprzód przed terminem subskrypcyi, spekulanci kulisowi podpisywali bez porównania na większą liczbę sztuk niż otrzymać rzeczywiście potrzebowali. Subskrycya zrobiła fiasco, kulisa zaś znalazła się nagle w przymusowem posiadaniu wszystkich sztuk podpisanych, co doprowadziło do publicznej awantury na giełdzie i wymianę policzków między interesowanymi stronami.

II.

Takie były wielkie, krzyczące szalbierstwa, popełnione przez szwindlerów z profesyi, praktykujących swoje rzemiosło w biały dzień, o których każdy wiedział, że po nich wszystkiego spodziewać się można, i że z ich strony wszystkiego obawiać się należy. Gdzie tego kalibru zamachy ną cudzą kieszeń uchodziły bezkarnie, tam naturalnie drobniejsze, mniej rażące choć równie nieuczciwe sprawki nie mogły nie stać na porządku dziennym, nie mogły nie mnożyć się, bo nic nie ma zaraźliwszego nad zły przykład zyskownych i płazem uchodzących podstępnych uczynków. A cóż dopiero mówić o rozmaitego rodzaju nadużyciach, obejściach przepisów prawnych, przekroczeniach statutów i t. p. „nieregularnościach?“ Było-rzecz

zwyczajną zakładać bank bez kapitału zakładowego, inny bank brał akcye w zastaw i otwierał kredyt do pewnej wysokości na procent więcej lub mniej lichwiarski; często dwa banki oddawały sobie wzajemnie taką usługę i obydwa operowały bez grosza kapitału pieniędzmi powierzonymi przez klientów, depozytami, zastawami. Instytuta mające prawo wydawania listów zastawnych, bawiły się w wypożyczanie pieniędzy na zastawy ruchome, w zakładanie banków, w syndykaty, w *kostgeschäft*, a nawet w prostą grę giełdową. Po krachu pokazało się, że największy austryacki instytut hipotecznego kredytu, *Bodencreditanstalt* o mało nie runął w skutek strat poniesionych przez udział w czysto giełdowych interesach, które prowadził za pośrednictwem osobnego zakładu własnej kreacyi noszącego nazwisko *Wiener Bankverein*. Ten ostatni operował na giełdzie rozporządzalnymi funduszami *Bodencreditanstaltu*, uchodził za najzręczniej i najśmielej prowadzony z banków wiedeńskich, z kapitałem 3,200,000 w r. 1871 dał 40 proc., w 1872 80 proc. dywidendy, akcye jego z wpłatę 80 złr. stały po 430, zkąd w skutek krachu na 40, to jest na połowy rzeczywistej wpłaty spadły. Wyprowadzający na jaw rozmaite tajemnice krach, wykrył także, że jedna z lepszych spółek budowniczych *Allgemeing - Oester.-Bau-Gesellschaft*, miała zaangażowaną w kostgeszefcie sumę 1,137,000 złr. Wyżej wspominaliśmy o stratach poniesionych z tego samego tytułu przez dwie wielkie kompanie kolei żelaznych. We wszystkich przytoczonych przykładach zachodziło oczywiste naruszenie statutów przez zarządy, z których żaden nie został pociągniętym do odpowiedzialności. Tem bardziej uchodziły płazem nadużcia wszystkim powszechnie wiadome, niejako uprawnione zwyczajem i zamienione w praktykę, tak dobrze w prowadzeniu interesów, jak w układaniu bilansów, jak w wykonywaniu kontroli przez akcyonaryuszów. W praktyce kontrola ta została całkowicie zwichniętą, ubezwładnioną, uczyniono z niej rodzaj komedyi peryodycznie odgrywanej. Akcyonaryusz od chwili ulokowania kapitału w akcyach tracił nietylko prawo wywierania wpływu na zarząd swoim majątkiem, ale nawet prawo dowiedzenia się, co się właściwie z jego majątkiem stało i co się z nim dzieje?

Weźmy rzeczy jak się praktykowały. Założyciele nie odpowiadali ani za prawdziwość danych zawartych w prospekcie, ani za wartość przedmiotów towarzystwu przekazanych, ani za rzeczywiste istnienie kapitału akcyjnego; ich rzeczą było akcye w ten lub ów sposób w kurs puścić, zysk między siebie rozdzielić i do kieszeni schować. Gdy rząd zabronił założycielom z góry w statucie skład przyszłego zarządu towarzystwa oznaczać, prawo wyboru przeszło na pierwsze zgromadzenie ogólne, które bardzo łatwo jednak można było złożyć z samych założycieli i ich wspólników. Tak czy owak wybór zarządu zależał od założycieli, mogli wybrać samych siebie jeżeli im się podobało, i wtenczas klamka zapadła. Ów zarząd czy to złożony z komitetu wykonawczego i rady zawiadowczej, czy też dyrekcyi i rady nadzorczej, raz wybrany był samowładnym panem majątku akcyonaryuszów. Rządowy anioł stróż każdej radzie zawiadowczej do boku przydany, udzielał jej czynnościom pozór sankcyi urzędowej i gdy przypadkiem tejże radzie na zgromadzeniu ogólnem jaka nieprzyjemność ze strony akcyonaryuszów groziła dopełniał ceremonii zamknięcia ust niesfornej mniejszości. Obowiązki i odpowiedzialność zarządu nigdzie określoną nie jest, tylko na końcu roku tak zwane ogólne zgromadzenie akcyonaryuszów udziela lub odmawia zarządowi absolutoryum za prowadzenie interesów. W tym celu zarząd przedstawia zebranym akcyonaryuszom bilans roczny i sprawozdanie z obrotu interesów. Bilans, równie jak dar mowy, służy do wypowiedzenia prawdy, albo do jej ukrycia, w części lub w całości. Ocenić stopień wiarogodności bilansu, nie mając przed sobą ksiąg, jest niepodobieństwem; wprawne oko fachowego człowieka dojrzy wprawdzie w najbardziej *treściwym* bilansie czarne punka, o których się śnić nawet nie będzie zwykłemu śmiertelnikowi, niewtajemniczonemu w arkana buchalteryi podwójnej i sztuki zestawiania cyfer, lecz największa wprawa, najobszerniejsze wiadomości specyalne nie wyświecą co leży na dnie pojedynczych ogólnie wskazanych pozycyi, co warta np. pozycya dłużników podana w sumie X, bo pomiędzy dłużnikami mogą być jedni, których zobowiązania dadzą się zrealizować z pewnością w każdej chwili, i inni którzy swego długu uiścić nigdy w stanie nie będą. Sprawozdanie komentujące bilans zwykle na ten

sam ton co i bilans nastrojone, nie więcej nauczy akcyonaryusza; w rezultacie dowie on się tylko o tem, o czem go zarząd zechce oświecić, — będzie więc głosować na ślepo, jeżeli nie ma innych źródeł informacyi. Pozostaje jeszcze droga interpelacyi, lecz tę drogę zarząd częściej obiera niż akcyonaryusze, dla tej prostej przyczyny, że odpowiadając na obstalowane z góry pytania zarząd puszcza w obieg rzeczy, których inaczej wyjawić mu niewypada; akcyonaryusz zaś trafia na wymownego interlokutora, który mówiąc długo i szeroko, odpowiedzi dłużnym w końcu pozostanie. Kiedy przychodzi nareszcie do głosowania, zarząd ma w ręku nieomylny środek zneutralizowania wotów opozycyi za pomocą tak zwanych *Strohmännerów*, to jest pierwszych lepszych indywiduów opatrzonych kartami wejścia i kartami głosowania. Dopóki tego prawo nie wzbroni wyraźnie, nie nałoży ostrej kary na tych co się takiego manewru dopuszczają, dopóty zgromadzenia ogólne pozostaną komedyą, a kontrola akcyonaryuszów — martwą literą, zarząd bowiem tym lub owym sposobem, czy to kupując wprost lub przez trzecie osoby, czy to pożyczając, czy to biorąc własne akcye w zastaw, zawsze potrafi zgromadzić potrzebną liczbę sztuk i zapewnić sobie większość.

Obrońcy Strohmännerów utrzymują, że dopóki przedsiębiorstwa idą pomyślnie, akcyonaryusze nie kwapią się na posiedzenia, że bez Strohmännerów nigdy do kompletu dojść nie można, że zresztą taki głos *słomiany* tyle wart co głos każdego spekulanta będącego chwilowym, czasem nawet przypadkowym posiadaczem akcyj, któremu stan przedsiębiorstwa jest rzeczą zupełnie obojętną, gdyż ma na uwadze tylko różnicę kursu i nic więcej. Odpowiedź na te argumenta łatwa. Najprzód w każdym statucie jest z góry przepisany środek nieomylny na zebranie kompletu, gdyż uchwały powtórnego zgromadzenia są prawomocne bez względu na liczbę głosów. Powtóre jest sposób wynaleziony na to, żeby zasłonić prawdziwych akcyonaryuszów od przewagi spekulantów i graczy, oto żądać aby akcye prawa głosowania dające pozostawały złożone w kasie towarzystwa przez długi przeciąg czasu przed terminem zgromadzenia. Zwykle wystarcza złożenie akcyi na dni kilka przed terminem, dla tego łatwo jest sztuki wynająć po przystępnej cenie, lub głosować na zgromadzeniu nie przerywając spekulacyi.

Gdyby sztuki musiały być deponowane wcześnie i najmniej trzymiesięczną odbywać kwarantannę, jak się to praktykuje w niektórych wielkich instytutach europejskich, zaraz by się postać rzeczy zmieniła, jest wszelkie prawdopodobieństwo że na zgromadzeniu ogólnem znalazłyby się tylko głosy prawdziwych akcyonaryuszów, w przedsiębiorstwie kapitały lokujących. Nadto nadużycie słomianych głosów zapewnia złej woli bezkarność i daje broń przeciwko pokrzywdzonym, zarząd bowiem jest zawsze w stanie obliczyć naprzód choć w przybliżeniu, ile sztuk potrzeba będzie aby mieć większość i sztuki potrzebne zebrać, albo zyskać głosy różnymi sposobami jakie ma na zawołanie, podczas kiedy akcyonaryuszom pozostaje tylko, jako jedyna ucieczka, długa i kosztowna a niepewna droga koalicyi, którą co najwięcej dymisyę na zarządzie wymódz potrafią. W końcu nietrzeba zapominać że w wielu razach, usuwając skuteczną kontrolę, pozbawia się naturę ludzką jedynego hamulca skutecznego, odbiera się ludzkiej słabości jedyną broń przeciwko złym instynktom i pokusom często bardzo potężnym. Iluż to sprzeniewierzeniom, malwersacyom, skandalom, szkodom materyalnym i moralnym upadkom mógł był ścisły, surowy i czujny nadzór zapobiedz?

Dla człowieka zaś uczciwego, choćby najbardziej ufał samemu sobie, choćby był najmocniej przekonany o swoich zdolnościach, skoro cudzym groszem rozrządza, kontrola powinna być rzeczą pożądaną, bo jednocześnie, z tym co kontrolę sprawuje, dzieli odpowiedzialność, jaką inaczej sam by musiał ponosić. Na nieszczęście, człowiek każdy, nawet największy liberał, ma pociąg do samowładztwa, dla tego bardzo łatwo ulega pokusie, ile razy przedstawi się sposobność rozszerzenia władzy, nabycia większych przywilejów, wyłamania się z pod reguł niezawsze dogodnych i przyjemnych. Leży w tem jedna z przyczyn dla czego praktyka słomianych głosów tak się przyjęła, upowszechniła i zakorzeniła. W instytucyach opatrzonych radą nadzorczą w całem znaczeniu, nie mającą bezpośredniego udziału w prowadzeniu interesów i tylko kontrolującą dyrekcyę w ciągu całego roku, zapomocą słomianych głosów dyrekcye potrafiły zaprowadzić stosunek zupełnie przeciwny logice i duchowi prawa. Za pomocą słomianych głosów bowiem, dyrekcye miały bezwarunkowo w ręku skład owej rady kontrolującej,

mogły rozporządzać znaczną ilością synekur mniej więcej dobrze płatnych, otwierać bramy raju wybranym i wypędzać z raju tych, co bruzdzić się ośmielili. Takim sposobem, tu i owdzie, rada nadzorcza zamiast rozciągać kontrolę nad mieniem akcyonaryuszów, musiała znosić w pokorze tyranię owego stróża bram rajskich. Doszło do tego, że nie trzeba było być wcale akcyonaryuszem, a do tego być najkompletniejszym kretynem i pomimo tego zasiadać w kilku naraz radach nadzorczych. Owszem nawet, ubóstwo ducha i pokorne poddanie się woli kacyka dzierżącego w prawicy słomiane głosy, bywało pożądanym tytułem, najlepszą rekomendacyą dopomagającą do przestąpienia bardzo wysokich progów. Zresztą, pod regimentem *Strohmänner'ów* charaktery dziwnie się urabiały i wyrabiały, ludzie pozbywali się drażliwości, przesądów, miękli, a w najlepszym razie — i to się do nas Polaków stosuje szczególnie — dochodzili do wewnętrznego przekonania, że obowiązkiem dobrego *verwaltungsrath'a* jest nic nie robić, do niczego się nie wtrącać, niedyskretnych pytań nie stawiać, zgadzać się na wszystko i o tem co się dzieje w przedsiębiorstwie jak najmniej, a jeśli tylko można, wcale nic nie wiedzieć.

Pewna linia drogi żelaznej, blisko Galicyę obchodząca, miała kacyka wielce sprytnego i wielce ambitnego, który sprawując swój urząd ku ogólnej satysfakcyi przez lat niewiele, dorobił się znaczenia, i fortuny, i nawet czegoś podobnego do tytułu. Wszystko zdawało się iść wybornie, gdy jednego pięknego poranku, zjawia się niespodzianie, w skutek denuncyacyi, komisya ministeryalna, otwiera księgi towarzystwa i znajduje w nich czarno na białem zapisane wydatki na prywatne potrzeby i kaprysy kacyka. Nic nowego pod słońcem, mówi stare przysłowie; otóż nieprawda. Jak świat światem nie było przykładu, żeby ktoś cudzem mieniem rozrządzający, zapisywał najskrupulatniej w rachunkach ile schował nieprawnie do swojej kieszeni. Summa w ten sposób na niewłaściwe cele użyta, była stosunkowo nieznaczną, ale tu o cyfrę nieidzie, wobec niesłychanej zuchwałości postępku. Ten człowiek musiał być bardzo pewnym siebie, musiał wiedzieć z doświadczenia że nie potrzebuje niczyjej kontroli się obawiać, musiał być przekonanym że mu wszystko wolno. Najoczywiściej ani komitet rewizyjny, ani rada nadzorcza nie miała zwyczaju dopełniać ścisłej

rewizyi rachunków. Na ośmnastu podobno członków rady nadzorczej, nieznalazł się ani jeden coby choć przez ciekawość, albo dla formy książki przejrzał, byłby bowiem doczytał się tego co wyczytała komisya ministeryalna i skandalu niodopuścił. Dodajmy zaś, że w tej liczbie nie brakowało ludzi wysokiej, niepokalanej prawości, tak sumiennych, że każdą najlżejszą krzywdę, mimowoli i mimowiedzy bliźniemu wyrządzoną, całe życie aby sobie wyrzucali. Ci ludzie tak skrupulatni w prywatnem życiu, widocznie nigdy nie zastanowili się nad tem, że fundusze ich pieczy powierzone mają właścicieli żywych, chodzących po ziemi, że w tych funduszach złożone być może całe mienie niejednego biedaka, niejednej wdowy lub sieroty, że każdy grosz strwoniony przez zły albo niesumienny zarząd, albo przez brak dozoru, tłomaczy się czyjąś stratą i cudzą krzywdą.

Jak potop nieprawości ludzkie, tak krach nieprawości giełdowe, bankowe i kolejowe miał spłukać z powierzchni ziemi. Czy to prawda? — pokaże się później. Jest bezwątpienia pewna zmiana na lepsze wiele rzeczy wczoraj praktykowanych, podpada już dziś pod ten anatem najskuteczniejszy, jaki każdy sam w swojem *forum internum* wydaje, ale ta wielka i stanowcza reakcya opini, o której tyle słuchać, wygląda nam bardzo na sztuczną i więcej hałaśliwą niż szczerą. Taką cechę noszą rozprawy w Izbie nad ustawą o stowarzyszeniach akcyjnych. Projekt rządowy zaprowadził w dotychczasowem prawodawstwie wielce pożyteczne zmiany; gdyby Izba rzeczywiście życzyła sobie widzieć projekt zamieniony w prawo, należało uchwalić go bez zmian. Tymczasem cóż się dzieje? Dzienniki wołają w niebogłosy że prawo drakońskie, że żadna spółka akcyjna się nie ostoi, że *Verwaltungsrath'owie* zrobią *strike* i t. d., Izba zaś uchwala dodatki, jedne zbyt srogie, inne zupełnie niepraktyczne, a uchwala dla zadośćuczynienia opinii, w błogiej nadziei, że prawo w tej redakcyi przez Izbę Panów nieprzejdzie, o czem panowie austryaccy zresztą głośno zapewniają. Co się stanie z prawem w tych warunkach trudno przewidzieć. Dość powiedzieć że projekt rządowy znosił wszystkie nadużycia krzyczące, określał ściśle obowiązki dyrektorów i odpowiedzialność rad nadzorczych, przywracał możliwość kontroli akcyonaryuszów, wzbraniał podstawiać słomiane głosy na

zebraniach ogólnych i t. p. aby zrozumieć zkąd i dlaczego pochodzi opozycya. Pomiędzy obostrzeniami przez Izbę wprowadzonemi, jest jedno bardzo ważne a niesłusznie sądzone i przedstawiowe w fałszywem świetle. Mamy na myśli ów paragraf mocą którego mniejszość wynosząca więcej niż $^1/_4$ głosów na zgromadzeniu ogólnem reprezentowanych ma prawo wybierać jadnego członka do Rady nadzorczej. Wprawdzie może zajść wypadek iż mniejszość będzie sztucznie zebrana aby tym sposobem wprowadzić do zarządu spółki żywioł szkodliwy, destrukcyjny, ale z drugiej strony obawa takiego właśnie wypadku pociągnie za sobą solidarność zarządu i większość a nawet pociągnie reformę zbawienną w obyczajach finansowych, gdzie więksi kapitaliści będą się starać o utrzymanie w rękach jak największej liczby akcyi. Tym sposobem rzadziej będą zmieniać właściciela i posłużą nie do gry lecz do lokowania kapitałów. Jest inne postanowienie przez Izbę do prawa wprowadzone, rzeczywiście niebezpieczne a nawet zgubne, gdyż pozwala posiadaczom $^1/_{10}$ kapitału akcyjnego, żądać od trybunału handlowego pozwolenia rewizyi ksiąg przez swego umocowanego, jeżeli zachodzi prawdopodobieństwo jakiegoś nadużycia. Już samo to, że trzeba dowieść tylko prawdopobieństwa nadużyć, otwiera pole prawdziwym nadużyciom, z resztą tu nie chodzi o otrzymanie pozwolenia od sądu, ta iść będzie najczęściej o to aby giełda dowiedziała się, że takie żądanie do sądu wniesionem zostało i na taką wiadomość spadkiem kursu odpowiedziała. Dla grających *à la baisse* więcej nie potrzeba i od użycia takiego manewru niepowstrzyma ich obawa kary pieniężnej, której zresztą Izba ustanowić nie chciała. Sposób traktowania kwestyi tego rodzaju przez Izbę złożoną w znacznej części z ludzi z przedmiotem dostatecznie obznajmionych i nawet interesowanych w tem, aby prawo nie podkonywało bytu tylu instytucyi krachem dotkniętych, nie wzbudza wiary ani w silną wolę Izby przeprowadzenia szybkiej skutecznej reformy, ani w szczerość prądu ku reformie rzekomo niosącego.

W naturalnem następstwie zaczęto też i u nas w kraju bardziej na seryo brać obowiązki zbyt dotąd lekceważone. Trzeba będzie jednak długo pracować żeby podnieść i poprawić kredyt polski, a szczególnie kredyt galicyjski, tak straszliwie bardziej jeszcze przez lekkomyślność i niedbalstwo niż

przez co innego, podkopany i zrujnowany. Reputacyi wielkich finansistów nigdy podobno nie zdobędziemy, ale możemy przynajmniej dojść do tego, że kiedy w zarządzie jakiego towarzystwa albo na czele jakiego przedsiębiorstwa znajdzie się parę dobrych nazwisk polskich, to ludzie zamiast wspominać *Polnische Wirtschaft*, powiedzą: bądź co bądź szalbierstwa tam dziać się nie będą, owszem, uczciwości możemy być pewni, tego rękojmię dają nam Polacy, którzy żadnych nadużyć nie ścierpią. A przy tej sposobności, jako przykład dla tych wszystkich co się cisną do rad nadzorczych i gonią za synekurami, pozwolimy sobie zacytować fakt bardzo autentyczny. Lat temu kilka, jeden z najbardziej poważnych obywateli Księswa Poznańskiego, został powołany do rady nadzorczej Tellusa. Za nim miał sposobność zacząć pełnić swoje obowiązki wyjechał za granicę. U wód spotyka go jakaś pani mało znajoma i wręcz powiada: Miałam cały mój majątek w Tellusie, chciałam go inaczej ulokować, ale dowiedziawszy się że pan wchodzisz do Rady nadzorczej, zostawiłam go tam nadal, bo wiem że o moje mienie mogę być najzupełniej spokojną. Pamiętny tych słów, zaraz za powrotem do kraju udał się do biór Tellusa, żeby przepatrzyć księgi i tym sposobem zapoznać się z biegiem interesów i stanem banku, gdy mu to odmówionem zostało — natychmiast podał się do dymisyi.

(*Dokończenie nastąpi*),

Henryk Lisicki.

MAKBET.

Studyum[1]).

I.

Krytycy i komentarowie utworów dramatycznych Shakespeara tragedyę „Makbet“ jednogłośnie prawie do najcelniejszych jego arcydzieł liczą. Ci nawet którzy wśród powszechnego admiracyjnego uniesienia, odważyli się z ostrzem zimnej‘ chociaż widocznie nieśmiałej krytyki do analizy dzieł jego przystąpić, a mianowicie co do Makbeta poczynić niektóre zastrzeżenia sięgające w samo jądro dramatu, pomimo to mianują Makbeta, „najpotężniejszą i najwięcej porywającą ze wszystkich tragedyj“. [2])

---

[1]) Niniejsze studyum o Makbecie jest częścią całkowitego komentarza do wszystkich sztuk Szekspira, który szanowny autor, znakomity badacz odległej przeszłości dziejów polskich i litewskich, ma w rękopiśmie. O ile wiemy, jestto pierwsze dotąd w Polsce „dzieło o Szekspirze“: dlatego sądzę, że dla oświeconéj publiczności nie będzie rzeczą obojętną poznać choć z jednéj próbki nieodkrytą dotąd nowość literacką, ogłaszamy studyum o Makbecie, z prawdziwą dla szanownego autora wdzięcznością, jakkolwiek na sąd jego o rzeczonéj tragedyi pisaćbyśmy się nie mogli.

[2]) Die mächtigste und gewaltigste aller Tragoedien (Ruemelin „Shakespeare“ Studien) 1sze wydanie.

Przeto Eshylosa trylogia „Atrydzi“, którą miano dotąd za najcelniejszą między tragedyami, musiałaby Makbetowi miejsca ustąpić?

Na to da się odpowiedzieć:

Jeżeli zarys, ekspozycya, i rozwinięcie dramatu, (co wszystko zaś nietylko w Makbecie, ale i w innych sztukach Shakespeara podziwiać należy), język jędrności spiżowéj, a przytem liryzmu pełen, przy niewymownej okropności skrytobójstwa, śmiałe wywołanie z tamtego świata, jednej z ofiar takowych, i stawienie jej wśród królewskiej uczty przed oczyma mordercy, uwidomienie w postaci wieszczek jestestw nadludzkich, a na zgubę ludzi czyhających, świadomych dokładnie przyszłości, co więcej, tego co w najgłębszych tajnikach dusz tleje, siejących biedę, aby była bieda, jeżeli przeto to wszystko jest dostatecznem do stworzenia arcydzieła tragicznego, natenczas Makbet jest najcelniejszą ze wszystkich tragedyj.

Lecz zbytecznemby było wyłuszczać, że tragedya w rzetelnym tego słowa znaczeniu wymaga czegoś więcej. Wymaga ona znamienitych zdarzeń dziejowych lub takich, którym poezya tchnienieniem swojem życie dała, wrogich gwałtownych namiętności, które tylko w zgonie swoich ofiar odkupienie znaleźć mogą, potężnych osobistości we walce z wrogiem przeznaczeniem i które nawet w moralnym swem upadku współczucie wywołują. Wymaga nakoniec pewnego namaszczenia, zacności przesiąkającej cały utwór.

Dramat który wszystkie te przymioty lub też wiele z nich posiada, obejść się może bez straszydeł, i bez wszelkich przyrządów ze świata nam obcego czarów. Jeżeli zaś onemi pomagać sobie musi, w celu wzbudzenia gwałtownych wrażeń, natenczas pomimo wielu pierwszorzędnych piękności, pomimo nagromadzonych zbrodni, zgrozy i biedy nie jest prawdziwą tragedyą.

Przystępując do analizy chrakterów Makbeta i żony jego, jako głównych motorów akcyi w dramacie, gdyż inne wszystkie w tymże występujące osobistości grają tylko rolę mniej więcej bierną, i co w nich najwięcej uderza to *poślednia ich cecha;* oboje małżonkowie są niczem mniej jak tragicz-

nymi, przeciwnie są oni w całem znaczeniu słowa pospolitymi zbrodniarzami.

Uderza to przedewszystkiem w Makbecie, jeżeli ma się przed oczyma kronikę angielską Holinsheda, z której głównie czerpał Shakespeare i która mówi, że „Makbet pomimo srogości swojej był przecież godzień piastować berło.“ Tego w Makbecie Shakespeara dopatrzeć się niepodobna.

Odwaga jego na polu bitwy, na którą autor taki kładzie nacisk, zdania naszego o nikczemności mniemanego bohatera, obalić nie zdoła.

We wszystkich czasach odwaga taka była pospolitem zjawiskiem. A w epoce barbarzyńskiej, w której dramat nasz się odbywa, kiedy wojna była nieustającą, sam instynkt zachowawczy zmuszał każdego być odważnym, w każdym razie nikt nie zaprzeczy, że można być walecznym wodzem, a przytem wielkim nikczemnikiem. Należy także zauważyć, że Makbet gromiąc tak dzielnie zbuntowanych lenników króla swojego, miał na oku lenności przez nich posiadane, które w razie zwycięztwa król im według istniejącego zwyczaju konfiskować będzie, by niemi wierngo sługę obdarzyć; co też nastąpiło.

Równie niczem nieusprawiedliwionem jest twierdzenie, że Makbet pierwotnie był szlachetnym charakterem. Budziło się tylko w nim jak u wszystkich zbrodniarzy czasami sumienie. Ale były to tylko słabe połyski, które pochodziły po części z braku stanowczej woli, po części z wielkiej drażliwości nerwów, nakoniec z natchnień lirycznych, któremi podobało się autorowi tak hojnie skrytobójcę obdarzyć.

Przeciwnie nie zbywa na datach, że Makbet już przed wstąpieniem w akcyą był nikczemnikiem, a charakter jego z gruntu zepsutym. Przedewszystkiem należałoby zerwać raz z ideą, która przez ciągle powtarzanie stała się prawie axiomatem, jakoby widma co pod postacią czarownic zwiastowały mu koronę, zamierzały wzbudzić w nim pokusę do niej, aby tem go do zbrodni, następnie do zguby doprowadzić

W czasach zamierzchłych, a nawet i średnich, zachcianki do tronu były u możnych lenników zjawiskiem tak często powtarzającem się, że śmiesznem prawie jest przypuszczenie, aby aż władze tajemnicze, nadludzkie mięszać się w to miały.

Zachcianki owe, gdy przechodziły w czyn, to niepodobna takowego brać na miarę epok cywilizacyjnych, gdzie nietykalność tronu prawem i tradycyą bytu uświęconą, wszelkie państwowe stosunki uregulowane, gdzie indywidualności poddać muszą się państwu i wszelkie pojedyncze przekroczenie wytkniętych granic, całym organizmem wstrząsa. Uzurpacya tronu przeto choć jest zbrodnią w naszych czasach, nie była i nie mogła być nią za czasów Makbeta. Dodajmy że tenże, pokonawszy dwóch najmożniejszych lenników i zabrawszy ich spuściznę, był już pierwszym po królu, przytem był jego krewnym. A nastepstwo prawowite do tronu było natenczas tak mało ustalonem, że według kroniki Hilinsheda, główną pobudką Makbeta do opanowania tronu, było postanowienie króla Dunkana, że Malkolm najstarszy syn jego ma po nim nastąpić, Makbet zaś sądził się być godniejszym tronu niż syn królewski. Powtarzamy więc: nie trzeba było przepowiedni czarownic, aby Makbet pomyślał o opanowaniu tronu. Przeciwnie, jak zamiary jego w tym kierunku już były dojrzałe, za nim spotkał się z niemi, dowiedzie tego dalsza analiza dramatu. Niepodobna zaś zaprzeczyć, że przepowiednie zwiastujące mu tron, pochodzące od jestestw nadludzkich, mogły dodać, lub i dodały mu otuchy do wykonania powziętych zamiarów. Ale też i czarownice były dobrze świadome co się ukrywa w tajnikach duszy Makbeta, i czego on jest zdolen, by celów swoich dopiąć. Powołaniem ich jest siać biedę, aby była bieda. Makbet służy im w tem za narzędzie, i przyznać należy, że dobrze na tem wychodzi. Wśród najmniej sprzyjających okoliczności osiąga on tron, cel swoich życzeń. Na jakiej drodze, to mu obojętnem, gdyż on gotów dla korony przyszłe poświęcić życie (akt Iszy scena 7ma), w krwiożerczem swem usposobieniu zgładza on wszystko co go niepokoi, nakoniec następuje chwila upadku, jak wszystko koniec swój mieć musi, a w owych czasach i najcnotliwsi monarchowie rzadko w łóżku umierali. Lecz skrytobójca ginie nie jak mu się należało pod kołem, lub na szubienicy, lecz jako król na polu chwały wśród walki prawie bohaterskiej. Gdzież tu zaguba, którą miały nań sprowadzić czarownice? Daleko rozsądniej zapatruje się na to królowa piekła Hekate (akt IIIci scena 5ta), gromiąc swe służebnice: „Pracowałyście, mówi ona, dla samoluba i jego krwiożer-

„czych zamiarów. On, pełen dumy i żądzy panowania myśli „tylko o sobie a nie o nas.“

Streszczenie pierwszych scen, w których czarownice występują, uwydatnią najlepiej nurtowanie tych władz tajemniczych i stosunek Makbeta do nich.

Ukazują one się zaraz w pierwszej scenie dramatu, i to w bliskości pola bitwy, gdzie walczy Makbet przy boku króla ze zbuntowanymi lennnikami.

Pierwsza czarownica. „Kiedyż znowu zejdziemy się?“

Druga czarownica. „Gdy bitwie koniec będzie.“

Pierwsza czarownica. „Gdzie?“

Trzecia czarownica. „Na zaroślu. Tam Makbet usłyszy naszą wieszczbę.“

Po skończonej bitwie schodzą się czarownice (akt Iszy scena 3cia) na umówionym miejscu i opowiadają sobie czem w podróżach swoich ludziom dokuczyły.

W tem jedna daje znak „bębny (mówi) słychać“ Makbet zbliża się. Na to wszystkie trzy podają sobie ręce, obracają się dziewięć razy w koło, a gdy głoszą „czary spełnione“, ukazuje się Makbet, *który przeto w koło czarów ujętym zostaje*: inaczej słowa one nie miałyby znaczenia.

A nie można dosyć nacisku na to położyć. Koło czarów zostało zakreślonem nie przez poziome czarownice co kończą na stosie, ale przez nadziemskie istoty, które czem są nie tają. Banko towarzyszący Makbetowi pierwszy je zoczył i poznał się natychmiast na nich. „Nie wyglądają one (mówi) jak dzieci tego świata“. Ale na zapytanie jego czem są, kładą czarownice palce na usta, by mu dać do poznania, że nie dla niego tu pojawiły się. Dopiero gdy Makbet do nich przemówił witają go: jedna Tanem Glamisy, druga tanem Kawdoru, a trzecia, która nim się szczególnie opiekuje, okrzykiem „niech żyje Makbet, co będzie kiedyś królem“. Na tę przepowiednię zadrżał z przestrachu Makbet, co nerwowe usposobienie jego tłumaczy. Banko przeciwnie znajduje, że wieszczby te bardzo miły głos mają, i zapytuje czarownic, czemu jemu nie wróżą przyszłości. Na to wezwanie przepowiadają mu, że „zrodzi królów, ale sam królem nie będzie.“

Wiadomo że Shakspeare w tem pozdrowieniu umiał połączyć poezyę z dworactwem, bo kiedy wydał na świat Makbeta panował w Anglii Jakób Stuart, którego Banko miał być praojcem. W piekielnem widziadle, które Hekate urządza na przyjęcie Makbeta, Shakespeare jeszcze dobitniej to pochodzenie illustruje (akt IVty scena 1sza). Ale po mistrzowsku spoił tu poeta wieszczbę tyczącą się Banka, z główną akcyą, której bohaterem jest Makbet.

Banko na przekór komentatorom, którzy wystawiają go jako wyższego nad wszelkie pokusy, daleko więcej ciekawości, oraz poufałości ukazuje wobec złych duchów niż Makbet, a na domiar drwi sobie z ich nieurodziwości, a żądając, by mu odsłoniły przyszłość, dodaje z lekceważeniem „ja co niedbam o waszą łaskę, a zawiści waszej się nie boję.“

Czarownice dotąd na niego nie zważały; teraz zaś urażone drwinkami i zaczepką odwdzięczają mu się *trojakiem* pozdrowieniem: „niższym będziesz od Makbeta, a przecież wyższym, nie tak szczęśliwym, a przecież szczęśliwszym królem nie będziesz, ale zrodzisz królów.“ Na dnie tej piekielnie stopniowanej wieszczby leżała zguba Banka. Dotknęła ona do żywego dumnego Makbeta, a krzyżowała mu przytem widoki na przyszłość.

Po tem pozdrowieniu Makbet zagadał raz jeszcze do czarownic, udając jakoby nie wierzył, że ziszczą się ich przepowiednie. One mu pogardliwem milczeniem odpowiadają, i znikają w powietrzu.

Cała ta scena z czarownicami jest niezrównanym arcydziełem. Zaledwie ulotniły się, przybywają dwaj rycerze do Makbeta z oznajmieniem, że król go mianował Tanem Kawdoru. Nadanie tego osierociałego lennictwa wodzowi, który dopiero co, tak dzielnie w obronie walczył, było tak uzasadnionem i naturalnem, że i poziome wieszczki mogły były to wywróżyć. Ale rzecz ma się inaczej, gdy to przepowiadają jestestwa co nie są z tej ziemi. Natenczas wnosić należy, że spełni się i druga ich wieszczba, a więc Makbet królem, a Banko ojcem królów będzie.

Banko co dopiero czarownice ulotnymi tworami nazwał, które tak ziemia jak i woda wydają ze siebie, teraz wobec królewskiego poselstwa z przestrachem siebie zapytuje, więc czart prawdę mówił. Makbet zaś mimo fantastycznego usposobienia swego, zaraz pomiarkował się. „Teraz, (mówi) zbywa mi już tylko na najwyższej godności.“ Ale przytem objawia tu jak i w dalszym ciągu akcyi *brak woli stanowczej*, jak n. p. „Jeżeli przeznaczeniem mojem jest zostać królem, to niechaj spełni się to bez mego udziału“, *pociąg do fatalizmu*, „niechaj będzie co być ma, czas uchodzi i w złych chwilach.„ Co więcej dają się słyszeć jęki boleści, które nie harmoniują z charakterem jaki u niego coraz więcej się objawia, i które przeto tylko z rozstrojenia pod wrażeniem zjawisk nadziemskich powstać mogły.

Widzi on krążące około siebie mary tak okropne, że mu z przerażenia włosy powstają na głowie; dręczony jest przeczuciami, sroższemi niż rzeczywistość, mówi o morderczych myślach co mózg jego opanowały. Banko, który go już od chwili przemówienia wieszczek podejrzywa i z oka nie spuszcza, widząc go pogrążonego w myślach, upomina go, aby nie ufał podszeptom władz piekielnych. Tymczasem Makbet przychodzi sam do siebie. Tłumaczy obecnym posłańcom króla, że to tylko dawne zapomniane dzieje przesuwały się przez mózg jego odurzony. Lecz nie zapomniał on wieszczby, że będzie kiedyś królem.

Przybywa król Dunkan do obozu i oznajmia zgromadzonym wodzom, że mianował syna swego Malkolma księciem Kumberlandu oraz następcą (akt I scena 4). Nadzieja przeto osiągnienia tronu nie ziści się tak szybko, jak się spodziewał Makbet. Na ową wieść melancholiczny fatalista przeistacza się nagle w praktycznego człeka. „Książę Kumberlandu (duma on). Jest to kamień na drodze mojej. Usunąć go muszę. Inaczej sam zginę. Gwiazdy ukryjcie się, niech światło nie dobędzie się do głębi zamiarów moich. Niech oko nie widzi ręki, póki się to nie stanie, co oko się wzdrygnie zobaczyć.“

Jeżeli szumne te antytezy przeniesie się na prozę, to Makbet postanowił Malkolma ze świata zgładzić i to skrytobójstwem. Inaczej cóżby znaczyła ta głęboka tajemnica.

II.

Makbet owładnięty pierw tak jak i Banko wdziękiem wieszczby czarownic, potem wzburzony i odurzony, co wszystko daje się łatwo wytłumaczyć, ukazuje się na końcu w prawdziwej barwie, to jest pałający żądzą tronu i gotowy usunąć dla dopięcia celu swego wszelkie zapory nawet za pomocą zbrodni.

Teraz ukaże się jakim był zanim czarownice mu się pojawiły. Pierwszą skazówkę podaje nam Lady Makbet w słynnym swoim monologu po otrzymaniu listu od męża, opisującego z wielką prostotą spotkanie swe z wieszczkami i ich wróżby. I tu nie dziw, że kobieta ambitna, wielce uradowała się przepowiednią korony dla męża i to z ust jestestw nadziemskich. Ale dalsze jej słowa jasno wykazują, że Makbet nosił się już dawno z planem uzurpacyi tronu.

„Nie zbywa tobie, mówi ona, na ambicyi, ale na bezsumienności, która z nią w parze iść musi; (w czem nawiasem mówiąc, bardzo łaskawie męża sądzi): *Pragniesz posiąść to, co ci się nie należy*, ale przy tem bądź pewnym, że nie stracisz stawki. Przybywaj, abym duchem moim mogła natchnąć ciebie.“

Jednem słowem, mąż waha się przystąpić do czynu; możnaby sądzić, że idzie tu o powstanie buntownicze lennika przeciw królowi. Lecz niebawem dowiadujemy się, że Lady Makbet ma co innego na oku. Posłaniec przybywa z doniesieniem, że król wracając z wojny nocować u nich będzie, a natychmiast nie są to tylko myśli zbrodnicze, które mglić w niej zaczynają; lecz już dojrzałe postanowienie sprzątnienia króla z tego świata. Wychodzi u niej na jaw przerażająca energija.

„Kruk nawet (mówi ona) zachrypnie, gdy krakaniem powita wstęp Dunkana w nasze złowrogie jemu progi ... Duchy mordercze zbliżcie się do mnie ... pomocnicy mordów przetwóżcie w jad mleko piersi moich. ... Przyjdź ciemna nocy, aby ostry mój nóż nie widział rany, którą zada.“

Jednem słowem rozpływa się Lady w swych morderczych zamiarach.

Nie wątpi więc, że mąż jej, od którego postanowienia przecież wszystko zawisło, na to się zgodzi. Bo też tak było.

Gdy wrócił do zamku swego, a żona po przywitaniu bez ogródki mu oświadcza, że król jutrzejszego poranku już nie zobaczy, oraz go zaklina, aby *wielkie dzieło*, które być ma tej nocy dokonanem, jej samej poruczył, Makbet, ów drażliwy Makbet, który zadrżał na przepowiednię mu miłą wieszczek i w gruncie treści niewinnej będącą, tu na tę dziką i srogą przemowę, odpowiada z flegmą: „pomówimy jeszcze o tem.“

Jeszcze więcej uderza rozmowa małżonków bezpośrednio przed wykonaniem mordu (akt I scena 7). Wahanie się Makbeta doszło tu do najwyższego stopnia. Ludzkie uczucia nawet wychodzą na jaw. „Odważę się na wszystko, co godnem człowieka. Kto sięga dalej, nie jest nim.“ Na to odpowiada mu żona: „Byłeśże zwierzęciem, gdy zwierzałeś mi się z twoich zamiarów? Natenczas ni miejsce, ni chwila nie sprzyjały temu, tyś chciał ją sprowadzić. Teraz nadarza się nam wszystko, a ty bezsilny stoisz przedemną.“ I tu wychodzą z ust jej okropne te słowa; „dziecku, co mam przy piersiach, strzaskałabym czaszkę, gdybym na to przysięgła jakeś ty poprzysiągł wykonać twoje zamiary.“

W obec takich objawów i cień wątpliwości ostać się nie może. Nie tylko Makbet nosił się oddawna nim spotkał się z czarownicami, z postanowieniem zamordowania króla swojego, ale przysiągł, że to wykona; było nawet mu z tem tak pilno, że nie zważał, czy okoliczności te mu sprzyjają.

Jakże można teraz twierdzić, że dopiero wróżki skusiły go do zbrodni. Przeciwnie, możnaby zapytać się w jakim celu one wystąpiły. Chybaby mu dodać odwagi. Ale one wróżąc mu w przyszłości koronę, nie mówiły, że ją tylko zbrodnią osiągnąć może. A właśnie po tej wieszczbie, opuszcza go odwaga, rusza się w nim sumienie, jak świadczy monolog na cześć Dunkana, jedyne piękne słowa, które z ust jego wyszły, (I akt scena 7), słowem do tego stopnia, że gdyby nie żelazna wola żony, która zaś z czarownicami nie miała styczności, do czynu byłby nigdy nie przystąpił.

W obec tego labiryntu sprzeczności nasuwa się domysł, czyli nie mamy przed sobą Makbeta już przerobionego z dawniejszego dramatu, i w którem przerobieniu poeta czarom większy dał udział w akcyi niż w pierwotworze, gdzie jak się zdaje, ludzka swawola i realne czynniki stały na pierwszym pla-

nie. Wiele scen z tego pierwotworu prawdopodbnie wcielone natenczas zostały *bez zmiany* do przerobionego dramatu, nie zważając, że tu nie będą na swojem miejscu, [1]) pomiędzy temi ustępy z owej rozmowy małżonków. Nie da się jednak zaprzeczyć, że przez to jednolitość i filozoficzne znaczenie utworu wiele ucierpiały.

Lecz arcydzieło w tym kształcie przyjąć i analizować należy w jakim od wieków jest przedmiotem powszechnego uwielbienia. Trzymając się tej zasady, musimy wszelako co do treści przed dalszą analizą nastąpujące zrobić zastrzeżenie.

Mówiono już wyżej, że w epokach barbarzyńskich uzurpacya tronu sama przez się jako zbrodnia, co więcej w pewnych danych nawet jako czyn potępienia godny, uważaną być nie może. Wypowiedzenie posłuszeństwa zwierzchnikowi, a w dalszem następstwie wojna domowa były zwykłą drogą, aby ten cel dopiąć, a gdy w takiem przedsięwzięciu kładło się życie swe na szalę, mogło ono być godnem człowieka, jak mówi Makbet. Makbet był najmożniejszym z lenników, tem prawdopodobniej udać mu się mógł zamach. Krocząc zaś tą drogą, nadarzyła mu się sposobność nie tylko króla Dunkana ale i syna tegoż i następcę Malkolma wyzuć z korony. Mężny wódz nie podniósł oręża. Przeciwnie chwyta się mordu i to najnędzniejszego ze wszystkich mordów, skrytobójstwa spełnionego na królu, który u niego był w gościnie, a przeto z pogwałceniem świętych praw gościnności, nietykalnych nawet u barbarzyńców. Kto na to zdobyć się może, nosi po wszystkie czasy piętno nikczemnika na sobie. Biorąc zaś rzeczy z estetycznego stanowiska, skrytobójca równie jak rozbójnik lub złodziej nałogowy, bohaterem tragedyi być nie może. I to jest błąd kardynalny tego dzieła, którego nawet geniusz Shakespeara zgładzić nie zdołał. Ale bo też czy przyszło na myśl wielkim tragikom greckim Eshylesowi, Sofoklesowi lub Eurypidesowi, a to jedyna trójka, którą na równi ze Shakes-

---

[1]) Tak samo ma się rzecz z Hamletem; tylko, że tu pierwotwór doszedł do naszych czasów.

pearem stawiają, zrobić z Egista skrytobójcy Agemenona bohatera tragedyi.

Wahania się Makbeta, połyski sumienia, lament nad spełnionym czynem, wszystko to znika w obec faktu, że zdolen był takiej zbrodni, co więcej zdolen po dokonaniu onej popełnić niebawem drugą, a to ze zimną krwią i obrachowaniem, na śpiących królewskich sługach. W owych lepszych chwilach, *nie Makbet* ale Shakespear przez usta jego przemawia, zamierzając tem złagodzić odrazę, którą tenże wzbudza, bo kto z rozrzewnieniem takiem wysławia cnoty Dunkana, ten go we własnym domu skrytobójczo nie zamorduje.

Gminna nikczemność zaś idzie pospołu z ograniczeniem umysłowem i dzikiem samolubstwem. W tym samym monologu znajduje się następujący ustęp, gdzie znowu nie Shakespeare przez usta Makbeta, ale sam Makbet przemawia, raczej jakim jest wyjawia „gdyby, mówi, ze spełnieniem czynu wszystko się kończyło, natenczas warto spełnić go bez zwłoki. Gdyby mord wszystkie skutki mordu ujmował w sidła swoje, z jednym uderzeniem sztyletu kończyło się wszystko na tej ziemi, w tym razie ryzykowałbym przyszłe życie. Ale czyny takie znajdują już na tej ziemi sędziów, krew przelana zsyła kary na tego co ją przelał“ i t. d.

To znaczy: Jedno co mnie wstrzymuje jest obawa szubienicy, w razie gdy zamach się nie uda. A gdy żona mu przedstawia, że zamach udać się musi, bo ona upoi sługi królewskie, a potem winę mordu na nich zwali, Makbet uspokojony w uniesieniu mówi: „żono ródź mi samych synów.“

Po tej rażącej scenie, która zamyka akt pierwszy, tem milej odbija monolog Makbeta w drugim akcie, gdy idzie zabić króla. Tu poeta spiął się do najszczytniejszych wyżyn liryzmu. Nikt nie zdołał dotąd złowrogie usposobienie, które w chwili spełnienia wielkiej zbrodni przenika nie tylko wnętrze duszy, ale nawet odbija się w przyrodzie, uwidocznić w barwach przerażających w tym stopniu prawdziwością swoją. Do tego monolog ten stoi w takiej spójni z poprzedzającą akcyą, iż wierzy się jako Makbet tu przemawia. Ale nie ten Makbet co to chce mordu, i przytem się obawia, by na tem nie szko-

dował, lecz nakoniec ulega namowom potwornej kobiety. Przeciwnie, ów Makbet staje nam przed oczyma, co rozmawiał z nadziemskiemi jestestwami, które wciągnęły go w koło czarów i tron mu zwiastowały. Zjawisko owe wprowadziło go w stan gorączkowy. Krwawy czyn, do którego przystępuje, odbywa się pierwej cały w duszy jego. Prócz sztyletu, którym opatrzył się, widzi on w powietrzu drugi, z rękojeścią ku niemu zwróconą. Chce go uchwycić, nie może, lecz widzi krople krwi na nim. Sztylet ten myślny, jakoby wódz naczelny drogę mu wskazuje. Widzi on czarownice dobrze mu znane, gdy przed bladą Hekatą ofiary palą. Przyroda we śnie pogrążona, ale sen ten złe mary przerywają. Zgłodniały mord ockniony wyciem wilka zbliża się cichym krokiem gdyby widmo.

Urok słów poety jest tu tak silnym, że wydaje się jakoby słyszano kroki Makbeta idącego cichaczem do królewskiej komnaty.

Ale krótka to chwila, w której dano nam cieszyć się tą wzniosłą poezyą. Makbet zabija Dunkana, (akt II, scena 2) a gdy donosi o tem żonie, nie tętni by jedna tragiczna struna w jękach jego. Przeciwnie, są to tylko jęki, głupoty, małoduszności i samolubstwa. Gdy wstąpił w komnatę Dunkana, jeden ze służby królewskich krzyknął we śnie „strzeż nas Boże.“ Na to drugi, *amen*, jakby oba widzieli, jak on podnosi swe ręce katowskie. Ale ja (mówi) nie zdołałem wymówić amen.

„Czemuż *gdy tak potrzebowałem Boskiej opieki*, amen utkwił mi w gardle.“

Tu już Makbet stoi na równi z pierwszym lepszym zbójcą włoskiej ziemi, co napada podróżnych, odmawiając przy tem różaniec; tylko, że ten mordując ofiarę swoją nie dziwowałby się czemu amen utkwiło mu w gardle. I następuje tu z ust skrytobójcy śliczna apoteoza snu jakby żywcem wzięta z Hesioda lub Lukrecyusza. „Zdawało mi się, jakobym słyszał głos wołający: nie ma już snu, Makbet zabił sen, sen niewinny, sen co rozwija węzeł trosk ciężkich, sen ową śmierć każdego dnia życia, balsam na rany, kąpiel zmywająca wszystkie ziemskie znoje, najpożywniejszy pokarm w biesiadzie życia.“ To wszystko bardzo piękne. Ale nie wyrzuty sumienia i żal prawdziwy odbijają się w tych słowach. Makbet gryzie

się tylko myślą, że już spokojnego snu mieć nie będzie, i to kto, on *Tan* Glamisu, *Tan* Kawdoru nakoniec Makbet przyszły król... Gdy zapukano do wrót zamkowych, pyta on się naiwnie, „co się ze mną stało, że najmniejszy szelest mnie przestrasza.“ Wzdryga się wrócić do komnaty, gdzie leżał trup króla, aby tam złożyć noże skrwawione, które świadczyć miały jako to słudzy królewscy mord popełnili, i które noże on w zapomnieniu wyniósł, ale wzdryga się z małoduszności, która go chwilowo opanowała, jak żona mu to słusznie wymawia, bo przecież po wykryciu zbrodni wchodzi do komnaty tej. Małoduszności chwilowej winniśmy także jedyne ludzkie i piękne słowa, które wymówił słysząc powtórne pukanie „oby pukanie to mogło obudzić Dunkana.“

Cała ta scena jest ze względu na sceniczne wrażenie genialnie ułożoną i aż do najmniejszych szczegółów mistrzowsko wykończoną. Ale w istocie jest to tylko illustracya mordu, jaki się we wszech czasach wydarza na podróżnych nocujących w odosobnionych zajezdnych domach. Co się zaś dalszych następstw tyczy, autor przekroczył tu wszelkie granice prawdopodobieństwa.

Morderstwo ze świtem wyszło na jaw (akt II scena 3). Ruch wielki w zamku.

Makbet i należący do świty królewskiej Lenox udają się pierwsi na miejsce popełnionej zbrodni. Makbet zaraz na wstępie zabija sługi królewskie, którzy pomimo ranku, wrzawy i dzwonu na gwałt bijącego, spali jeszcze obok królewskiego trupa. Lenox nie wstrzymuje go, przeciwnie, daje mu wiarę gdy tenże zabitych jako morderców króla piętnuje i donosi o tem zgromadzonym panom, równie jak on łatwowiernym. A więc słudzy mieliby w drodze w obcym domu bez najmniejszego powodu zabić pana swego, a potem krwią zbroczeni z narzędziami mordu przy boku, położyć się w obec trupa i usnąć snem sprawiedliwych.

Nadchodzą synowie królewscy Donalbain i Malkolm następca tronu. Na zgromadzonych lennikach ciężył teraz obowiązek ogłoszenia Malkolma królem i złożenia mu hołdu wierności, A oni wszyscy milczą, nawet Banko krewny królewskiego domu, który przy pierwszem spotkaniu z czarownicami już podejrzywał Makbeta, później posądzał go o morderstwo króla

i którego przed samym mordem Makbet uczynić chciał uczestnikiem skrytych zamiarów swoich (akt III scena 1). Synowie królewscy pomiarkowali się wprawdzie, że znajdują się w jaskini skrytobójców, ale nie podnoszą głosu wobec krwi ojcowskiej świeżo przelanej, lecz ratują się ucieczką z wielkim zadowoleniem Makbeta, który teraz na nich całą winę składa. Skrytobójca i którego miano za takiego, zostaje bez śladu oporu ogłoszony i ukoronowany królem (akt II sceny 3 i 4 akt III scena 1).

Tu już poważna tragedya ustaje. Akcya takowa wkracza w zakres teatru maryonetek lub cyrków końskich.

III.

Makbet więc jest królem. Wróżba czarownic spełniła się na nim, ale i dni Banka są już odtąd policzone.

Dwa mordy Makbetowi utorowały drogę do tronu, a on dobrze był świadom, że co zbrodnia zaczęła to zbrodnia umacnia. Przy tem chciałby w spokoju kiedyś cieszyć się dobytkiem. A tu stoi mu w drodze Banko, któren go wskróś przejrzał, co nie chciał być mu wspólnikiem w złych jego zamysłach; Banko, którego potomkowie piastować mieli berło krwią niewinnych przez niego kupione, a syn żyjący pomścić mógł mord króla Dunkana, Banko nakoniec, którego szczytną znakomitość Makbet nawet uznać musi (akt III scena 1) i też go nienawidzi, ile tylko nikczemnik wszelką znakomitość nienawidzić może. Przeto logika, że tak powiem katechizm morderców nakazywały zagładę Banka i wspólników jego. [1]) Ale jako król miał wiele dróg przed sobą, aby ubezwładnić lennika swojego. On powtórnie wybiera skrytobójstwo i tą podłą zbrodnią rozpoczyna panowanie swoje. Szczuje na Banka najemnych zbiegów, którzy go zabijają w pobliżu rezydencyi królewskiej, dokąd udawał się jako gość proszony na bankiet. Nigdy i nigdzie nie odważono się majestatowi królewskiemu w tym stopniu ubliżyć jak w scenie I 3go aktu, w któ-

---

[1]) Według kroniki Helinsheda Banko był wspólnikiem Makbeta w zabójstwie króla i toby najlepiej motywowało postanowienie Makbeta, zgładzenia go ze świata.

rej staje umowa Makbeta ze zbójcami. Tu król schlebia, nawet dworuje zbójcom, tłumaczy im, że zawsze ich bronił i zasłaniał, kiedy przeciwnie Banko wszelkie im stawiał przeszkody w sprawowaniu ich rzemiosła, tak że dzięki jemu stali się żebrakami. Na domiar hańby przyrzeka im, że zawsze niemi opiekować się będzie, byleby Banka zgładzili. A gdy uiścili się mordercy z przyrzeczenia swojego, jeden z nich krwią świeżą zbryzgany, staje podczas uczty przed królem, by mu zdać sprawę, za co król uradowany zaszczyca go mianem najlepszego z rzezimieszków (akt III scena 4).

Ale zdaje się, że poeta w tym dramacie położył sobie zadanie wzbudzać na przemian raz odrazę raz uniesienie. I tu więc po scenie ze zbójcami, wprowadza on wśród królewskiej uczty zamordowanego Banka, który zajmuje przy stole zatrzymane dla niego miejsce. Zmarłych często wprowadzano na scenę; ale wywrzeć tem nie tylko tragiczne lecz i psychologiczne wrażenie; tego dokonali do dziś dnia tylko Eshylos i Shakespeare. W naszym dramacie przedewszystkiem, jeżeli takie zjawisko niema zejść do porządku straszydeł (co Niemcy *Spuck* zowią), Makbet musi w danej chwili być umysłowo i fizycznie w takim usposobieniu, iż zdawać mu się może, że Banko z jego rozkazu zabity, stanął żywy przed nim. Dalej on sam go ujrzeć winien, nie zaś inni obecni [1]). Z drugiej strony zadaniem jest autora, we widzu lub czytelniku wzbudzić przekonanie, że w pewnych chwilach płód rozgorzałej wyobraźni, może chwilowo być wziętym za rzeczywistość.

Temu podwójnemu zadaniu, Shakespeare podołał znakomicie. Zauważano już nie raz do jakiego stopnia Makbet pomimo krwiożerczej swej nikczemności był nerwowym, czułym na wszystko i do dumań skłonnym. Każden ruch w przyrodzeniu znajduje odpowiedni odgłos w duszy jego, a przeciwnie wszelka czynność jego zanim na jaw wystąpi tamże pierwej się odbywa. Świadczy o tem monolog przed mordem Dunkana, toż samo rozmyślania, gdy zbliża się noc, w której Banko ma być zabitym. „Już (mówi) wieczór przed nocą ustępuje. Wrona

[1]) Dla tego też Makbet w tym względzie wyżej od Hamleta stoi, gdzie duch zmarłego króla zanim ukaże się synowi nocne spacery odprawia przed oczyma dworzan.

leci do rodzinnego lasu. Dobre duchy idą na spoczynek, a złe kroczą za rabunkiem" i t. d.

Od chwili jak wstąpił na tron, Banko wyłącznie go zajmuje: „Bojaźń przed Bankiem tkwi we mnie głęboko... Nikogo bardziej nieobawiam się jak jego... Zdrów nie będę póki żyje... Każda chwila życia jego skróca mój żywot." Tak brzmią jego utyskiwania (akt III scena 1) Bojaźń owa do tego stopnia go opanowała, że w tej chwili, kiedy układa się ze zbójcami o mord Banka i żonę o swem postanowieniu uwiadamia, (akt III scena 2) „zanim (mówi) niedoperz zakończy samotny swój polot .. spełnionym będzie czyn krwawy," napomina ją, aby przy uczcie była bardzo przyjacielską dla Banka [1]). A gdy donoszą mu, że Banko zabity, pyta się czy pewnie. Na to zbój

---

[1]) Zachodzi pytanie, czyli i w tę scenę nie zawieruszyły się ustępy z dawniejszego dramatu (o czem wyżej była mowa) i które nie są tu na swem miejscu.

I tak słowa Makbeta do żony: „*gadzina* jest ranną ale nie zgładzoną. Żyje ona i zbrodnicze plany nasze znajdą w niej zaporę," — mogą tylko stosować się do zabitego Banka, którego zaraz potem (scena 4) Makbet nazywa *gadziną* i do zbiegłego syna jego Fleansa; uwydatniają to jeszcze dobitniej dalsze słowa Makbeta. Ale o zabiciu i ucieczce nie wiedział jeszcze natenczas Makbet, bo mu zbójcy dopiero później (scena 4) o tem donieśli, a on sam po słowach powyższych z żalem mówi, że „*Banko i Fleans żyją.*" Podobne sprzeczności napotykamy i dalej, chociaż mniej rażące, budzą one domysł dwóch tekstów pomięszanych między sobą. W scenie 4 n. p. donosi zbójca: „Fleans nam uciekł," na co Makbet: „A więc i gorączka moja znowu się ozwała. Gdyby nie to, byłbym zdrów, jak marmur twardy, jak skała silny, swobodny jak powietrze co nas owiewa. A teraz skrępowany, trwogi i zgryzoty stałem się igrzyskiem. Lecz Banko przecież zabity?

Zbójca. „Tak jest, leży w rowie; okryty dwudziestoma ranami. Każda z nich śmiertelna."

Makbet. „Dzięki tobie. Stara gadzina zgnieciona. Robaczek zbiegły kiedyś jadem swoim szkodzić nam będzie. Ale teraz nie ma jeszcze zębów."

Jakże tu pogodzić ową ufność i zadowolenie z powyższym jękiem trwogi? A jak to się dzieje że Makbet nie troszczy się bynajmniej o zbiegłego następcę tronu Malkoma?

odpowiada, że mu dwadzieścia ran zadał, wszystkie śmiertelne. Było to kiedy Makbet zasiąść miał do uczty i wyraża zdziwienie, że Banka jeszcze nie ma u stołu.

Jest więc możliwem, że w chwili gdy wyrzekł te słowa, wyobraźnia jego rozogniona świeżym mordem i ucieczką Fleansa zoczyła Banka skrwawionego i siedzącego na miejscu nań przeznaczonem, i że on natenczas wydał ze siebie krzyk ów srogo wzniosły „moje miejsce zajęte.“ Ale na tem powinien był poeta poprzestać. Złudzenie byłoby zupełnem, a wrażenie ogromne. Inaczej postąpił. Widmo na nieszczęście zajmuje zadługo miejsce u stołu, podaje przy tem Makbetowi sposobność robienia uwag nad nowym tem zwyczajem, że zamordowani z dwudziestoma ranami śmiertelnemi na głowie, powstają z grobów, uczestniczą w bankietach, tam nawet miejsca drugich zajmują, tak, że pozostaje tylko grzebać teraz zmarłych we wnętrznościach sępów. Równie i żona Makbeta ma czas go karcić za owe przywidzenia. Znika widmo wprawdzie, ale wraca po chwili, gdy wnoszą zdrowie Banka.

Widocznem więc, że to nie jest chwilowy płód rozgorzałej wyobraźni, ale rzeczywisty Banko, którego z tamtego świata autor wywołuje, przeto straszydło i ustaje natenczas tragiczne wrażenie, do którego on nas po mistrzowsku przysposobił [1].

Jeżeli zaś kto zarzuci, że Shakespeare zamierzał uchylić zasłonę z pod sumienia Makbeta i wskazać stan tegoż po mordzie Banka, odpowiedź na to nie trudna. Makbet, który przy wykryciu zabójstwa Dunkana i gdy zamordował sługi jego tyle spokoju, przytomności umysłu i siły nad sobą pokazał, nie mógł być na raz ze wszystkich tych przymiotów wyzutym i jako król wobec lenników swoich do tego stopnia równowagę stracić jak to ma miejsce w tej scenie. Nie da się także wytłumaczyć, dlaczego zamordowanie Banka więcejby miało na sumieniu mu ciężyć, niż poprzedzające zbrodnie. Wszakże w tej samej scenie

---

[1]) Że taka była myśl autora, dowodzi między innemi i to, że przy każdem ukazaniu się Banka, zawsze upływa chwila nim go zoczy Makbet. Musiałoby zaś to jednocześnie nastąpić, w razie gdyby to było tylko przywidzeniem Makbeta.

zmierza on już do zamordowania Makdufa. Przy takiem usposobieniu, wobec takiej przeszłości mógł on w danej chwili mniemać, że Banka ze świeżemi ranami widzi przed sobą. Ale ani drugi raz go ujrzy, ani nadal ten z taką zgrozą przed obcemi rozwodzić się będzie.

IV.

Druga część dramatu zacząwszy od wystąpienia królowej piekła „Hekaty“ (akt III scena 5), jest niższej wartości od pierwszej.

Autor trzyma się i tu wiernie kroniki Holinsheda, ale obok objawień duchów, wyrocznię delficką przypominających i także z tej kroniki wziętych, dusi nas poeta wyziewami piekielnemi, co z namaszczeniem i powagą, które stanowią cechę każdej trajedyi stoi w rażącej sprzeczności.

Hekate wychodzi na jaw ze sfer piekielnych, aby znane nam trzy czarownice gromić, że więcej Makbetowi niż piekłu służą. Niewidać zaś z dalszego przebiegu akcyi, żeby ona sprawie lepszy dała obrót. O tem zaś już mówiono wyżej. Ale przyznać należy, że nie szczędziła pracy i zachodu, aby jak obwieszcza „Makbet czarami odurzony, szybkim krokiem do zguby swej dążył.“

Zaledwie Makbet wstąpił do jaskini czarownic (akt IV scena 1) aby dowiedzieć się co dalej go czeka, a natychmiast czarownice cały aparat kotła piekielnego z parą podwojoną w ruch puszczają. Duchy wychodzą z wnętrza ziemi, by stosownie do woli Hekaty, objawieniami i przestrogami wzbudzić w nim ufność złudną w gwiazdę swoją. Napominają go by był „odważnym, twardym i krwiożerczym“ napomnienie zbyteczne, bo on tem był i być nie przestał, jak świadczą opisy stanu Szkocyi z ust Makdufa i innych (akt IV scena 3).

Ukazuje mu się Banko z potomstwem swojem, wszyscy ozdobieni koronami królewskiemi. Ale był to właściwie tryumf dla czarownic, bo ta wróżba ich dała mu pohop do mordu Banka, jak pokazuje się bezużytecznego. One też z urąganiem wskazują Makbetowi te korony, wyprawią z radości ta-

niec *wciągnąwszy go w koło swoje* i znikają wśród odgłosu muzyki.

Na Makbecie zaś owa bachanalia robi małe wrażenie, ani śladu opamiętania nie zostawia po sobie. Mówi gdy znikła z przed oczów jego, że biada temu kto ufa wróżbom władz piekielnych. A ufa on im przecież, gdy zbliża się ostateczna katastrofa.

Jednego tylko ducha, przestroga aby Makbet bał się Makdufa trafia do celu. Wprawdzie Makbet zamierzał już dawno tegoż zgładzić (akt III, scena 4 i 6), ale gdy tenże zbiegł do Anglii, on w krwiożerczej zemście żonę i syna zamordować kazał (akt IV 2 scena). I tak kocioł piekielny nie napróżno wypuścił na niego najsilniejsze wyziewy.

Wobec tej duszącej atmosfery nie podobna zataić następującej uwagi, która w sam rdzeń dramatu sięga.

Najcelniejsi krytycy analizując istotę i zbrodnię Makbeta, czynili to w przypuszczeniu, że pomimo zjawisk i wróżb władz piekielnych, które się nim tak zajmowały, *on panem był swojej woli*. Samowola bowiem ta, jest kamieniem węgielnym każdej trajedyi, w jej braku wszelka analiza staje się zbyteczną. Cóż zaś da się odpowiedzieć, gdy kto z tekstem w ręku na to się powoła, że czarownice zanim Makbet ukazał się, już go miały na oku, zanim otworzyły usta by go powitać, wciągnęły go w *zaczarowane koło*, że to samo powtórzyło się gdy wystąpiła Hekate królowa piekła, co jego zgubę poprzysięgła, że te zjawiska, były to nadludzkie tajemnicze jestestwa, których wpływ i władza nie dadzą się ludzkim rozumem zmierzyć, że one wciągnąwszy go w swoje koło, odurzyły go swądem piekielnym do tego stopnia, że *bezwiednie* do zguby swej dążył.

Gdy więc popadł kto w takie sidła możnaż mówić, że jest panem swojej woli?

Że Makbet występuje w dramacie jakoby miał swą wolę, że waha się, rozumuje, odgaduje, kto jego przeciwnikiem, wszystko to za jego samowolą jeszcze nie mówi. Człeka oszołomionego wyziewami piekielnemi, przeto bezmyślnego, niemożna jako bohatera trajedyi wprowadzać na scenę. Makbet przeto nie jest panem woli swojej, ale *mniema że nim jest*, — jak wielu waryatów przekonanych że są przy rozumie.

Niepodobna równie przypuścić, aby najcelniejszy dramaturg z czasów chrześciańskich, li dla efektu scenicznego i zabawy widzów, świat czarów w dramat swój wcielał. Przeto brał on to wszysąko za prawdę, bo tak to brali i w czary wierzyli jego współcześni. Natenczas sztuka Makbet z opętanym swym bohaterem przestaje być trajedyą, jest tylko powieścią srogiej treści, przysposobiona do sceny z mistrzowskim artyzmem i zawierająca piękności pierwszorzędne.

Są tu więc dwa sprzeczne sobie stanowiska, z których postać Makbeta nam się przedstawia. Po której stronie jest prawda niech bieglejsi niż ja orzekną.

Schyłek Makbeta, ostatnie jego chwile wyżej już omówione były. Analiza szczegółowa czynności jego w dwóch ostatnich aktach jest niemożliwą, bo on sam nie wie czego chcieć ma. W jednej i tej samej chwili postanawia zostawić przy życiu Makdufa, a potem go zgładzić (akt I scena 1). Niechce słyszeć więcej o duchach, odtąd co tylko zamierzy natychmiast w czyn zamienić się musi (j. w.), a pomimo to w ostatnich chwilach ufa ślepo objawieniom duchów piekielnych (akt V, scena 3). Wzbrania się walczyć z Makdufem, gdy dowiaduje się, że nie matka tegoż wydała na świat, lecz że z jej wnętrzności przed czasem wydobytym został (!!), a potem przecież idzie z nim w zapasy (akt V, scena 7). Mówi że życie jest mu ciężarem, że to bajka którą waryat opowiada: pełna wrzasku na zewnątrz a wewnątrz próżna, a znowu niechce bawić się w głupiego rzymianina, i sobie zadać cios śmiertelny, lepiej drugich krew dalej przelewać (akt V, scena 5, i 7).

Jakże dziwnie obok tych sprzeczności i owej atmosfery piekielnej, odbijają piękne jego słowa (akt V, scena 3), wyrzeczone do lekarza królowej, z których wydobywa się coś co na skruchę wskazuje, „gdybyś to potrafił umysł wzburzony uspokoić, wyrwać z pamięci smutek weń wkorzeniony, mózg rozprężony uśmierzyć słodkiemi lekami, gorycz ze serca przepełnionego usunąć!“

V.

Makbet wszedł z władzami piekielnemi w stosunki tak ścisłe, że wątpliwość zawsze zachodzi, czyli on gdy popełniał tyle zbrodni panem był swej woli, lub też władz owych niewolnikiem. Do Lady Makbet to się nie stosuje. Złe duchy pod cielesną postacią czarownic do niej nie przystąpiły. Ona w pełni woli swej i samowiedzy, uchwyca z niewymowną żarliwością pierwszą nadarzającą się jej sposobność popełnienia skrytobójstwa na królu i gościu swoim; szydzi przytem z męża że się waha i różnym przywidzeniom oddaje. Postanowienie zaś raptowne, jak lot błyskawicy, zgładzenia Dunkana, gdy ją dochodzi wiadomość, że on u niej gościem będzie, nie ma bynajmniej cechy traicznej lecz jest tylko *potworny czynem*. Może to za chlubę Shakespearowi poczytać należy, że okropny jej monolog w tej scenie nie jest jego pomysłem pierwotnym, ale wyjętym z trajedyi włoskiej niejakiego Grota pod tytułem „Dalila,“ i że Shakespeare tylko co do stylu błyskotki orginału zamienił w szczere złoto. W orginale jest to królowa Bakteryi Berenice, która aby zemścić się na mężu niewiernym, postanawia nałożnicę tegoż wraz z dziećmi z nim spłodzonemi pomordować, i ciała zabitych królowi w potrawie przedłożyć [1]). Ale do tych wszystkich okropności, pchała sprawczynię dzika i gwałtowna namiętność. Żona Makbeta zaś wprawdzie żarliwie, bo ofiara zbliżała się, ale w gruncie z wielką rozwagą, jak dowodzą przedsięwzięte jej kroki przystępuje do popełnienia skrytobojstwa, dla tego też wezwania jej do duchów opiekuńczych mordu, aby ją wyzuli z kobiecości, i od stóp do głowy srogością przepełnili, są całkowicie zbyteczne. Żona dzielnego wodza, bo nim

---

[1]) Obacz o tem dzieło Kleina „Geschichte des italienischen Drama, tom II, str. 427.“ Oto niektore ustępy z monologu Berenicy: „nie usypiaj na chwilę, wściekłości moja, ale jak burza rozhukana pędź pełnemi falami. Rzucaj iskry, piecz, kipij. Odważ się na wielki czyn Berenico, nie cofaj się przed największą zgrozą, Oczy moje wyschnijcie, niech stanę się smokiem, gadziną kamieniem, niech oddycham nie czem innem jak zawiścią i zemstą.“

był Makbet, pierwszego lennika państwa, krewnego króla, stoi tu na wysokości żony pierwszego lepszego bandyty, która spodziewa się dobrgo połowu, i na ofiarę swą czycha. Co więcej. Gwałtowne jej nalegania na męża, aby wielkie dzieło (bo tak mianuje mord zamierzony) jej rękom poruczył, a gdy on waha się z wykończoną kokieteryą, jakby tu szło o ubiór kosztowny, który mąż wzbrania się nabyć dla żony, oświadcza mu że *„wie teraz o ile na miłość jego rachować może,* okropne słowa jej „jako gotową jest dziecku, które ma przy piersiach, w chwili kiedy się do niej uśmiecha, mózg roztrzaskać, spokojność z jaką rozwija przed mężem cały plan zamachu (akt I, scena 7), krwawa jej drwinka po czynie spełnionym „był to widok okropny“ mówi Makbet, na co ona „co za myśl szalona nazwać to okropnym widokiem, *żarcik* po słowach Makbeta, „słudzy zmówili pacierz swój wieczorny, a potem usnęli,“ „po dwóch na podłodze?“ pyta się lady, napomina męża że w podobne dumania nie powinien się zapuszczać, (akt II, scena 2), wszystko to dowodzi nie tylko wyzucie się z kobiecości, ale brak całkowity cech człowieczeństwa. Jedyne słowa, że byłaby sama mord dokonała, gdyby nie to, że Dunkan śpiący ojca jej przypominał, wskazuje, że nie zwierze drapieżne ma się przed sobą.

Odraza, którą taki potwór kobiety wzbudzać musi, wzmaga się na myśl, że lady jest jeszcze młodą, a nią jest, bo Makbet wyraża nadzieję, że mu jeszcze spłodzi synów podobnych do niej, a i król Dunkan mianuje ją „piękną swą gosposią.“

W dalszym ciągu akcyi nie dojrzeć w niej bodaj iskry skruchy lub chwilowego wzruszenia. Bo jużci za takowe brać niepodobna zemdlenie jej przy wykryciu mordu. Mogło to być udanem, a o to ją słusznie posądzać można, lub też chwilowa słabość po nocy bezsennej i wobec obawy, że winnych zbrodni natychmiast wykryją.

Marzeniem jej było więcej niż korona blask do niej przywiązany, a gdy ten blask zbrodnią okupiła, jest dość ograniczoną (które ograniczenie cechuje również Makbeta) aby się łudzić nadzieją, że teraz spokojnie cieszyć się nim będzie. „Wielkie dzieło (t. j. skrytobójstwo), które na przyszłość dnie i noce nasze majestatem królewskim opromieniać będzie“ (I akt, scena 5ta).

Smutek jej jest też wielki, gdy patrzy na męża jak niepokój go trawi. „Zyskalismy, mówi, tyle co nic, jeżeli doszedłszy do celu, zbywa nam na spokoju i szczęściu!“ Nieoceniona owa dobroduszność maluje się jeszcze dobitniej w napomnieniu skierowanem do męża: „Czemuż tak samotny stoisz pogrążony w myślach o nieboszczyku, które by przecież wraz z nim pogrzebać należało. Co się stało, to się stało. Czego zmienić nie można, o tem myśleć nie warto.“ (akt III, scena 2ga). Są to komunały któremi zbrodniarze najniższej warstwy pocieszać się zwykli. Ona nakoniec poucza nas, że nie zna wyrzutów sumienia, i że mord Dunkana bynajmniej snu jej nie niepokoi. Bo gdy ten zaczyna domyślać się, że mu nie pozostaje jak tylko coraz dalej w krwi broczyć („tak dalece mówi zaszedłem już na krwawej drodze zbrodni, że nawrót jest mi równie trudnym jak dalsza droga“) żona mu na to w tonie idylicznym odpowiada „tobie brakuje tylko snu, owego pokarmu wszech istot“ (akt III, scena 4ta).

Przychodzi zaś i na nią chwila nie skruchy, nie upamiętania, ale smutku głębokiego, bo pochodził z oczekiwań zawiedzionych. A to gdy blask korony coraz więcej bledniał spokój i szczęście tak przez nią pożądane nie stawiają się przeciwnie złowroga pustynia rozlega się około królewskiej pary. Natenczas w osamotnieniu przesuwają się jej przed oczyma obrazy srogiej przeszłości. „Królowa, mówi lekarz, nie jest chorą lecz dręczoną nieustannemi przywidzeniami“ (akt V, scena 4ta) i zwolna rozkład jej organizmu następuje. Ale umiera w łóżku śmiercią naturalną na rękach służebnic swoich i Malkolm na końcu dramatu podaje tylko jako wieść, że ona sobie śmierć zadała (akt V, scena 5ta i 7ma). Z jakiego powodu? Wszakże Makbet któren się jej ze wszystkiego zwierzał, udzielił jej niezawodnie i tę wróżbę, że ręka ludzka nie obali tronu, który był dla niej wszystkiem.

Należy się jeszcze słowo odpowiedzi, tym krytykom i komentatorom, pomiędzy innymi Tieckowi i Schleglowi, i innym aż

do najnowszych czasów, którzy podjęli się bardzo trudnego zadania wynajdywać dobre strony w Lady Makbet i tem niejako ją uniewinniać. Pomysł że ona z miłości do męża aby mu drogę do tronu utorować sprawczynią była mordu Dunkana, nie zasługuje nawet na odpowiedź. Ale ci panowie przytaczają na korzyść jej że ona na tem poprzestała i w mordach Banka oraz żony i dzieci Makdufa nie miała najmniejszego udziału. Bez wątpienia nie popełniła ona sama tych morderstw, ani też dowieść się da, że ona męża do popełnienia takowych skłoniła, jak to miało miejsce ze skrytobójstwem króla. Udział jej w tych zbrodniach byłby nawet zbytecznym, gdyż małżonek dopuściwszy się jednej, tak się rozochocił, że jak sam wyznał, nie pozostaje mu jak tylko brnąć coraz dalej we krwi. I to można przypuścić, że obawiając się aby ów nadmiar okropności nie zachwiał ich tronu, pragnęła, raz dopiąwszy celu, aby ustały.

Ale wiedziała o mordzie zamierzonym Banka i rodziny Makdufa, a nie zdobyła się na jednę przestrogę tem mniej naganę. Wiedziała bo mówi *przez sen* „Tan Fifu (Makduf) miał żonę, gdzież ona jest". A dalej „Banko pogrzebany z grobu wyjść nie może". Prócz tego co do Banka wynurza się jej mąż ze swych zamiarów w sposób tak jasny (akt III scena 2ga), że Lady musi domyślić się o co rzecz idzie. I tak:

MAKBET.

„Serce moje jadem przepełnione. Wiesz, Banko i Fleans żyją".

LADY MAKBET.

„Ale nieśmiertelnymi nie są".

MAKBET.

„To też mnie pociesza; *można ich porazić.* Bądź więc *wesołego* usposobienia. Zanim niedoperz odbędzie lot swój samotny, dokonanem będzie coś okropnego".

LADY MAKBET.

„Cóż takiego?"

Makbet.

„Bądź nieświadomą tego, *póki nie przyklaśniesz dokonanemu* dziełu. *Cierpliwości tylko*. Co zbrodnia poczęła zbrodnia wzmocnić musi. *Spuść się zupełnie na mnie*“.

Tyle o Lady Makbet na jawie.

Ale Shakespeare (akt V scena 1sza) wprowadza ją na widok, kiedy w gorączkowym śnie, błąka się po królewskich pokojach, i wyjawia przytem wszystko co na sercu jej cięży. I temu kilka uwag poświęcić musimy, gdyż krytycy co ją bronić usiłują, przytaczają to na dowód tkliwego jej sumienia.

Shakespeare położył sobie widocznie za zadanie nietylko namiętności które duszą miotają, ale i inne psychiczne, atoli anormalne objawy uwidocznić i w dramaturgię swoją wcielić. Pomiędzy temi tak zwany lunatyzm musiał mieć wielką dla niego ponętę z dwojakich powodów. Przedewszystkiem wobec niskiego stopnia, na którym stała natenczas lekarska sztuka, mianowicie psychiatria, jasnowidzenie owe we śnie miało w sobie coś tajemniczego, zagadkowego, a w tych sferach najchętniej poeta nasz gościł. Powtóre uwidomienie takowego stanu na scenie, jeżeli wielki mistrz do tego rękę przyłoży, musi zrobić na widzach wielkie wrażenie. I tak się to sprawdziło aż do naszych czasów: scena owa jest zawsze polem popisu dla pierwszych artystek. Pominąwszy to, nie ma pod względem dramatycznym i psychicznym wielkiego znaczenia.

Dramat przedewszystkiem wymaga akcyi, przeto ludzi działających samowiednie, a nie pogrążonych we śnie.

Mówiliśmy wyżej że bezwątpienia królowę osamotnioną krwawe mary przeszłości ścigać musiały. Jeżeli więc poeta chciał odsłonić wnętrze duszy jej, winien był wystawić ją nie spiącą ale gdy czuwa tak jak to uczynił w Hamlecie, we wiekopomnej owej scenie gdzie król winowajca modlić się zamierza a nie może. Wiadomo przytem ile świat snów jest sferą odrębną, obcą rzeczywistemu światu i z nim styczności niemającą. Co komu cięży na umyśle, nie odbija się we śnie, a jeżeli wyjątkowo odbija się, natenczas dzieje się to tak blado, urywkowo, i w pomieszaniu niedorzecznym z innemi widmami, że loicznych

wniosków z tego tworzyć niepodobna. Sam Shakespeare uważa ten sen chodzący jako chorobę, a nie jako wynik obciążonego sumienia, bo w tej scenie mówi doktor „znałem ludzi co we śnie chodzili, a przecież z Bogiem w sercu pobożnie zmarli“.

Nie myślimy zaprzeczyć, że królowa we śnie mogła niejedno wyrzec co przypominało zbrodnie przez nią popełnione, ale żeby miała w tem stanie robić zeznania tak wyczerpujące, jak sędzia inkwizycyjny takowe tylko życzyć sobie może, to sprzeciwia się i doświadczeniu i wszelkim prawidłom psychiatryi. Nieprawdopodobieństwo całej tej sceny więcej jeszcze razi, gdy spostrzeże się że Lady Makbet tu sama siebie ironizuje, i wdaje się nawet w głębokie morały.

I tak krytycy w tej scenie najwięcej nad tem unoszą się, że królowa ciągle ręce trze i myje, przytem mówi: „tu jest jeszcze plama. Precz przeklęta plamo, precz mówię ci. Jakże to ręce te nie będą nigdy czyste. Czuć z nich krew, wszystkie wonie Arabii nie przytłumią tego zapachu“.

Te słowa są sennym odgłosem rozmowy następującej małżonków, po popełnionym mordzie. (akt II scena 2ga).

Lady Makbet.

„Idź, przynieś wody i zmyj z rąk twoich brudne świadectwo dokonanego czynu“.

Makbet.

„Cóż za ręce? Ich widok oczy mi wypieka. Wszystkie fale oceanu nie zdołają zmyć z nich krwi“.

Lady Makbet.

„Patrz, ręce moje zakrwawione jak i twoje, trochę wody, a to zgładzi z nas ów czyn. *Jakże mało będzie na nas ciężyć*“.

Porównywując słowa te z powyższemi, to Lady Makbet dopiero *we śnie* przyszła do przekonania, że gdy raz ręka splamiła się mordem, plama ta nie może być zmytą.

Jeżeli po długiej tej rozprawie wolno ostatnie wypowiedzieć słowo o dramacie „Makbet“, tobym je w tych zamknął słowach:

Goethe wyrzekł, że koledze jego w poezyi, Szyllerowi, nic tak nie było przeciwnem jak *pospolitość*. Inaczej Shakespeare. Ten pewien geniuszu swego, nie schodził z drogi pospolitościom, przeciwnie, sięgał nawet w niższe jeszcze sfery, ujmował co tam napotkał we lwie swoje szpony, dawał temuż olbrzymie rozmiary, okraszał złotem pióra swego, opromieniał blaskiem świata czarów, w którym gościł jak u siebie. Pospolitość mimo to została pospolitością, ale dzięki jemu na scenie przybiera pozory wielkości.

Kaźmierz Stadnicki.

List z Wiednia[1]).

...Jak przewidywałem, wypadło mi kilka godzin we Wiedniu się zatrzymać, a że nieraz słyszałem od Ciebie, że pomiędzy wieloma wspaniałemi budowami, jakiemi w ostatnich czasach Wiedeń się wzbogacił, stanęło i kilka nowych kościołów, i że jeżeli o któremkolwiek z wielkich miast europejskich, to jeszcze najsprawiedliwiej o Wiedniu dzisiaj powiedziećby można, że kwitnie tam kościelna architektura, postanowiłem zużyć ten krótki czas na zwiedzenie ile się da z tych nowych domów Bożych.

Przywykły od lat paru do dokładnego zwiedzania przeważnie samych tylko najstarszych rzymskich bazylik, nie potrzebuję ci mówić jak byłem ciekawy, co za duch wionie na mnie z tych najnowszych świątyń; a że z góry na ten wypadek, jeśli się zatrzymam w Twoim kochanym Wiedeńku u mnie się zapewniłeś, że tem co zobaczę z Tobą się podzielę, piszę, choćbym się miał spóźnić na kolej, bo wiesz, że ci niczego odmówić nie umiem, i że lubię z Tobą gadać o sztuce.

Nie mogłem jednak tego przenieść na sobie, żeby wprzód nim się puszczę na przedmieścia szukać nowych Bogów, nie odwiedzić jednego z najdawniejszych moich znajomych, nie wstąpić do kościoła św. Szczepana, zwłaszcza, że dawni znajomi mają u mnie ten przywilej, że im się nigdy dokładnie nie przypatruję. Tym razem jednak po mszy św. ułożyłem sobie starannie go obejrzeć.

---

[1]) Pozwalamy sobie umieścić w piśmie naszem ten list prywatny, wcale do druku nie przeznaczony, bo mamy nadzieję, że niezwykła, a nikogo nie kompromitująca treść jego, w obec łaskawych czytelników, również jak i w obec piszącego, ten postępek nasz usprawiedliwi.

Kościół św. Szczepana zawsze z zewnątrz ogromnie mi się podoba, boki szczególnie niezrównanie piękne, piękniejsze niż w Kolonii, w Notre-Dame i Strasburgu, bo nie poprzerywane zbyt wystającemi szkarpami i łukami, które w tamtych kościołach wyglądają z daleka jak pajęcze nogi. Boki takie są jednak możliwe tylko przy trzech nawach jednako wysokich, w tak zwanych „Hallenkirchen,“ które wewnątrz nie mają może tak harmonijnej całości, jak gdy nawy boczne są o wiele niższe, a szczególnie nie mają tak pięknego oświecenia, bo nawa środkowa wtedy całe światło z naw bocznych a nie z góry odbiera. Zato w kościołach takich jakoś przestronno, dużo powietrza a mało murów, jest coś niezwykłego i świetnego bardzo. Zdziwiony byłem jednak ubóstwem wewnętrznych akcesoryi. Architektura sama bogata, oprócz linii głównych dużo ornamentów, posążków z gotyckiemi strzałkami i jakichś dodatków kamiennych, słupków, drzwi i kapliczek, bardzo obfity przedmiot studyów dla architekty i motywów mnóstwo, ale ołtarze, których tu bardzo wiele, tak dużo prawie jak w kościele Maryackim, ołtarze bez wyjątku prawie brzydkie. Jedna tylko kaplica Matki Boskiej, po lewej stronie wielkiego ołtarza zaraz przy wchodzie, ma niebrzydki tryptyk, ale czegoś takiego jak Wit-Stwosz krakowski lub krucyfiks kamienny, zupełnie tam nie ma. Ołtarze w najgorszym stylu przeszłego wieku, obrazy brzydkie przypominają wszystkie nasze mniejsze miasta, nagrobek jeden tylko rzeczywiście piękny na końcu bocznej nawy po prawej stronie, nawet stale, które mi kilkakrotnie chwaliłeś nie tak bardzo mi się podobały, starość ich zdaje mi się być przecie największą ich zaletą. Za to rozciekawiły mnie bardzo nowe kolorowe okna; już podczas mszy św. ile razy podniósłem oczy widziałem przed sobą śliczny obrazek, kazanie św. Pawła na niebieskiem tle czystego nieba, skomponowany bardzo spokojnie, prosto i wdzięcznie, nad nim w bardzo bogatej gotyckiej żółtej architekturze kilka postaci świętych, we środku Matka Boska na tronie siedząca *en face* nieco sztywnie z kolanami rozstawionemi szeroko, a na nich fałdującą się okrągło draperyą, przypominała najlepszą epokę religijnego malarstwa włoskiego. Patrząc na okna po kolei od lewej do prawej strony, doszedłem do dwóch bardzo interesujących, które znasz zapewne — jedno fundowane przez p. Zelinkę dla pamięci zmarłej żony, a drugie przez miasto na pamiątkę wyzdrowienia pana Zelinki. Na pierwszym oknie historya ś. Moniki i ś. Augustyna u dołu, na górze ś. Ambroży i ś. Monika prezentują Matce Boskiej siedzącej na tronie klęczącą panią Monikę Zelinczynę, wszystko w stylu nowego monachijskiego religijnego malarstwa o bardzo poprawnych liniach ale nudnych nieco, tylko pani Zelinczyna „eine züchtige Hausfrau“ w czarnej sukni z torbeczką i kluczykami u pasa, jest bez stylu. Drugie okno daje u dołu historyę ś. Andrzeja, a u góry ś. Andrzej prezentuje

Matce Boskiej klęczącego p. Andrzeja Zelinkę we fioletowym adamaszkowym szlafroku, lamowanym futrem i przepasanym fioletowym sznurem, regularnie na dwie kulki na brzuchu zawiązanym. To drugie okno jest w stylu staroniemieckim, więc postacie rozczochrane z wielkiemi głowami, a tak komicznie groźne, że nie można im się w nos nie śmiać, znakomicie jednak na starych obrazach wystudyowane. Matka Boska w ogromnej koronie, u góry bardzo szerokiej, postać wiotka z bardzo nachyloną posępną głową — śliczna, jak jednak wśród tego wygląda sam pan Zelinka odportretowany bardzo realistycznie, pomarszczony, codzienny dzisiejszy burmistrz, sam osądź, a przecie obok całej śmieszności jest w tem wszystkiem coś głębszego i rzewnego, a nawet pocieszającego, bo z pewnością nie jest jeszcze ostatecznie zepsuty lud, który jest w stanie kazać wypalić w kolorowoj szybie do kościoła, swego burmistrza w szlafroku.

Nie odrazu dowiedziałem się jak trafić do nowego kościoła gotyckiego Schmidta, którego fotografię oglądaliśmy w Krakowie, udałem się najprzód do omnibusów, a ci zapewniali mnie każdy z osobna, że mnie tam dowiozą, wolałem jednak spytać zakrystyana i ten mi wskazał, któremu mam się powierzyć. Przed Mariahilfstrasse jechałam koło ogromnych rusztowań jakiejś olbrzymiej budowy kamiennej w stylu renaissace, dowiedziałem się później, że to Muzeum. Kościół jest za rogatką na Fünfhaus, od omnibusu kawałek trzeba iść piechotą, jeszcze nie dokończony, więc nie byłem pewny czy mnie do środka puszczą, i zacząłem od dokładnego obejrzenia go z wierzchu. Kompozycya doskonała, w której ruch i spokój, gładkie ceglane płaszczyzny i ornamenta schodzą się w dziwnej harmonii, niczego za wiele, a gdyby czegoś było więcej, byłoby już nadto, znać tu ogromny rozum i znajomość rzeczy, długie niezmordowane studya i stanowczość dycezyi w wyborze tego co najlepsze, jest to doskonałe rozwiązanie nowego problemu kościoła gotyckiego z kopułą, za pomocą głęboko znanych i zrozumianych starych elementów, zdaje mi się jednak, że gienialnego tam nic nie ma. Człowiek obdarzony wybornym zmysłem krytycznym po bardzo długiej nauce i po licznych próbach, z ołówkiem i gumielastyką w ręku, musiał sie w końcu zdecydować na te kształty a nie na inne, bo te są najlepsze w danym wypadku. Zacząłem kościół oglądać z tyłu, gdzie cały wieniec kaplic piętrząc się ku środkowi, przygotowuje oko na kopułę i do niej prowadzi, a idąc koło boków, gdzie bardzo zręcznie połamane schody przy bocznych drzwiach zwróciły moją uwagę, przyszedłem już do fasady, gdym usłyszał tuż koło ucha wykrzyk: „nicht wahr, eine schöne Kirche!“ Obejrzałem się na mówiącego wtórując mu w zachwycie, był nim jakiś porządnie ubrany, już nie młody, ogolony niemiec, zapewne jakiś urzędnik, który bardzo na rękę mi się tam natrafił, bo zaraz miałem się kogo zapytać, czy do środka wejść można. Poczciwy niemiec

ofiarował się sam, że mnie zaprowadzi, on bowiem, jak mówił, bardzo często tam zachodził, i dał mi zaraz swoje ocenienie. Chwalił szczególnie ambonę, ganił zaś presbiteryum, dla tego że za małe; weszliśmy przez małą gotycką dość przygniecioną sionkę i znaleźliśmy się od razu pod wrażeniem wspaniałej bogato malowanej i złoconej kopuły, wrażenie to ogromne i wszystko zdaje się być na nie obliczone. Na środku kopuły, która zamiast latarni ma okrągłe pole, olbrzymia postać Chrystusa w białej sukni, tylko popiersie symetryczne ale tak surowe jak w dawnych bazylikach, na tle złotym, od którego idzie aureola złota, w najrozmaitsze rozchodząca się promienie i płomienie na większą połowę kopuły, ozdobionej nadto nie bardzo licznemi ale bogato malowanemi nerwami kamiennemi, które ją dzielą w pola. W ogóle wszystkie kształty jak najprostsze i bardzo szlachetne. Kopuła spoczywa na niewiem już wielu filarach i łukach gotyckich, po za którymi nie bardzo szerokie ale wysokie przejście na około, niby w okrąg idąca boczna nawa, a dopiero po za nią kaplice, zakrystye, sionki etc. Proporcye wysokie od obwodu ku środkowi tak szybko rosną, że zrobiwszy dwa kroki od wejścia już się widzi całą olbrzymią postać Chrystusa na środku kopuły, a efekt ten jest tak z góry przemyślany, że wszystkie szczyty sklepień same prowadzą oko w to miejsce, i tem jeszcze się potęguje, ze wchodzi się zawsze przez przedsionki niskie o bardzo rozwartych gotyckich łukach. W ogóle trudno coś rozumniej pomyślanego, coś sumienniej studyowanego i doskonalej wykonanego — takie dzieło jest prawdziwym aktem cnoty i dla tego ma w sobie coś nadzwyczaj budującego, zewsząd tam wygląda sumienie i dobra wola i jakaś głęboka powaga i poczucie przyjętego na siebie obowiązku. Wiesz jak mało mam zawsze zaufania do rzeczy ludzkich, do tego wszystkiego co mówi o wielkości i potędze człowieka, co jest dziełem jego choćby najgienialniejszej samowoli, kaprysu, a im lepiej się uda tem ma gorszy wpływ, bo tem łatwiej innych na manowce prowadzi. Otóż nic takiego nie widziałem ani w tym ani w żadnym nowym kościele w Wiedniu, wszędzie przeciwnie jakby wyrzeczenie się własnej woli w obec wymagania sztuki, w obec pragnienia, by to co się robi było nie własne ale „szczasne,“ ale jak najlepsze. P. Szmidt, nie winien temu, że nie jest gienialniejszy, że nie dostał więcej od Pana Boga, ale gdyby Michał Anioł miał był nieco sumienności p. Szmidta, nicby był nie stracił na swojej sławie, a nie byłby pewno wywarł tak zgubnego wpływu na całą sztukę. Mój przewodnik rozmawiał dużo z robotnikami, miałem więc zupełną swobodę w przypatrywać się wszystkiemu. Malowidła żywe, ornamenta o surowych liniach, w wielu miejscach figury mistyczne, w około kopuły napis, a w niższych polach kopuły jakieś postacie świętych, których znaczenia jednak dokładnie poznać nie mogłem w tak krótkim czasie, wszystko to jednak dość zwykłe, choć dobrze pomy-

ślane, a doskonale wykonane. Wśród rozmowy wspomniałem Niemcowi o kościele na Neue Lerchenfeld, powiedział mi, że od tego brzydszy, że jednak powinienem go zobaczyć, i że mnie zaprowadzi. Wyszedłszy pokazał mi probostwo, także produkt bardzo ciekawy, bo nadzwyczaj skromne renaissance ale także Szmidta, w którem przy dokładniejszem wpatrzeniu się można widzieć proporcye domów gotyckich, co właśnie domowi temu niezwykły daje charakter. Dochodząc do dworca (Westbahn) zobaczyłem gotycki kościół niedawno przy nim zbudowany, i zapytałem o niego, mój towarzysz powiedział mi, że to pierwsze dzieło Szmidta, które go dało poznać, i że możemy go obejrzyć po drodze. Przystałem na to i wśród żywej rozmowy weszliśmy na dziedziniec kościelny, gdzie mogłem zobaczyć fasadę prostą, bez upiększeń zbudowaną z białych cegieł, zawsze jednak proporcyonalną i poważną, Niemiecby powiedział o niej „ein Tüchtiges werk.“ Wnętrze także nie ma nic nadzwyczajnego, — nawa główna spoczywa na okrągłych filarach i gotyckich łukach, tylko w miejscu, gdzie się krzyżuje poprzeczna nawa, są kolumny poczwórne z dodanemi w górze malutkiemi kolumnami na konsolach — nawy boczne od głównej mało co węższe, a w ścianach bocznych pod każdem oknem trzy sklepienia gotyckie powiązane bardzo ładnie z konfesyonałami. Cały kościół sklepiony i nie malowany zupełnie, tylko kapitele konsole, klucze sklepień i nerwy nieco złocone. Wszystko bardzo zadawalniające, a nawet niektóre szczegóły mianowicie wielki ołtarz bardzo ładne. Jak wiesz, nie wiele mi potrzeba, bym patrząc na rzeczy piękne wpadł w eutuzyazm; mój niemiec był widocznie ze mnie kontent, wypytywał gdzie jadę i po co, zaczął utyskiwać na dzisiejszy brak wiary i inne kwaśne robić uwagi, wtedy powiedziałem mu, że nie godzi się tak skarżyć, gdy się tak piękne budują kościoły, i począłem mu wywodzić nadzwyczaj różowe horoskopy na przyszłość. Przyznam ci się, że patrząc na te piękne rzeczy, czułem radość innego rodzaju, mniej artystyczną, a to ztąd, że to wszystko nie jest i nie mogłoby być dziełem Prusaków, na to więc zwróciłem uwagę mego towarzysza, zapewniałem że Prusy upaść muszą, a wtedy z pewnością Dom Austryacki ogromną odegra rolę Czy uwierzysz, że tem wszystkiem zupełnie nie rozgrzałem mego przewodnika, przeciwnie zdawało mi się, że stracił do mnie zaufanie, bo na rogu jakiejś ulicy, okazawszy mi dalszą drogę na Lerchenfeld pożegnał mnie. Z daleka już we mgle ujrzałem kościół i zrobił mi przykre wrażenie, bo wieże zupełnie nie ładne, jakby na modelu zrobionym z deszczułek, szedłem długo patrząc na te brzydkie wieże, zanim znalazłem się przed fasadą, i ta mnie nie zadowolniła, tylko drzwi główne ładne, za to gdy wszedłem do środka, byłem doprawdy oczarowany. Co stanowi główny urok tego kościoła, czy jego proporcye czy malowidła dotąd nie wiem, to pewna jednak, że się w nim mniej myśli a więcej czuje, że zaprasza

silnie do modlitwy, że jest w nim jakieś niezwykłe ciepło. A ornamenta! te patrzące ze wszystkich stron olbrzymie kłosy, kwiaty, liście, litery, geometryczne figury i najdziwaczniejsze arabeski, które niewiedzieć zkąd mogły zrodzić się w jakiejś ludzkiej głowie, co za potęga i harmonia! to urok doprawdy niezrównany. Jest w nich coś tej sztywności kamiennej jaką zdybujemy tylko w archaicznej sztuce greckiej, jest coś tajemniczego co przypomina Egipt, jest coś, co dziwnym językiem mówi o nieskończoności i o wieczności, co i skupia i zdumiewa. Kompozycye biblijne mniej mnie zadawalniają, są przy ornamentach za mało potężne i za mało surowe, zbyt poetyczne i naturalistyczne, wyglądają na dobre ilustracye, a nie na freski, za mało w nich symetryi, tego elementu, bez którego malowidło z architekturą nigdy się nie zgodzi, będzie tylko obrazem powieszonym na ścianie a nie czemś zlewającym się organicznie z liniami architektonicznemi tejże ściany. Śliczna to myśl, te postacie Chrystusa Pana na ścianach bocznych, każda w innym Jego charakterze, ale gdyby te postacie nie były tak fantastyczne, w tak rozmaitych pozach, gdyby wszystkie stały przodem do widza i patrzały ze złotego dna, tak jak patrzą przez wieki stare rzymskie i raweńskie mozaiki, o ileż kreacya byłaby potężniejsza! Może Ci się ta uwaga wyda za radykalna, ale nie pomijając żadnej z niezliczonych zalet sztuki chrześcijańskiej od Giotta zacząwszy, nie znajduję nigdzie takiej potęgi i siły i powagi i wielkości, jak w niektórych postaciach starych mozajek, w takim n. p. Chrystusie u ś. Kosmy i Damiana lub w Santa Maria Maggiore. Coś podobnego jest chyba aż w prorokach Syxtyńskiej kaplicy. Stworzenie świata w przedsionku kościoła piękne, nie bez powagi i pewnej wielkości, ale po sykstyńskiej kaplicy biednie wygląda, również strącenie aniołów i sąd ostateczny. Miłe bardzo robią wrażenie mniejsze obrazki innej ręki n. p. dwaj aniołowie, jeden nad drzwiami zakrystyi, drugi odpowiadający mu na drugiej stronie kościoła, grzech pierworodny i wypędzenie z raju w przedsionku małe obrazeczki z bladym kolorytem, ale wybornym rysunkiem. A jakie śliczne szczegóły, ołtarze, ambona, drzwi, wszystko tak sumiennie studyowane, takie proste, piękne i prawdziwe, że odpatrzyć się nie można. Wielkie to jednak arcydzieło! Zostawała mi więc tylko jeszcze Votirkirche, do której mnie także mój niemiec bardzo był zachęcał i powiedział mi nawet, jak się do środka dostać. Puściłem się prosto na dół ulicą ku miastu, w tem błogiem mniemaniu, że wyjdę naprzeciw kościoła, a tu tymczasem wyszedłszy na dawne Glacies; kościoła nie widać, wiedziałem tylko, że jest na lewo za licznemi nowemi domami, gdzie go też wkrótce potem daleko we mgle ujrzałem. Droga wiodła mnie koło dwóch olbrzymich „fabryk,“ mówiąc naszym językiem, pierwsza to ratusz, druga to uniwersytet; nic tam jeszcze nie widać prócz kamieni i rusztowań, ale kiedyś,

gdy te dwa budynki i Muzeum staną obok siebie, śliczny to zapewne będzie widok. Przyszedłszy do Votivkirche, koło której stanęła teraz nie zbyt piękna komenda wojskowa; wyrobiłem sobie w kancelaryi pozwolenie wejścia do wnętrza, ale tu znowu przyznać muszę, że byłem rozczarowany. Widocznie architekcie chodziło o to, by kościół był „bardzo" gotycki t. j by proporcye były jak najwęższe a jak najwyższe; ztąd otwory bocznych arkad tak wązkie, że ich od wejścia do kościoła nie widać, i zdaje się, że się ma przed sobą dwie ściany pełne, wyrzeźbione w paski z góry na dół. Nadto filary grube i tak poczłonkowane, że nie ma dość kontrastu w pojedyńczych odstępach, jedne trochę grubsze, drugie trochę cieńsze, wszystko mierne, brak bardzo grubych i bardzo cienkich, które obok siebie postawione nadają filarowi więcej charakteru. Trzeci zarzut zrobićby można z tego, że zaraz nad arkadą w bocznych ścianach jest okno, i nie ma pomiędzy jednem a drugiem krużganku, co zazwyczaj kościołom gotyckim wiele dodaje piękności. Chór jednak prześliczny, bo i filary dużo cieńsze i nad arkadami krużganek, także po za wielkim ołtarzem wieniec kaplic jasno oświeconych, więc ma się śliczne widoki i architektoniczne efekta. Efektów takich w głównej części kościoła nadaremnie szukałem. Wnętrze w ogóle w porównaniu do zewnętrza bardzo gładkie, bez upiększeń, bez owych niespodzianek, które gotyckim kościołom dają wiele uroku, ale jednak kapliczki, zakrystye i inne pomniejsze rzeczy ładne, a jedno przejście, zdaje się na cesarskie schody, bardzo nawet piękne, z kolumną na środku, od której rozchodzą się liczne nerwy jak liście palmowe. Parę sklepień kościoła pomalowanych w ten mniej więcej sposób, jak nowy kościół Szmidta, kolorami żywszemi nierównie jak Lerchenfelderkirche, ale ani w części tak poważnie i tak pięknie. Tu o ile dopatrzeć mógłem, kamień malowanym nie będzie, ale tylko wypełnienia cegłowe w sklepieniach, nerwy kamienne, klucze i kapitale będą złocone, efekt ogólny może więc być bardzo miły, ale tych głębokości ornamentalnych, jakie są w Lerchefeldskim kościele ani w przybliżeniu nie ma, na to trzeba było osobnego geniuszu. Z Votirkirche wyszedłem dość niezadowolony, spodziewałem się piękniejszych rzeczy, gdym jednak zewnątrz na kościół popatrzył, znowu mi się serce rozradowało, bo to przecież rzecz prześliczna. Wchodząc w ulicę przy dawnem Schottenthor popatrzyłem raz jeczcze, przecudny widok! i poszedłem w miasto; miałem jeszcze parę godzin do wyjazdu więc co robić, pójść chyba na wystawę Kunstvereinu, bo to niedaleko. W pierwszej sali zastałem dość wiele osób przed ogromnym obrazem, nie wiem czyim (Kronrädera): „śmierć Józefa II." Jest to jeden ze znakomitszych obrazów sztuki liberalnej, wylanie się czułego serca nad zgonem wielkiej zapoznanej miernoty z policzkiem dla duchowieństwa uosobionego w dwóch tak nazwanych w opisie „spowiedników" (dla czego dwóch?)

cesarza, z których jeden spogląda na umarłą jego twarz z jakąś głupią i brutalną radością, a drugi patrzy wściekle na żal i łzy cisnącego się ludu. Kompozycya nudna, obraz zdradza widocznie wpływ Matejkowskiego Rejtana, szczególnie w postaci bratanka cesarza, rzuconego niedbale na skośno postawionem krześle, i przypominającego wyrazem Szczęsnego Potockiego, i w futrze a raczej w korzuchu, a nawet w wąsach starego węgra, który klęczy przed cesarskim łożem. Tuż przy łożu leje ceremonialne łzy jakaś hrabina Kińska, kto ona? wstydzę się przed Tobą mej nieznajomości historyi. Zresztą na wystawie nic nie ma, dużo pejzarzy wcale dobrych, parę genre, parę fotografij ze sławniejszych obrazów, między innemi z Nerona Kaulbacha, który niesmaczny bardzo, bo przedstawiający nic nie uidealizowane męczeństwo chrześcijan w obec mocno uidealizowanej, a nawet bardzo estetycznej orgii rzymskiej, ale to już rzecz zwykła u malarzy akademików, zakochanych w ciele ludzkiem tak, że gdy chcą napiętnować zepsucie, przedstawiają je w najponętniejszym kształcie. Obraz ten wygląda raczej na cyniczne: „co wolisz, to co w górze, czy to co w dole,“ niż na przeciwstawianie moralnego najwyższego tryumfu, nad najniższym moralnym upadkiem. Przypomina to tych moralistów francuzkich, którzy piszą całe tomy o zepsuciu i to z wielkiem oburzeniem, ale oburzenie to zdaje się być na to tylko, by tem dłużej i dokładniej o tym przedmiocie módz pisać. Jest to jedna z najpowszechniejszych hipokryzyi naszego wieku. Kiedy wyszedłem z Kunstvereinu popatrzyłem na zegarek, czym się nie spóźnił, i spostrzegłem o dziwo! że nie bawiłem tam dłużej jak kwadrans, na resztę więc czasu poszedłem na plac ś. Szczepana, a potem do kościoła. Po wszystkich wrażeniach nowoczesnej sztuki zdrowo to bardzo spojrzeć na te czarne mury, na tę świetną wielkość przeszłości, z której dziś wybieramy ziarnko po ziarnku i składamy nową całość, nierównie mniejszą, płytszą, nudniejszą, bardziej pedantyczną, a jak nam się zdaje, czystszą i lepszą, i myślimy, że dokonywamy wielkich rzeczy. Tu mi się nadają bardzo słowa Mickiewicza, które Ci z mojej notatki odpisać obiecałem: „Mnie się zdaje, że poemata historyczne i w ogólności wszystkie formy dawne są już wpół zgniłe i tylko można je odżywiać dla zabawki czytelników. Prawdziwa poezya naszego wieku może jeszcze się nie urodziła, tylko widać symptomata jej przyjścia. Zbyt wiele pisaliśmy dla zabawy albo celów zbyt małych. Przypominaj proszę te słowa St. Martina: „on ne déverait écrire des vers, qu'aprés avoir fait un miracle,“ mnie się zdaje, że wrócą czasy takie, że trzeba będzie być świętym, żeby być poetą, że trzeba będzie natchnienia i wiadomości z góry o rzeczach, o których rozum powiedzieć nie umie, żeby obudzić w ludziach uszanowanie dla sztuki, która nadto długo była aktorką, nierządnicą lub polityczną gazetą. Te myśli często

budzą we mnie żal i ledwo nie zgryzotę, często zdaje mi się, że widzę ziemię obiecaną poezyi jak Mojżesz z góry, ale czuję, żem nie godzien zejść do niej! Wiem przecież gdzie leży, i wy młodzi patrzcie w tamtę stronę. Nie znajdziesz jej na teatrach ani w gazetach, ani w pochwałach tak nazwanej opinii. Przekonasz się kiedyś co to jest sława i jak ci nie sprawi jednej chwili szczęśliwej i często może będziesz najbardziej żałował tych słów, które największe wzbudziły echo!“ [1]).

Czy i w architekturze stare formy się już przeżyły? czy i tam w końcu nie nuży nas to ciągłe ich powtarzanie dla zabawy oczu? A jednak gdy patrzę na nie i gdy czuję w nich brak czegoś, jakąś ciasnotę i niedostatek, nie mam jednak bynajmniej uczucia zupełnej zgnilizny i śmierci, ale raczej uczucie pasowania się, by wydać coś nowego. Nie może być, by chrześcijaństwo kiedykolwiek przestało być płodnem, nie może być, by kiedyś już wszystko z siebie wydało, więc niech tylko zwycięży w duszach ludzkich, niech tylko szerszem po świecie poleje się korytem, a co wyda eutuzyazm podobnej epoki, któż zgadnie! I architektura naszego wieku jeszcze się nie urodziła, bo ludzie budują dla wygody i sławy i oka, bo im jeszcze zimno w piersiach, ale zdaje mi się, że widać symptomata jej przyjścia. Może ci się to wydać zabawnem, że ja tak piszę, jakbym miał dopiero lat 18, ale coż ja temu winien jestem, kiedy inaczej wierzyć nie mogę. Ja dziś na świecie widzę mnóstwo cudów, widzę w pewnej zdrowej części ludzkości rozwój w kierunku prawdy tak szybki, że ledwie mam czas się dziwować, jakżesz chcesz bym nie wierzył w przyszłość. Może być, że o tyle jestem na fałszywej drodze, że może to nie poezya i nie architektura odrodzą się, ale tylko czyny ludzkie, które świat zadziwią, ale gdy tak będzie, to pewnie i sztuka zakwitnie, prawda bowiem i cnota bez piękna się nie obejdą. Wątpię, by przyszły nowe kształty, ale może przyjść głębsze ich zrozumienie, doskonalsze ich użycie, bezpośredniejsze wyrażenie niemi wielkich myśli, a i to już wiele...

X.

---

[1]) Jest to ustęp z nieogłoszonego dotąd jeszcze nigdzie listu Mickiewicza.

KRONIKA.

Kraków, 30 Listopada.

Zdawaćby się mogło że polityka zamarła, lub też zasnęła tym snem długim i nieprzerwanym, którym o tej porze roku spią pewne zwierzęta, aby się dopiero z wiosną obudzić. Dawniej mianowicie u nas oczekiwano zawsze wielkich wypadków na wiosnę: od chwili jak przestaliśmy się czegokolwiek spodziewać, od owych wypadków i my nawet mniej skorzy jesteśmy wierzyć w przeobrażenie karty europejskiej na wiosnę. Nie tak też łatwo komukolwiek wziąść się lub pokusić o to przeobrażenie, odtąd, jak dozwolono jednemu państwu wzróść w samym środku Europy do niezwykłych rozmiarów i do nadzwyczajnej siły wojskowej, przewyższającej o wiele siłę każdego z osobna państwa. Wiemy z historyi, że zwykle taki nadzwyczajny zwrost jednego państwa, wywoływał połączenie się wszystkich innych przeciw niemu, i że dopiero to połączenie kładło tamę jego nieznośnej przewadze. Dziś takie jest ogólne rozprężenie, zdemoralizowanie, osłabienie, że Europa nie zdolną jest do utworzenia podobnej koalicyi, aczkolwiek nie zbywa jej na chęci, i aczkolwiek czuje już może jej potrzebę. Z tąd owo dziwne, mdłe, bezbarwne położenie rzeczy, w którem ani Niemcy nie śmią kroku naprzód zrobić, ani Europa nie śmie i nie chce na żadnym punkcie ich zaczepić. Niemcy jako militarne i podbójcze państwo z natury z położenia swojego, winnyby iść naprzód, winnyby przynajmniej dokończyć owego dzieła jedności, które bądź co bądź skończonem nie jest, a widocznie wstrzymuje ich poczucie, że koalicya jeżeli nie jest jeszcze w rzeczywistości, już jest w powietrzu, i że każda zaborcza nowa zachcianka mogłaby ją stworzyć. Pocieszają się więc, a raczej zatrudniają

wojną z biskupami i własnym ambasadorem. Europa znów, a raczej składające ją mocarstwa i państwa, nie wątpliwie czują ciężar cisnący je, lecz nie czują w sobie dość sił, aby go już zrucić z siebie; słabe trudnościami wewnętrznemi, z niedokończoną organizacyą wojskową, z kłopotami pieniężnemi, zgadzają się apatycznie na *status quo*, pocieszając się tą myślą, która może jest złudzeniem, że ani jednego kroku naprzód nie pozwoliłyby więcej zrobić Niemcom. Gdzie jednak nie idzie o zabory, o rzeczywisty wzrost, lecz o fantazyę ks. Bismarka, tam dla miłego spokoju ustępują jeszcze, jak to uczyniły w sprawie uznania rządów marszałka Serano; aczkolwiek ta sprawa posłużyła Niemcom za przestrogę, dzięki wyznajemy to z chęcią, godnemu i pełnemu na przyszłość znaczenia postępowaniu Rosyi. Tak więc okazało się, a następne wypadki coraz wyraźniej o tem świadczyły, że jeżeli Europa nie może jeszcze skojarzyć się przeciw Niemcom, to i Niemcy nie mają już w Europie sprzymierzeńców. Stagnacya i bladość chwilowa polityki, jest bezpośredniem ustępstwem tego położenia rzeczy. Nie ma w tej chwili ani jednej sprawy, ani jednego wypadku któryby żywiej zajmował umysły lub rozogniał wyobraźnię. Z tąd też widoczny wszędzie zwrot, tak w rządach jak w parlamentach, do interesów, do spraw pozytywnych i realnych. O ile się to tyczy naszej Rady państwa, nie możemy jak tylko się z tego wielce cieszyć; im mniej będzie polityki w Radzie państwa, a im więcej załatwionych będzie interesów odnoszących się do dobrobytu monarchii, tem większe będzie nasze zadowolnienie, już dla tego samego, że oszczędzi to nam walk jałowych a nieraz bardzo nieprzyjemnych.

Dotąd obrady Rady-Państwa w tym głównie kierunku interesów były prowadzone i teraźniejsza sesya była ze wszystkich najmniej polityczną i najmniej burzliwą; nie przerwała ona niczem owej stagnacyi politycznej, której główną przyczynę usiłowaliśmy wykazać, stagnacyi zadziwiającej w obecnej porze roku, tak, że wśród prawdziwie lipcowej lub sierpniowej ciszy, którą nawet nie zakłócają obecnie strzały Karlistów, a przerywają jedynie telegramy o sprawie hr. Arnima tej ostatniej awantury malejącego wielkiego kanclerza, nie mamy nic do zapisania, coby nas bliżej obchodziło. Obeszło nas jedynie, i to bardzo nieprzyjemnie wystąpienie z koła delegacyjnego posła z ziemi krakowskiej hr. Mieroszowskiego. Już w chwili pierwszego przykładu podobnego wystąpienia z koła wiceprezydenta Weigla, wyraziliśmy nasze zdziwienie i ubolewanie, dziś żałujemy, że nie wyraziliśmy naszego zgorszenia, skoro p. Weigel znalazł naśladowcę. Szanujemy przekonania, cenimy wielce niezależność charakteru, ale bądź co bądź, wobec dzisiejszych stosunków, wobec istnienia koła polskiego w Wiedniu, zawsze potępić musimy każde z niego wystąpienie; przypomina ono nam zbyt *liberum veto*, wyprawy na własną rękę i politykę na własną rękę, abyś-

my nie czuli wstrętu do niego. W praktycznych zaś a dalszych konsekwencyach, podobne wystąpienia muszą doprowadzić do rozbicia koła polskiego, a więc do zniweczenia jedynej naszej organicznej siły, pozostałej na gruncie wiedeńskim. Wiele popełniliśmy w Wiedniu błędów, ale umieliśmy przynajmniej zachować jedność i wspólność działania. Wystąpienie z koła uważać więc musimy za krok anarchiczny, a dziwi on nas i smuci, ze strony hr. Mieroszowskiego, którego znamy jako człowieka wyobrażeń zachowawczych. Nie takiej wagi jak dziś bywały podnoszone w delegacyi sprawy, że wspomniemy o najgorętszej, o opuszczeniu lub przestaniu w Radzie Państwa, a przecież nawet ci, którzy z głębi przekonania przeciwni byli opuszczeniu dla solidarności i jedności koła, ani chwili nie zawahali się poddać jego uchwale. Czyżby od owego czasu ze zmaleniem spraw, zmalał i duch publiczny?

St. Koźmian.